POLSKA JAK TEKSAS?

Wojciech Cejrowski podpowiada, jak sobie radzić z Unią Europejską

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 33/489 16–21 SIERPNIA 2022 CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PiS w butach Platformy, Platforma w butach PiS

DYKTATORZY MODY W II RZECZYPOSPOLITEJ

Polowanie na Donalda Trumpa – kto się boi jego zwycięstwa?

POLSKA PARTIA SOROSA

Zbił kapitał na spekulacji, promuje lewackie idee

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 33 >

Nakład: 54 400 egzemplarzy

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNERZY GŁÓWNI

KGHM POLSKA MIEDŹ

PZU

PARTNER

PKO Fundacja

eprasa.pl a9497fac0a

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Globaliści polują na Donalda Trumpa

Wszystko musiało wyglądać jak w jednym z wielu amerykańskich filmów. Tyle że nie była to fikcja. Rano czasu lokalnego we wtorek kilkudziesięciu agentów FBI wtargnęło do rezydencji Donalda Trumpa w Mar-a-Lago na Florydzie. Przeszukanie trwało kilka godzin. Prawdopodobnie agenci chcieli zdobyć dokumenty, w tym opatrzone klauzulą „ściśle tajne", które miał rzekomo przechowywać były prezydent. Akcja sił specjalnych wywołała szybką reakcję Trumpa. Nazwał ją „nalotem" i „najazdem". W wydanym oświadczeniu były prezydent powiedział, że „to prokuratorskie uchybienie, użycie systemu sprawiedliwości jako broni i atak ze strony radykalnie lewicowych demokratów, którzy nie chcą, abym ubiegał się o urząd prezydenta w 2024 r.". Stwierdził, że są to mroczne czasy dla Ameryki i że „nigdy nic podobnego nie zdarzyło się w stosunku do żadnego wcześniejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych".

Akcja służb szybko została skomentowana przez blogerów, publicystów i polityków. Wielu z nich uważało, że tego rodzaju akcja służb czyni z USA państwo Trzeciego Świata i przypomina porachunki w republice bananowej. Czy są to opinie przesadzone? Nie sądzę. Wszystko wskazuje na to, że akcja służb ma cel polityczny. Demokraci uderzyli w Trumpa, licząc na to, zapewne, że przeszukanie, nawet jeśli nie doprowadzi do znalezienia dowodów winy, pozwoli zdobyć dokumenty, które będzie można wykorzystać w kampanii oczerniania. Politycznie za operację odpowiadają demokratyczni liderzy, na czele z obecnym prezydentem Joe Bidenem.

Faktycznie, nigdy wcześniej w ten sposób nie potraktowano żadnego innego amerykańskiego prezydenta. Jest to tym bardziej szokujące, że Trump nie tylko jest byłą głowa państwa, lecz także zapowiedział już swój start w kampanii i walkę o reelekcję w 2024 r. Innymi słowy – akcja służb wymierzona jest w potencjalnego prezydenta i pewnego kandydata republikanów w najbliższych wyborach. Prościej: służby zaatakowały lidera opozycji. To prawda, takie operacje są (były?) typowe dla republik bananowych, a nie dla demokracji. Tym bardziej że – jak pokazują wszystkie możliwe sondaże – Trump ma spore szanse na nominację republikańską i na sukces. Dwa dni przed interwencją FBI na wielkim kongresie konserwatywnym w Dallas w Teksasie Trump zapowiedział odniesienie miażdżącego zwycięstwa. W kongresie, w którym wziął też udział m.in. premier Węgier Viktor Orbán, Trump mówił, że od najbliższych miesięcy będzie zależeć, czy przetrwa amerykańska cywilizacja. „Ameryka jest na skraju przepaści i tylko my możemy to powstrzymać". Trudno w takiej sytuacji nie powiązać akcji FBI z tymi zapowiedziami.

Tym bardziej że same zarzuty brzmią dość osobliwie. Otóż zdaniem śledczych były prezydent USA miał przygotowywać spisek. Cel? Uniemożliwienie przejęcia władzy przez Joe Bidena po wyborach w 2020 r. Podobnie zarzuca mu się to, że podżegał swoich zwolenników do wtargnięcia na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Był to rzekomo akt terrorystyczny. Kolejnym posunięciem prokuratury, kontrolowanej przez demokratów, będzie zapewne próba postawienia Trumpowi zarzutów kryminalnych. Ostateczna decyzja należy do szefa departamentu sprawiedliwości i prokuratora generalnego Merricka Garlanda, bliskiego współpracownika Bidena. Demokraci próbowali się pozbyć Trumpa od chwili, gdy wygrał wybory w 2016 r. Trzy razy nie udało się im postawić go w stan impeachmentu. Podobnie na niczym spełzło zakrojone na wielką skalę śledztwo, które miało wykazać, że był agentem Putina.

Dlatego ewentualna decyzja o oskarżeniu może być dla demokratów gwoździem do trumny. Jeśli i tym razem nie będą mieli mocnych dowodów, że Trump przygotowywał coś w rodzaju zamachu stanu – a wydaje się, że zarzuty te są po prostu wyssane z palca – oskarżenie zostanie powszechnie uznane za kolejny akt prześladowania. Nawet ci, którzy mają wątpliwości, zagłosują wówczas na Trumpa. Raz – by pokazać solidarność z ofiarą, dwa – z obawy przed rosnącą siłą służb i Deep State.

Obecne wybory prezydenckie w USA będą zatem przypominać prawdziwą wojnę. Nawet odcedzając charakterystyczną dla politycznych kampanii retorykę, gdzie wszystko jest wyolbrzymione i udramatyzowane, dojdzie do starcia dwóch całkiem różnych Ameryk. Z jednej strony będą to zwolennicy globalizmu, po stronie Trumpa opowiedzą się zaś zwolennicy dawnej konserwatywnej Ameryki. Będzie to wojna postępowych globalistów i obrońców tradycyjnego ładu. Wojna genderystów, klimatystów i sanitarystów ze zwolennikami wolności. Wojna oligarchów z demokratami (nie chodzi o partię o tej nazwie). Wojna Big Tech i Big Media z federacją przedstawicieli ludu.

Steven W. Mosher, jeden z komentatorów wpływowego portalu chrześcijańskiego lifesitenews.com, stwierdził, że po ataku FBI Ameryka stoi przed wyborem między „konstytucjonalizmem a de facto komunizmem". Mocne słowa. Trudno się jednak z nimi nie zgodzić. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

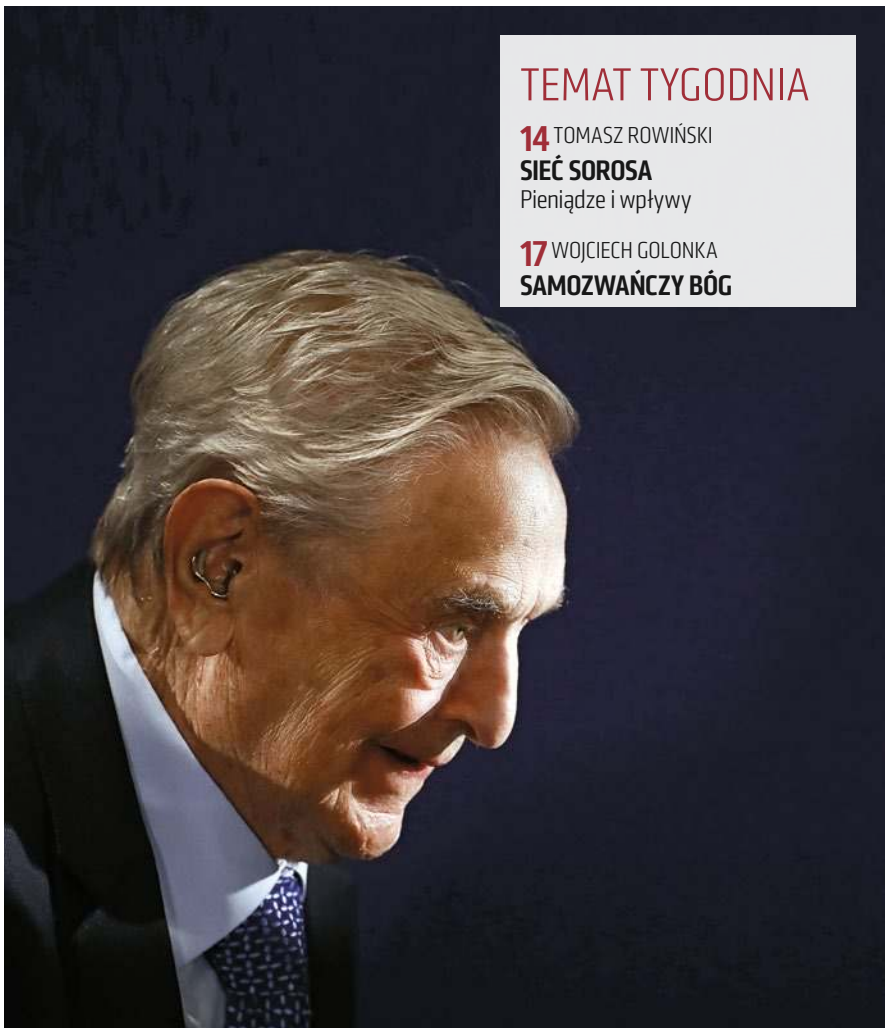

TEMAT TYGODNIA

14 TOMASZ ROWIŃSKI
SIEĆ SOROSA
Pieniądze i wpływy

17 WOJCIECH GOLONKA
SAMOZWAŃCZY BÓG

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
TAKTYKA „NA SĘPA", CZYLI CZTERY DYLEMATY DONALDA TUSKA
Czy lider PO zdoła rozbić szklany sufit?

24 JAN FIEDORCZUK
PIS W BUTACH PLATFORMY
Gdy „ciepła woda w kranie" staje się luksusem

26 ZUZANNA DĄBROWSKA
AKCJA ORDYNACJA

28 KAMILA BARANOWSKA
ODWRACANIE POJĘĆ

30 ROZMOWA Z DR. GABRIELEM JANOWSKIM
MUSIMY KSZTAŁCIĆ LUDZI KREATYWNYCH

KULTURA

32 PIOTR GOCIEK
SZUKAMY ZNAKÓW
Nowy film Jeana-Jacques'a Annauda

35 RADOSŁAW WOJTAS
WYPCHANA SZTUKA

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ANDRZEJ SZPOCIŃSKI
PODRĘCZNIK POD OSTRZAŁEM
Skąd ta krytyka książki do historii i teraźniejszości

46 PAWEŁ CHMIELEWSKI
REWOLUCYJNY KURS KOŚCIOŁA WE WŁOSZECH

HISTORIA

48 JACEK KOMUDA
ZAPOMNIANA WOJNA LESTKA I SIEMOMYSŁA
Początki kraju Palanów, Polianów, Poleni i Polan

52 ROZMOWA Z MAGDALENĄ IDEM
DYKTATORZY MODY W II RP

ŚWIAT

56 MARIA KĄDZIELSKA
ŁABĘDZI ŚPIEW PELOSI
Wizyta, która łamie wieloletnie status quo

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
BRUDNA WOJNA SPRAWIEDLIWA

62 PIOTR WŁOCZYK
FBI U TRUMPA

EKONOMIA

66 ŁUKASZ WARZECHA
PLATFORMA W BUTACH PIS
Tusk jako gorliwy socjalista

68 ROZMOWA Z WOJCIECHEM JAKÓBIKIEM
BĘDZIEMY MIELI ZIMNO W DOMACH

NAUKA

72 ADAM ZUBEK
KOSMICZNY WYTRYCH
Z góry widać więcej

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (55), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (70), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl a9497fac0a

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Obniżyć pensje politykom?", Piotr Gabryel, „DRz" 32/2022

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

gratuluję kolejnych wydań tygodnika, który prezentuje szeroki przegląd tematów na nieustannie najwyższym poziomie. W numerze 32. proponuje Pan ciekawy algorytm regulacji (deindeksacji) uposażenia polityków. Czy przewiduje on zejście poniżej płacy minimalnej?

W Polsce utarł się zwyczaj, że samorządowcy i politycy na wstępie kadencji ustalają sobie wynagrodzenie. Zgoda, ale to ustalenie powinno nabierać mocy w następnej kadencji. Osoba odpowiedzialna, decydując się na start w wyborach lub w konkursie na ważne stanowisko, powinna być świadoma tego skutków. Wysokie płace dla osób, które za nic nie odpowiadają (przykład: Parlament Europejski), są dodatkowym źródłem korupcji. Z kolei osoby obarczone odpowiedzialnością za decyzje, w tym również członkowie rządu i zarządów spółek, powinny być nagradzane współmiernie do swoich decyzji.

Pozostaję z szacunkiem
Tadeusz Wasiutyński

Węgla w bród

Jaki brak węgla? Ja widzę, że chyba jest go w nadmiarze. Moja instalacja mikrofotowoltaiki w najbardziej słoneczne dni ma odbiór prądu tylko na poziomie połowy mocy, a wielu znajomych mówi, że w ogóle im nie odbierają. Podczas gdy pięć kilometrów dalej jest duży zakład, który dziennie pobiera więcej prądu niż całe obok 15-tysięczne miasteczko. Oczywiście prądu z węgla. Jaki problem przeinstalować lokalną sieć, aby ten nadmiar prądu z mikroinstalacji fotowoltaicznych szedł do tego zakładu zamiast wykazywać brak odbioru? To tylko pięć kilometrów. Po prostu mają za dużo węgla. W skali kraju to będą miliony ton węgla, które są spalane zamiast odbierać energię z instalacji fotowoltaicznej.

Paweł Szablewski

NEKROLOG

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Rafała Kasprzyka

wybitnego adwokata, społecznika o wielkim sercu, doradcy prawnego i eksperta NSZZ „Solidarność", obrońcy więźniów politycznych w stanie wojennym. Internowanego i represjonowanego za działalność w NSZZ „Solidarność". Żegnamy wybitną postać, człowieka wielu talentów, adwokata służącego w Polskim Kontyngencie Wojskowym w Iraku, nauczyciela, wykładowcę akademickiego, odznaczonego wieloma medalami, m.in. Krzyżem Wolności i Solidarności, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, zawsze pomocnego, uśmiechniętego, otwartego na ludzi. Współpracował z ŁSSE S.A. od 2016 r.

Wyrazy głębokiego współczucia dla rodziny oraz współpracowników

składa

Zarząd
Łódzkiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej
Marek Michalik
Agnieszka Sygitowicz

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Georg Hochmuth/APA/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 400 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY PRASA POLSKA — ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl a9497fac0a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Owsiak lepszy niż Persil

Na chwilę światełko nadziei zapaliło się dla Tomasza Lisa. Dziennik „Rzeczpospolita" wybił na swoim twitterowym koncie tytuł: „TYLKO U NAS: Kontrola Państwowej Inspekcji Pracy nie potwierdziła doniesień o mobbingu w »Newsweeku«". Dziennik informował, że „kontrola potwierdziła prawidłowe działanie procesów i procedur obowiązujących w firmie".

Natychmiast w ton skrzywdzonej niewinności wpadł sam Lis: „Na wiele tygodni zamieniono moje życie i życie moich najbliższych w koszmar. Nie oszczędzono mi żadnego epitetu. Niczego. Nie oczekuję przeprosin ani nawet refleksji. Jako chrześcijanin mam tylko jedno wyjście – wybaczam. Ale nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiał zapomnieć".

Efektowne to było, ale krótkotrwałe. Nie minęło wiele czasu, a z paru stron pojawiły się polemiki z sensacjami „Rzeczpospolitej". PIP sprawdziła jedynie redakcyjne procedury reagowania na hejt, ale nie ma to nic wspólnego z rehabilitacją byłego szefa „Newsweeka". Jednak pełna triumfu reakcja Lisa pokazała jedno – uważa się on za ofiarę jakiejś podłej intrygi i niecierpliwie czeka na powrót na medialny ring. A na razie uważnie patrzy, jak „Newsweekiem" zarządza Tomasz Sekielski. Gdy ten zrezygnował niedawno z felietonów Manueli Gretkowskiej i Krzysztofa Materny, Lis podziękował im za lata współpracy i tajemniczo dodał: „Obojgu mówię – do zobaczenia wkrótce".

W sprawie toksycznej atmosfery, którą Lis stworzył wokół siebie w „Newsweeku", naoczne świadectwo ogłosiło wielu długoletnich, poważnych dziennikarzy – od Tomasza Sekielskiego, poprzez Rafała Kalukina i Ryszarda Holzera, do Wojciecha Staszewskiego.

Pod wrażeniem ich relacji wielu komentatorów orzekło, że Lis już nie ma szans na objęcie którejś z wielkich redakcji. A ja wcale nie jestem tego taki pewny. Występ Barbary Kurdej-Szatan na festiwalu Owsiaka w Czaplinku, na którym celebrytka hejterka pozowała na ofiarę (pisze o tym szerzej na str. 28 Kamila Baranowska), spotkał się z entuzjastyczną reakcją Tomasza Lisa: „Czasem musi być tak, tak, nie, nie. Moralna klarowność i jednoznaczność wcześniejszego pisemnego i wczorajszego ustnego wystąpienia Kurdej-Szatan imponuje".

Tomasz Sekielski ujawnił niedawno ciekawy szczegół dotyczący kontroli PIP. W ankiecie w sprawie mobbingu, którą PIP przeprowadziła wśród pracowników „Newsweeka", dwie osoby potwierdziły złe zdanie o Tomaszu Lisie, ale najwięcej, bo 22 osoby, w ogóle nie wypełniło kwestionariusza.

Sekielski to zaskakujące zjawisko bagatelizuje, pisząc, że „znaczna część redakcji po prostu chciała zostawić za sobą to zamieszanie". Ja mam inne podejrzenie. Większość redakcji uznała, że lepiej z byłym szefem nie zadzierać, bo może jeszcze sporo znaczyć na rynku medialnym.

Lis na pewno nie jest dziś kimś, kto chce za cokolwiek przepraszać. A może liczyć na wielu opozycyjnie nastawionych celebrytów, którzy chętnie pomogą mu wrócić na medialną arenę. On pomagał, więc dlaczego oni nie mieliby pomóc jemu? Jestem w stanie sobie wyobrazić sytuację, w której np. za rok Owsiak zaprosi byłego szefa „Newsweeka" na swój festiwal, aby opowiedział, jak został skrzywdzony i obrzucony hejtem. Widownia na pewno wynagrodzi go za to, za co teraz oklaskiwała Kurdej-Szatan, hucznymi brawami.

Jerzy Owsiak wybiela lepiej niż Persil. I Lis to wie. ©℗

FOT. UGC/AP/EAST NEWS

ROSJANIE POCZULI SMAK STRACHU

Wśród rosyjskich turystów wypoczywających na okupowanym przez Rosję Krymie w ubiegły wtorek wybuchła panika. Rosjanie przestraszyli się serii eksplozji, do których doszło w rosyjskiej bazie lotniczej Saki w miejscowości Nowofedoriwka. Według świadków doszło tam do kilkunastu wybuchów. Tymczasem do mediów społecznościowych trafiły nagrania, które ukazują, jak Rosjanie pędem opuszczają plaże i tłoczą się na drogach powrotnych do Rosji. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

Informacje z frontu potencjalnych zmian. Sporo się ostatnio mówi o możliwej zmianie premiera. Powiemy więcej – to może być nawet dwóch premierów. Zgodnie z tym, co zapowiedział były szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński na spotkaniu z aktywem przy Klonowej, po wygranej się wybierze nowego premiera. Ale wariant ze zmianą już zimą/wiosną też jest możliwy (to już info od wiewiórek). I teraz uwaga: ten nowy premier sprzed wyborów i po wyborach to wcale nie musi być ten sam premier.

Jeszcze o potencjalnych zmianach. Jak wiecie słowo „kilka" oznacza nie mniej niż dwa, ale nie więcej niż dziesięć. No więc w sprawie rekonstrukcji rządu jesienią to będzie takie niepełne kilka, znaczy nie mniej niż dwa, nie więcej niż sześć. Chodzi też o wicków. Wszystko decyduje się podczas wakacyjnych przemyśleń byłego szeregowego wicepremiera. Który w sierpniu zawsze oddaje się głębokiemu namysłowi na urlopie.

Tymczasem w Ameryce. Na konferencji konserwatystów CPAC, której gwiazdą był dobry Donald z Ameryki, stawił się Viktor Orbán i był mocno fetowany. Nie był zresztą tam jedynym Węgrem. Z Polski nikt nie pojechał, co jest dziwne, biorąc pod uwagę, ile PiS swego czasu zainwestował w dobre relacje z dobrym Donaldem. Zapytaliśmy w okolicach Nowogrodzkiej, dlaczego Węgrzy byli, a Polacy nie. Odpowiedź była dość mętna: „A bo my zwykle jeździmy na tę konwencję w lutym".

Ważna wiadomość od wiewiórek z Ameryki. Bracia Węgrzy na konferencji zachowali się wobec Polski bardzo OK. Sporo o nas byli pytani, zwłaszcza w kontekście wypowiedzi premiera Mateusza, że drogi Polski i Węgier się rozeszły. Bracia z Budapesztu mieli więc okazję, żeby sobie na Polskę popsioczyć, ale tego nie zrobili. Wręcz przeciwnie. Co odnotowujemy, bo ktoś w tym kraju musi prowadzić rozsądną politykę międzynarodową. W ostateczności może to być nasza rubryka.

Apropos Viktora Orbána. Nie milkną echa jego przemówienia sprzed paru tygodni w Baile Tusnad, po którym został oskarżony o rasizm, faszyzm i inne takie rzeczy. Ponieważ mieliśmy okazję obserwować to przemówienie na żywo, chcieliśmy wskazać fragment, do którego jeszcze się lewicowe media nie przyczepiły, a który agencje przegapiły. Otóż w pewnym momencie Viktor rzucił taki żarcik: „Jedyne »trans«, które akceptuję, to Transylwania". A teraz prosimy bardzo, niech rozpęta się piekło.

Podróże kształcą. Podczas wakacyjnych peregrynacji jeden z Panów G. zapoznał był polityków z włoskiej Ligi. Nawet dość znanych. Okazało się, że bardzo interesują się polską polityką. I nawet mają swojego idola. Nie jest to ani były szeregowy wicepremier, ani premierro Matteo. Bohaterem dla Włochów jest „Zibigniew Zijobro" (cytujemy wymowę oryginalną). Z powodów prostych: judiciary system. Widzicie, we Włoszech też mają problem z rozgrzanymi sędziami. Niestety, nikt jeszcze Lidze nie wytłumaczył, że rozgrzani sędziowie w Polsce nadal mają się dobrze. Mimo Zijobry.

Po głębszym zastanowieniu sympatia Ligi do Zijobry ma nieco głębszy sens. Widzicie, we wszechświecie musi panować jakiś porządek. Dlatego większa prawica włoska, czyli Bracia Włosi, czuje miętę do PiS. Czyli większej prawicy polskiej. A mniejsza prawica włoska, czyli Liga, bardziej wpatrzona jest w Zijobro. Czyli Solidarną Polskę, czyli mniejszą prawicę polską. To się nazywa polityka toutes proportions gardées.

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Nawet z głupiej wypowiedzi można wyciągnąć niegłupią refleksję. Dlatego pochylamy się z troską nad komuszkiem Leszkiem Millerem, który oświadczył był, że Polska „przypomina wrzeszczącego bachora, którego trzeba wystawić za drzwi". Otóż przede wszystkim zauważmy słownikową definicję słowa „bachor": „Potocznie z niechęcią o dziecku". Zawsze dobrze wiedzieć, kto i jakie uczucia żywi do Polski. Na przykład niechęć.

Chcieliśmy pozostać na chwilę przy metaforze z dzieckiem. Bo jeśli użyjemy jej, cofając się w czasie do chwili, gdy krajem zarządzała ferajna komuszka Leszka, to musielibyśmy powiedzieć, że Polska przypominała wtedy dziecko zamknięte w piwnicy przez wuja pedofila, który je bije i gwałci. Tak to było w rodzinie. Wielkiej rodzinie krajów socjalistycznych, dowodzonej przez moskiewskiego wuja Sowieta.

Jeszcze o komuszkach. Ponieważ jakiś jancymon wpisał nas kiedyś do bazy danych Lewicy, otrzymujemy regularnie informacje z jej życia. Dzięki temu możemy w oryginalny sposób uczcić kolejną rocznicę Bitwy Warszawskiej 1920 r. Otóż z ostatnich SMS-ów Lewicy wynika, że sierpniowe aktywności jej polityków odbywały się w następujących miejscach: rondo Dmowskiego, skwer Kisiela oraz ulica Legionów Polskich. A więc jednak było warto. Bachor wygrał w wujem.

Na koniec mamy wieści z dalekiej Kenii, gdzie też trzeba bić się o demokrację. Wybory były tam nadzorowane przez Richarda Henry'ego Czarneckiego, który nadzorował już demokrację wszędzie na świecie. Nie to nas jednak zaciekawiło. Otóż, jak informują wiewiórki, Richard spędził sporo czasu z miejscowym konsulem honorowym Polski, sympatycznym Afropolakiem, a nawet Afropoznańczykiem. Wieczory umilali sobie, pijąc piwo. Lokalne. Nazywające się Tusker. No i co wy na to? ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szanować Polskę

Dotąd uważałem, bo do takich danych miałem dostęp, że Polska wymiana handlowa z Niemcami jest trzy razy większa niż rosyjska. Już samo to wystarczałoby, aby Niemcy szanowały nas znacznie bardziej, niż szanują. Tymczasem niedawno opublikowany w niemieckim miesięczniku „Cicero" tekst Thomasa Urbana (nie znam niemieckiego, cytuję więc za pośrednikami z polskiej prasy) podaje inne dane. Według Urbana i cytowanego w tekście Larsa Gutheila, szefa Polsko-Niemieckiej Izby Przemysłowo-Handlowej, obroty gospodarcze między Niemcami a Polską są aż osiem razy większe niż między Niemcami a Rosją (być może to nowe dane, uwzględniające zmiany spowodowane wojną na Ukrainie). Od siebie dodam, że ważna jest nie tylko skala obrotów, lecz także ich struktura. O ile z Rosją mają Niemcy bilans ujemny, kupując tam praktycznie tylko surowce (tanie, bo sprzedawane w dumpingu – powiedzmy wprost, po prostu kradzione przez reżim Putina własnemu narodowi), o tyle Polska kupuje wiele niemieckich produktów. Jest więc dla niemieckiej gospodarki partnerem tym bardziej ważnym.

Cały wspomniany artykuł to pean na cześć polskiej gospodarki, tempa naszego rozwoju (no pewnie – według niedawnego rankingu Davos szybciej od Polski rozwijały się w ostatnim trzydziestoleciu tylko Chiny) i wyraz zdumienia, jak bardzo chybione są niemieckie stereotypy o „Polnische Wirtschaft". Hm, gdyby w niemieckich szkołach uczono o tym, jak ledwie odrodzona Polska wygrała z potężnymi Niemcami wojnę celną w latach 20. ubiegłego wieku, zdumienie byłoby może mniejsze.

To oczywiście miłe, że Niemcy zauważają i doceniają nasze sukcesy, ale najważniejsze pytanie, jakie trzeba w tej sytuacji zadać, brzmi: Jakie z nich wyciągają wnioski niemieckie elity polityczne? Czy takie, że z Polską należy się liczyć i ją szanować, czy też że Polska jest zagrożeniem i trzeba, zanim wyrośnie jeszcze bardziej, zniszczyć ją i obezwładnić, „federalizując" Unię, uniemożliwiając „egoistyczne blokowanie decyzji europejskich" i narzucając swoją „praworządność".

Ja znam odpowiedź, ale niech państwo udzielą jej sobie sami. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Zegar tyka

Niezrównany Guy Verhofstadt porównał był parę dni temu Jarosława Kaczyńskiego do Putina. Skoro w Unii (przewodniczący Parlamentu egzekwowali to zawsze bardzo ostro) porównań do ZSSR robić nie wolno, to do postsowieckiej Rosji chyba też? Może więc formalnie ustalmy, co wolno, a czego nie wolno, albo ogłośmy jasno, że Unii i dla chwały Unii wolno wszystko.

Ja w każdym razie Unii do Sowietów porównywać tu nie będę, zachęcam natomiast do (czysto funkcjonalnego) porównania jej do brytyjskiego imperium. Gdy Jerzy VI i Winston Churchill prowadzili wojnę z Hitlerem, wielu antybrytyjskich przywódców na świecie (Éamon de Valera, Dawid Ben Gurion, Mahatma Gandhi) zawiesiło swe narodowe rewindykacje. Zawiesili, ale nie odwołali. Trzy lata po wojnie Irlandia ogłosiła Republikę i opuściła Commonwealth, a Izrael i Indie proklamowały niepodległość.

Wojna na naszych granicach jest niewątpliwie zasadniczą przesłanką bieżącej polityki. To czas, gdy nie należy powiększać sporów i różnic w łonie Zachodu. Ale nie można udawać, że ich nie ma, skoro Polska, biorąc na siebie ogromną część ciężarów solidarności świata zachodniego z Ukrainą, w zamian ze strony UE doświadcza szykan i sankcji. Traktat lizboński zasadniczo podważył polityczną i kulturową pozycję państw Europy Środkowej w Unii, ale był aktem prawa. Wprowadzenie „praworządności za pieniądze" i (choć to już drugorzędne) sposób, w jaki to jest wykonywane – to koniec jakichkolwiek rządów prawa w UE. I kolejny dowód, że długofalowo udział Polski w Unii Europejskiej oznacza rozpad naszej państwowości.

Przypomniałem tych paru wielkich budowniczych państw, bo przywrócenie narodowej niezależności nie jest kwestią jarmarcznej eurosceptyki, ale poważnej polityki. I czas ją, krok po kroku, podjąć. Od tego zależy, czy będziemy mieć przyszłość jako naród czy też nasz byt narodowy stanie się, co najwyżej, reliktem w Muzeum Historii Polski. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

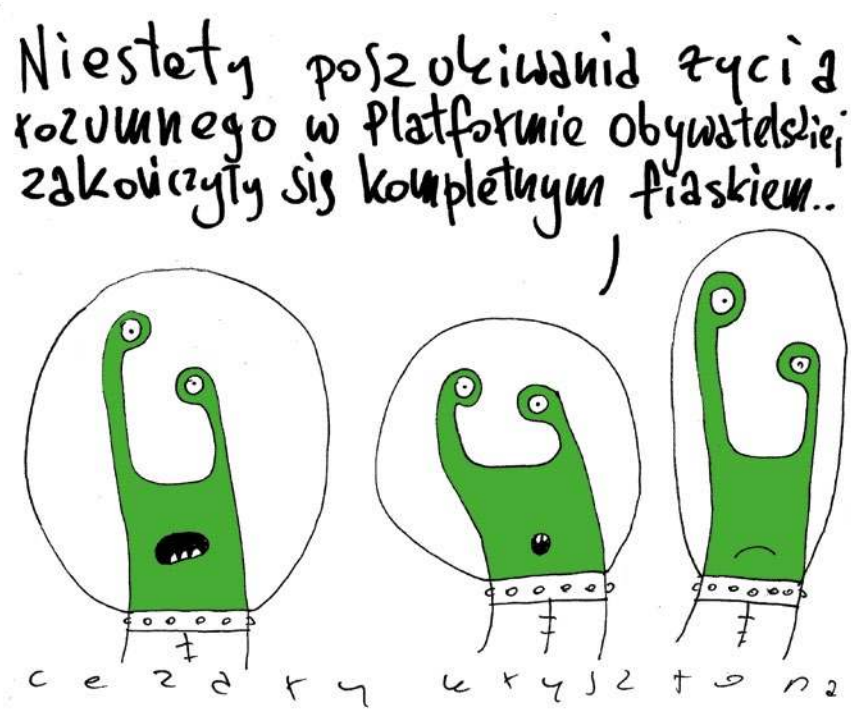

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

„Jaka piękna katastrofa”

Aby oddać to, co dzieje się teraz we włoskiej polityce, przychodzi mi jedynie do głowy cytat z „Greka Zorby”. Włosi mówią o cyrku. Sęk w tym, że mimo zapierających dech akrobacji polityków i brawurowych występów klaunów coraz mniej ludzi ma do tego cierpliwość.

W wyborach 2006 r. udział wzięło 84 proc. Włochów, a potem było coraz gorzej: 2013 r. – 75 proc., 2018 r. – 73 proc. Jeśli wierzyć sondażom, 25 września do urn pofatyguje się zaledwie 60 proc. „Nas to nie bawi” – miała powiedzieć królowa Wiktoria po obejrzeniu kiepskiego musicalu na West Endzie. To samo zdają się mówić Włosi swojej „klasie politycznej”, której najbardziej brakuje właśnie klasy.

Trudno się dziwić. Upadł trzeci rząd tej kadencji parlamentu, co trzeci parlamentarzysta zmienił barwy partyjne, przy czym obalony został premier Draghi, uważany za zbawcę narodu. Kampania wyborcza toczy się w czasie, gdy Włosi są na plażach. Trzeba obiektywnie przyznać, że miłośnicy klaunów i farsy sporo tracą.

Jednego dnia wódz potężnej lewicowej Partii Demokratycznej, były premier Enrico Letta, w uroczystości transmitowanej przez wszystkie włoskie telewizje podpisuje umowę koalicyjną z partyjką Akcja postępowego Carla Calendy. Kilka dni później, również we wszystkich telewizjach, Calenda tę umowę zrywa, bo uważa, że w rodzącej się koalicji jest zbyt dużo komunistów i ekoterrorystów. Faktycznie Letta, żeby uniknąć zapowiadanej w sondażach klęski wyborczej, wziął na pokład zwolenników wyjścia Italii z NATO, eurosceptyków i fanatyków produkcji energii wyłącznie z wiatru. To oczywiście nie przeszkadza mu mówić, że jeśli wygra centroprawica (a wygra), to wróci faszyzm, a Italia wystąpi z Unii i NATO i zwiąże się z Putinem. Natomiast centroprawica jednego dnia powiada, że jej program wyborczy zawiera wyłącznie obietnice spełnialne, a drugiego proponuje podatek liniowy dla wszystkich w wysokości 15 proc.

Tyle że to wszystko jest nie tylko śmieszne. Grozi Italii spektakularną i wcale niepiękną katastrofą. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl a9497fac0a

KAMILA BARANOWSKA

NA PRÓŻNO

FOT. ADOBE STOCK

BIDA W SHOW-BIZNESIE

Aktorka i celebrytka Wiktoria Gąsiewska opowiedziała portalowi Plejada o swoich wakacyjnych wyjazdach, które spędzała w gronie znajomych. – W tym roku chciałam spędzić wakacje w szerszym gronie i zrobiłam sobie dwa miesiące wolnego. Stwierdziłam, że chcę ten czas poświęcić bliskim znajomym i rodzinie – opowiada.

– Po raz pierwszy w życiu byłam w Chorwacji. Pojechałam tam kamperem z paczką znajomych, a teraz wróciłam z rejsu z babcią. Każdemu poświęciłam trochę czasu – dodała. Niestety, po wakacjach, jak zdradziła, czekał ją bolesny powrót do rzeczywistości. – Wydaje mi się, że teraz wszystko jest o wiele droższe. Czasami się łapię za głowę, jak patrzę na ceny cukru. Po takich rzeczach bardzo widać, jak wszystko drożeje, a nasz pieniądz topnieje. Teraz podróżowanie jest o wiele bardziej kosztowne, więc trzeba się na to przygotować – mówi Wiktoria. Przygotować, a nie zrezygnować. Uf, czyli jednak nie taka bida w tym show-biznesie!

CELEBRYTKI ZNAD WISŁY

Lady Colin Campbell, ekspertka ds. brytyjskiej rodziny królewskiej, nie przepada za amerykańską celebrytką Meghan Markle, która została żoną księcia Harry'ego i uciekła z nim z Wielkiej Brytanii. – To wyrachowana kobieta – to jedno z łagodniejszych określeń.

– Widzimy dziś w mediach grupę zmanierowanych, wyjątkowo zawziętych kobiet, które idą przez życie bez żadnego widocznego talentu i wydaje im się, że są najlepszym, co świat widział od czasu wynalezienia krojonego chleba. Wydaje im się, że wiedzą wszystko – mówi Lady Campbell, opisując Meghan Markle. A my nadziwić się nie możemy, jak bardzo ten opis pasuje do niektórych naszych celebrytek znad Wisły. No dobra, tak po prawdzie to do wszystkich.

WODA ZDROWIA DODA

Edzia Górniak powróciła ze swoimi mądrościami, bo – musimy przyznać – już zaczynało nam ich trochę brakować. Tym razem piosenkarka postanowiła przestrzec świat przed wodą w butelkach. „Prawdziwa woda występuje tylko na wolności. Reszta, czyli wszystkie zamknięte na lata w butelkach, to substancje tylko złudnie podobne charakterem do wody" – oznajmia celebrytka na swoim Instagramie. To nie koniec, bo Edzia przekonuje, że w butelce gnije flora bakteryjna wody. „Aby nie zgniła, musi ulec obróbce, czyli zniszczeniu jej flory. W ten sposób powstaje substancja/substytut na podobieństwo wody. Ma jej charakter, lecz nie ma jej struktury" – przekonuje Górniak. Jest jednak rozwiązanie, można samemu uzdrowić wodę! Jak? Cóż, tej części nie zrozumieliśmy, ale może państwo zrozumieją. „Możesz ożywić wodę intencją miłości i wdzięczności. Jeśli uzyskasz właściwy kod jej częstotliwości, to zmienisz jej strukturę. Na podobnej zasadzie, upraszczając, jak uruchamia się silnik od silnika" – zdradza Edzia. Jak ktoś uzyska właściwy kod do tego, co dzieje się w umyśle Edzi, niech zachowa go dla siebie. Świat z pewnością nie jest na to gotowy.

FOT. WPHOTO/EAST NEWS

NIE TYLKO PIENIĄDZE?

Joanna Przetakiewicz, projektantka i celebrytka, która karierę w show-biznesie zawdzięcza głównie byciu byłą dziewczyną milionera Jana Kulczyka, co jakiś czas lubi powspominać w wywiadach dawne życie. Tym razem znów postanowiła opowiedzieć, że, owszem, wiele zawdzięcza Kulczykowi, ale bez przesady, bo korzyści były obopólne.

– Kiedy poznałam Jana, byłam 35-letnią, samodzielnie wychowującą trzech synów matką. Kobietą niezależną, wolną i z totalnie wolnym wyborem – mówi Przetakiewicz w wywiadzie udzielonym koleżance Martynie Wojciechowskiej.

– Żeby było jasne, nigdy nie zaprzeczam temu, że dzięki Janowi ja wjechałam na złotym koniu do wielkiego świata biznesu. Wręcz do świata koronowanych głów [...]. My mieliśmy spotkania o godz. 15 z byłym prezydentem Niemiec, o 19 herbatę z królową i tak dalej... – opowiadała. – Prawdą jest jednak, że nawzajem daliśmy sobie bardzo dużo. Równość w związku to nie są pieniądze, tylko równe zaangażowanie – dodała. Tak, tak wiemy, pieniądze nigdy nie były dla niej najważniejsze, dlatego w każdym wywiadzie Joanna o nich mówi i mówi. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, powszechnie wiadomo, iż Polacy to ksenofoby i nacjonaliści. Teraz jeszcze okazuje się, iż są także militarystami i fashystami ukształtowanymi i żyjącymi w kulcie siły fizycznej, tężyzny i przemocy.

Widzieliśmy bowiem wyniki badania, według którego 54 proc. Polaków popiera przywrócenie przymusowego poboru do wojska, a 78 proc. chce, iżby obywatele podlegali przeszkoleniu obronnemu. Czyli, o ile dobrze rozumiemy, chcieliby, aby każdy dotykał broni i uczył się zabijania. To skandaliczne.

Jak wiecie, mamy analityczne umysły, a więc rozumiemy, iż te 54 proc. i 78 proc. to bardzo dużo. Tym niemniej chcemy wyrazić nasze stanowcze NIE-DLA powszechnego poboru, przeszkolenia wojennego i obcowania z bronią.

Nowoczesne kraje inwestują w przyjazne relacje, dyplomacje, nastawiają się na mediowanie, a nie że od razu łapać za karabin i heja. Przecież my nawet nigdy z bliska nie widzieliśmy karabinu. Skąd mamy wiedzieć, którą stroną się strzela? A jeśli ktoś by nas chciał wsadzić do czołgu? Albo wysłać do lotnictwa? No pasaran!

Wogóle skoro już jesteśmy przy temacie brzydzenia się przemocą, opowiemy wam o naszej najnowszej inicjatywie dotyczącej ekosystemu i utrzymywania równowagi w przyrodzie.

Otósh, jak pewnie wiecie, każdego roku człowiek zabija miliony osobokomarów. Of kors nie jakiś jeden nawiedzony na tym punkcie człowiek, ale tak się mówi. No, ale do rzeczy xD Ludzie zabijają miliony osobokomarów, zaburzając w ten sposób łańcuch pokarmowy i ekosystem, iż w naturze człowiek komarów nie zjada.

Jest więc to nonsensowne zachowanie, wynikające z poczucia ludzkiego przywileju i dominacji nad pozostałymi osobozwierzętami. Dlatego też, chcąc zadośćuczynić, postanowiliśmy zostać żywymi karmnikami dla komarów. W tym celu udajemy się wieczorami w ciemne i wilgotne miejsca przestrzeni miejskiej, rozbieramy się do naga i oddajemy nasze ciała do dyspozycji osobokomarom, które mogą się do woli odżywić.

Of kors trochę nas potem swędzi, nie możemy w nocy spać, jesteśmy pokryci bąblami i w rozumieniu prymitywnych kanonów piękna wyglądamy nieestetycznie, ale jest to ofiara, jaką jesteśmy w stanie ponieść, aby zwrócić uwagę na problem konieczności zachowywania równowagi w ekosystemie.

A na koniec nagramy film z całego przedsięwzięcia i może się uda pozyskać na to jakiś grant na zasadzie, że to sztuki performatywne, więc nie dość, iż robimy coś pożytecznego, to może jeszcze na tym zarobimy.

Zrobiło nam się trochę przykro, iż Paulina Młynarska została w prawackich mediach wyśmiana za pisanie na swoim Facebooku o białym przywileju w kontekście uchodźców, iż wiecie – biali otrzymują w tym kraju ciepłe łóżka, a niebiali umierają w lesie.

Pomijając już kontekst sytuacyjny, do którego odwoływali się Paulina oraz jej fani, używający słów takich jak „zinternacjonalizowany rasizm", zastanowiliśmy się, iż faktycznie – w Polsce skorzystaliśmy z białego przywileju.

Otósh będąc, co przyznajemy ze wstydem, biologicznie i genetycznie osobnikami o jasnym pigmencie, uzyskaliśmy wykształcenie, mamy bezpłatną służbę zdrowia, darmowe studia, „500+" i możemy zasiadać w radach nadzorczych spółek.

Na naszych studiach politologicznych w Krakowie mieliśmy tymczasem tylko jedną osobę pigmentalnie uposażoną, w dodatku tylko przez jeden albo dwa semestry. A ile w Polsce jest osób niebiałonormatywnych w rządzie? W Sejmie, w spółkach Skarbu Państwa? Czy kiedyś w ogóle doczekamy się polskiego Obamy? Czy to wszystko nie jest dowodem na systemowy rasizm w tym okropnym kraju? ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Kabelek

O, proszę, a tam taki kabelek dynda! Panie generale, pan sam zobaczy.
A, to... Panie premierze, ale to akurat tak może być. To nie jest nic groźnego, w takiej ciężarówce po prostu...

Pan ciszej mówi! Ja już wyraźnie powiedziałem, że dynda.

Przecież to już dziennikarze nagrali, bo specjalnie głośno powiedziałem. W „Wiadomościach" to wytną, ale inni puszczą. Jak pan to sobie wyobraża – premier wskazuje, że dynda, a pan to kwestionuje i mówi: „Niech sobie dynda"?
Ale ja za to nie mogę kierowcy ukarać, przecież to nie przejdzie!

To mu pan zasugeruje, żeby jakoś to... Bo ja wiem?

Podwiązał czy coś. Sznurkiem jakimś. O, do tamtego haczyka.
Ale to nie haczyk, to jest cięgno do...

Ależ pan nudzi! A mówiłem Chłopikowi, że ta kontrola tutaj z panem to jest zły pomysł, ale się uparł.
O, żarówkę ma przepaloną! Pan powie głośno, może o tym kabelku zapomną. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Po dzisiejszym cyrku przy przeglądzie autokarów czekam, kiedy premier Morawiecki będzie wizytował jakąś mleczarnię, by osobiście doglądać dojenia krów [...]".

BORYS BUDKA, *wiceprzewodniczący PO, na Twitterze*

eprasa.pl a9497fac0a

eprasa.pl a9497fac0a

POLSCY ŻOŁNIERZE ZACZĘLI JUŻ SZKOLENIE NA CZOŁGACH ABRAMS

– Czołgi Abrams są najnowocześniejszymi na świecie, wzmocnią bezpieczeństwo Polski – mówił w ubiegłą środę wicepremier i minister obrony Mariusz Błaszczak, podkreślając, że Polsce zależy na budowaniu interoperacyjności z armią Stanów Zjednoczonych. W ubiegłym tygodniu na poligonie Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych w Poznaniu (CSWL) odbyła się inauguracja szkoleń polskich czołgistów w ramach prowadzonej przez Amerykanów Akademii Abrams. To z Poznania dowodzeni są amerykańscy żołnierze stacjonujący na wschodniej flance NATO.

W kwietniu szef MON podpisał umowę na zakup 250 amerykańskich czołów M1A2 Abrams SEPv3. Do końca obecnego roku amerykańscy żołnierze mają przeszkolić ok. 150 polskich wojskowych oraz techników. – Polska będzie dysponowała nowoczesną, potężną siłą, aby w sytuacji zagrożenia odstraszyć agresora – zapowiadał w ubiegłym miesiącu szef resortu obrony.

Czołgi M1A2 Abrams SEPv3 są wyposażone w nowoczesne systemy komunikacji i zarządzania walką. Charakteryzują się też wysoką skutecznością prowadzonego ognia.

Błaszczak zwrócił również uwagę, że doświadczenie końca lat 80. XX w. pokazało, iż „imperium zła zostało powstrzymane". – Jesteśmy przekonani, że dziś też imperium zła, które na naszych oczach się odbudowuje – władcy Kremla zdecydowali, że będą to imperium rosyjskie odbudowywali – że to imperium nie będzie odbudowane, że wolny świat zwycięży w tej konfrontacji – podkreślił minister Błaszczak, dodając, że aby ten scenariusz mógł się ziścić, polski rząd zwiększa nakłady na obronność, współpracuje z USA oraz zwiększa zdolności obronne RP. ***(ws)*** © ℗

FOT. JAKUB KACZMARCZYK/PAP

eprasa.pl a9497fac0a

Sieć Sorosa

Tomasz Rowiński

Czy zniknięcie Sorosa rozwiązałoby problem ideologizacji polskiego życia publicznego? Dziś już z pewnością nie. Nie można jednak lekceważyć wpływu jego pieniędzy i instytucji na życie publiczne w Polsce

George Soros pozostaje symbolem zewnętrznego sterowania polityką różnych krajów za pomocą kapitału i idei. Szczególnie dotyczy to państw o słabszej strukturze, w których mają miejsce takie czy inne przekształcenia ustrojowe i społeczne. Nieprzypadkowo amerykański miliarder o korzeniach węgiersko-żydowskich szczególne wpływy osiągnął w regionie Europy Środkowo-Wschodniej, w tym w Polsce.

Oczywiście część komentatorów, nawet tych, którzy zauważają, że w naszym kraju istnieje problem finansowania polityki pieniędzmi z zagranicy, pisze, że oskarżenia wobec Sorosa więcej mają wspólnego z teoriami spiskowymi niż rzeczywistością. W interesującym eseju pt. „Zagraniczne pieniądze kręcą polską polityką? Soros, aborcja i polskie NGO" Piotr Trudnowski, prezes Klubu Jagiellońskiego, pisał o „mitycznych pieniądzach" George'a Sorosa. Z pewnością, od kiedy opinia na temat działalności miliardera straciła – szczególnie w naszej części Europy – wiele z dawnego entuzjazmu, szerzenie przekonania, że wpływy Sorosa są w gruncie rzeczy niewielkie, jest na rękę jemu samemu, tym, którzy dla niego pracują, i tym, którzy biorą pieniądze od jego organizacji.

„Jakkolwiek z agendą wielu organizacji wspieranych przez George'a Sorosa fundamentalnie się nie zgadzam, a w niektórych przypadkach wprost uważam ją za szkodliwą, to jednocześnie jestem przekonany, że polityczne znaczenie »pieniędzy Sorosa« w Polsce jest niewielkie. Najlepszym dowodem na to jest fakt, że nawet jeżeli przez lata środki pochodzące z Open Society Foundations (OSF) pozwalały w Polsce tworzyć silne i nadające [...] ton »środowisku pozarządowemu« instytucje, to nie da się ukryć, że są one są dziś w debacie publicznej zwyczajnie »w odwrocie«" – pisał Piotr Trudnowski. Trudno dojść do źródła opinii o odwrocie „instytucji Sorosa" w sytuacji, gdy postępowa agenda stała się swego rodzaju ideowym core businessem bardzo wielu wpływowych korporacji globalnych. Dziś Soros nie musi wspierać wszystkich i wszędzie, ale niewątpliwie wciąż jest obecny tam, gdzie produkuje się wiedzę i idee. To coś więcej niż odtwórcze treściowo materiały ideologiczne tej czy innej korporacji, to kroczenie naprzód, szukanie nowych możliwości dekompozycji społeczeństw.

LEKCEWAŻENIE ZASAD

Trudnowskiemu chodziło rzecz jasna o coś innego. Chciał zwrócić uwagę na szerszy problem, czyli funkcjonujące w Polsce u lewicowych i liberalnych polityków oraz działaczy przekonanie, że pieniądze z zagranicy na uprawianie

eprasa.pl a9497fac0a

Jeśli szukamy wpływów George'a Sorosa (na zdjęciu) w Polsce, to powinniśmy przeglądać nie tylko granty OSF i jej partnerów. Trzeba raczej prześledzić całą sieć organizacji, zależności i przepływów, w której jedynie węzłowe punkty są często zajęte przez organizacje bezpośrednio zależne od Sorosa i OSF

FOT. FABRICE COFFRINI/AFP/EAST NEWS

polityki można brać i nie ma w tym nic złego. Niestety, wciąż nie da się oddzielić tej kwestii od wpływów, jakie uzyskuje Soros. „Osobiście nie widzę nic zdrożnego, że organizacje, które w Polsce nie mogą znaleźć funduszy, szukają ich za granicą" – pisała była wicemarszałek Sejmu i liderka Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny Wanda Nowicka po tym, jak Instytut Ordo Iuris opublikował raport wskazujący, że zagraniczne organizacje feministyczne przekazały w postaci niewielkich grantów milion złotych, dzięki którym sfinansowano w 2017 r. „czarne marsze".

Ci, którzy lekceważą kwestię oddziaływania Sorosa na polską sferę publiczną, na klimat debaty, zwykle także lekceważą i przemilczają pewne zasady prawne wyznaczające ramy polityki. „Otóż, czy finansowanym z zagranicy organizacjom pozarządowym się to podoba czy nie, polski ustawodawca – niestety dość wybiórczo, ale jednoznacznie co do intencji – zdecydował, że polska polityka nie powinna być finansowana ze środków pochodzących z zagranicy. Tak mówią przepisy Ustawy o partiach politycznych (art. 25), Kodeks wyborczy (art. 132) i wreszcie Ustawa o wykonywaniu inicjatywy ustawodawczej przez obywateli (art. 16)" – pisał w swoim tekście Trudnowski, wskazując, że „czarne marsze" miały miejsce w kontekście Obywatelskiej Inicjatywy Ustawodawczej „Ratujmy Kobiety". W komitecie założycielskim znajdowały się przedstawicielki tych samych organizacji, o których mowa była w raporcie Ordo Iuris.

„Rozpowszechniona narracja wokół tzw. czarnych protestów, które przetoczyły się przez Polskę rok temu, prezentuje je jako ruch oddolny i spontaniczny. Analiza powszechnie dostępnych w Internecie materiałów pokazuje jednak, że na rzekomo spontaniczne działania organizacje feministyczne uzyskały gigantyczne środki z zagranicy, głównie od organizacji finansowanych przez George'a Sorosa" – czytamy w opracowaniu Ordo Iuris. Ordo Iuris wskazywał szczególnie na dwie związane z OSF organizacje feministyczne, które wsparły finansowo organizatorów „czarnych marszów". Były to Global Fund for Women oraz International Women's Health Coalition. Pieniądze płynęły zaś m.in. do wspomnianej Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny. Co ciekawe, ta ostatnia organizacja korzystała także z grantów, jakie można uzyskiwać w ramach tzw. funduszy norweskich, których dysponentem była w tamtym czasie założona w roku 1988 przez Sorosa Fundacja Batorego, bardzo znany i wpływowy think tank otwarcie i skutecznie realizujący w Polsce liberalno-lewicową agendę.

JAK PRACUJĄ PIENIĄDZE SOROSA

Sprawa wpływów Sorosa w Polsce może nie wydawać się zawsze taka oczywista, ponieważ założona przez niego OSF – jak czytamy na portalu eurodesk.pl: „Największy na świecie prywatny fundator niezależnych grup działających na rzecz sprawiedliwości, demokratycznych rządów i praw człowieka" – stara się optymalizować sposób, w jaki wydaje środki. OSF nie obsypuje po prostu pieniędzmi całego libleftowego świata think tanków, NGO-sów. Raczej tworzy lub wspiera instytucje, dzięki którym promowane przez Sorosa idee mogą uzyskać większy wpływ. Wspiera też te ośrodki, które dają szansę budowania odpowiednio sformatowanych intelektualnie sieci powiązań eksperckich, np. pomiędzy mediami a polityką. OSF pomaga też przetrwać okresy politycznej dekoniunktury wybranym mediom czy instytucjom w krajach, które z różnych względów są uważane za ważne miejsca na mapie ideologicznej wojny George'a Sorosa.

Nie chodzi zatem tylko o bezpośrednie przepływy kapitałowe, lecz także o tworzenie sieci ośrodków wpływu. Fundacja Batorego, która oprócz tego, że realizuje określoną agendę intelektualno-polityczną mającą na celu formatowanie dyskursu publicznego, przez lata, właściwie bez kontroli, rozdzielała środki z Mechanizmu Finansowego EOG, czyli tzw. funduszy norweskich. Według raportu, który przygotował kilka lat temu Instytut Ordo Iuris, wynikało, że Fundacja Batorego w zasadzie arbitralnie rozdzielała te pieniądze pomiędzy lewicowe i liberalne organizacje, tak jakby nie miały one charakteru środków publicznych. A przecież Polska otrzymuje je w ramach umowy międzynarodowej z Europejskim Obszarem Gospodarczym w zamian za dostęp krajów wchodzących w jego skład do polskiego rynku. Na początku roku 2021 Sąd Administracyjny orzekł, że Ordo Iuris ma rację, a Fundacja Batorego ma obowiązek udzielać informacji publicznej w zakresie treści umów między fundacją a firmami i osobami fizycznymi zawieranymi w ramach podziału funduszy. Fundacja powinna też ujawnić kryteria przyznawania funduszy, nazwiska, wysokość wynagrodzenia i zakres obowiązków członków gremium dokonującego wyboru projektów uzyskujących dofinansowanie. Dostęp do podobnych informacji powinien dotyczyć ekspertów uczestniczących w ocenie projektów. Organizacja została też zobowiązana do podania dokładnych kryteriów przyznawania funduszy. Wieloletnie unikanie przez Fundację Batorego obowiązku udzielenia informacji publicznej trudno w tej sytuacji opisać inaczej niż uwłaszczenie się ludzi Sorosa na środkach pozostających w gestii polskiego państwa.

Jedno jest pewne: jeśli szukamy wpływów George'a Sorosa w Polsce, to powinniśmy przeglądać nie tylko granty OSF i jej partnerów. Trzeba raczej krok po kroku prześledzić całą sieć organizacji, zależności i przepływów, w której jedynie węzłowe punkty są często zajęte przez organizacje bezpośrednio zależne od Sorosa i OSF.

Oczywiście Soros i jego ludzie w rozmaitych sytuacjach interweniują też bezpośrednio. Gdy spółka Agora, wydawca „Gazety Wyborczej", borykała się z poważnymi problemami finansowymi w 2016 r., do akcji wkroczył wspierany

eprasa.pl a9497fac0a

przez miliardera Media Development Investment Fund (MDIF). Fundusz ten został powołany, by wspierać – a jakże! – projekty medialne w krajach, „gdzie dostęp do wolnych mediów jest zagrożony". MDIF wykupił 5 mln akcji polskiej spółki o wartości bagatela ok. 17 mln dol., czyli wówczas równowartości ok. 65 mln zł. Choć deklarowano wtedy, że inwestycja ma charakter biznesowy, to nie było tajemnicą, że fundusz działa też dla „idei".

Metoda rozwoju MDIF jest znów w pewien sposób charakterystyczna dla podmiotów tworzonych przez Sorosa, które na początku uzyskują rozpęd dzięki pieniądzom miliardera, a potem agregują kapitał ekonomiczny, ludzki i symboliczny – przyciągają podobnych sobie, działających nieraz wcześniej w rozproszeniu. Owszem, MDIF powstał i był wspierany przez OSF, a także Soros Corp, ale – jak pisali w 2016 r. dziennikarze „Gazety Prawnej" – „otrzymał też pieniądze na inwestycje z wielu innych źródeł. Są wśród nich szwedzkie i szwajcarskie agendy rządowe, fundusze inwestujące na rynkach rozwijających się i stowarzyszenia propagujące wolność słowa".

WPŁYWY W WIELU MIEJSCACH

OSF wspiera także bardziej niszowe projekty i przedsięwzięcia, które jednak są uważane za ważne, ponieważ tworzą i rozwijają idee zgodne z ideologią Sorosa. Ważnym beneficjentem OSF jest Stowarzyszenie im. Stanisława Brzozowskiego, czyli wydawca radykalnie lewicowej „Krytyki Politycznej". Jeśli wpływy stowarzyszenia w zeszłym roku wyniosły 5,36 mln zł, a 1,9 mln przekazała w grantach fundacja Sorosa, to znaczy, że mamy do czynienia z bardzo znacznym wsparciem o charakterze bezpośrednim. Znów widzimy zręby pewnej metody, którą można określić mianem „kroplówki" dla środowisk wspierających idee tzw. otwartego społeczeństwa na czasy politycznej dekoniunktury.

W roku 2021 – zapewne wdzięczne za pomoc dla środowiska – Wydawnictwo Krytyki Politycznej wydało książkę Sorosa „W obronie otwartego społeczeństwa", która została na stronie wydawcy przedstawiona jako „ważna lektura dla wszystkich oburzonych ostatnimi zmianami politycznymi". Na portalu KP można było też w zeszłym roku przeczytać opinie prezydenta OSF Marka Mallocha-Browna, który w przeszłości był zresztą zastępcą sekretarza generalnego ONZ. „Musimy zadać pytanie o to, jak odzyskać publiczne poparcie dla norm demokratycznych i praw człowieka, jednocześnie wyraźniej identyfikując wrogów otwartych społeczeństw" – czytamy w tekście Mallocha-Browna. Artykuł ten to zarówno pean na cześć Sorosa, jak i wykład jego ideologii, w której słowa takie jak „demokracja", „wolność" czy „otwarte społeczeństwo" są tylko zasłoną dla działań przeciwko tym, którzy myślą inaczej.

Podmioty tworzone przez Sorosa na początku uzyskują rozpęd dzięki pieniądzom miliardera, a potem agregują kapitał ekonomiczny, ludzki i symboliczny – przyciągają podobnych sobie, działających nieraz wcześniej w rozproszeniu

Ze wsparcia OSF korzysta wiele innych podmiotów, jak choćby wpływowy tygodnik internetowy „Kultura Liberalna", który wśród partnerów ma nie tylko OSF, lecz także Fundację Batorego czy Radę Europy. Ta instytucja także korzysta z finansowego wsparcia fundacji Sorosa. Dzięki pieniądzom OSF odbywają się debaty, wydawane są książki, które zawsze mają podobny wektor – jest nim formatowanie niechęci wobec tych, którzy nie zgadzają się z lewicową i liberalną wizją świata. Wśród grantobiorców OSF można znaleźć wiele interesujących podmiotów, takich jak Sieć Obywatelska Watchdog, Fundacja Panoptykon czy Wydział „Artes Liberales" Uniwersytetu Warszawskiego. Szczególnie jednak świat organizacji pozarządowych – a może raczej pewna jego część – jest przeniknięty wpływami instytucji George'a Sorosa.

Gdy Soros w roku 2020 otrzymywał nagrodę od serwisu Inside Philanthropy, w uzasadnieniu napisano: „Może nie jest to najbardziej kreatywny wybór. Ale żaden darczyńca nie robi więcej, aby odeprzeć wzbierającą na całym świecie falę autorytaryzmu. Soros zaangażowany jest w »swoją największą dotychczasową bitwę« w kraju i za granicą, obiecując przekazanie 800 mln dol. na wsparcie wolności akademickiej w Europie Środkowej".

KRĄG POLITYCZNEJ LOJALNOŚCI

Warto zatrzymać się jeszcze na koniec przy tym, w jaki sposób Soros buduje swoje wpływy – a może bardziej wpływy swoich idei – w polskich mediach. Już sam system grantowy sieciuje ludzi i organizacje, a także wytwarza struktury lojalności i tożsamości ideowej. W lutym tego roku w mediach pojawiło się nagranie z wywiadem, którego bohaterem był Andriej Nosko, były dyrektor OSF odpowiedzialny za „dystrybucję grantów dla think tanków w dziale OSF w Europie".

„Problem można zobrazować tym, że w mediach głównego nurtu jest znacznie mniej korespondentów zagranicznych, którzy relacjonują sprawy większej liczby krajów" – mówił były dyrektor z OSF. „Prowadzi to do sytuacji, w której bardzo łatwo jest oczerniać Polskę i Węgry bez żadnych realnych argumentów" – kontynuował Nosko. Według Noski wielu zachodnich dziennikarzy z lenistwa lub nieznajomości języka zwracało się i zwraca bezpośrednio z prośbą o kontakty komentatorskie czy eksperckie do ludzi związanych z OSF. Ci zaś polecają ludzi z instytucji, think tanków czy mediów powiązanych z nimi ideowo i finansowo. Tamci z kolei polecają innych, ale pozostających w kręgu tej samej ideowej tożsamości czy politycznej lojalności.

Konsekwencje są łatwo obserwowalne. W wielu mediach głównego nurtu na świecie ekspertami od spraw polskich od dekad pozostają dziennikarze „Gazety Wyborczej", „Krytyki Politycznej" czy „Kultury Liberalnej". Oznacza, to że obraz Polski w mediach światowych jest źródłowo wtórny i jednostronny w warstwie zarówno opisu, jak i opinii. Nie mówi się tam, że prawica uzyskuje w naszym kraju poparcie demokratyczne, a lewica lubi ze wsparciem zagranicznych pieniędzy występować przeciwko porządkowi konstytucyjnemu, jak to ma miejsce w sprawie ochrony życia. Za to powtarza się opinie o niedemokratycznym charakterze rządów w naszym kraju i wyssane z palca historie o ograniczaniu wolności działania sił opozycyjnych czy różnych mniejszości.

Czy zniknięcie Sorosa rozwiązałoby problem ideologizacji polskiego życia publicznego? Dziś już z pewnością nie. Nie można jednak lekceważyć tego, że jego pieniądze i jego instytucje, czuwające nad „społeczeństwem otwartym", wciąż stanowią klej integrujący siły występujące – w różnym oczywiście stopniu – przeciw polskiej suwerenności, tradycji polityczno-moralnej, a ostatecznie i wolności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Samozwańczy bóg

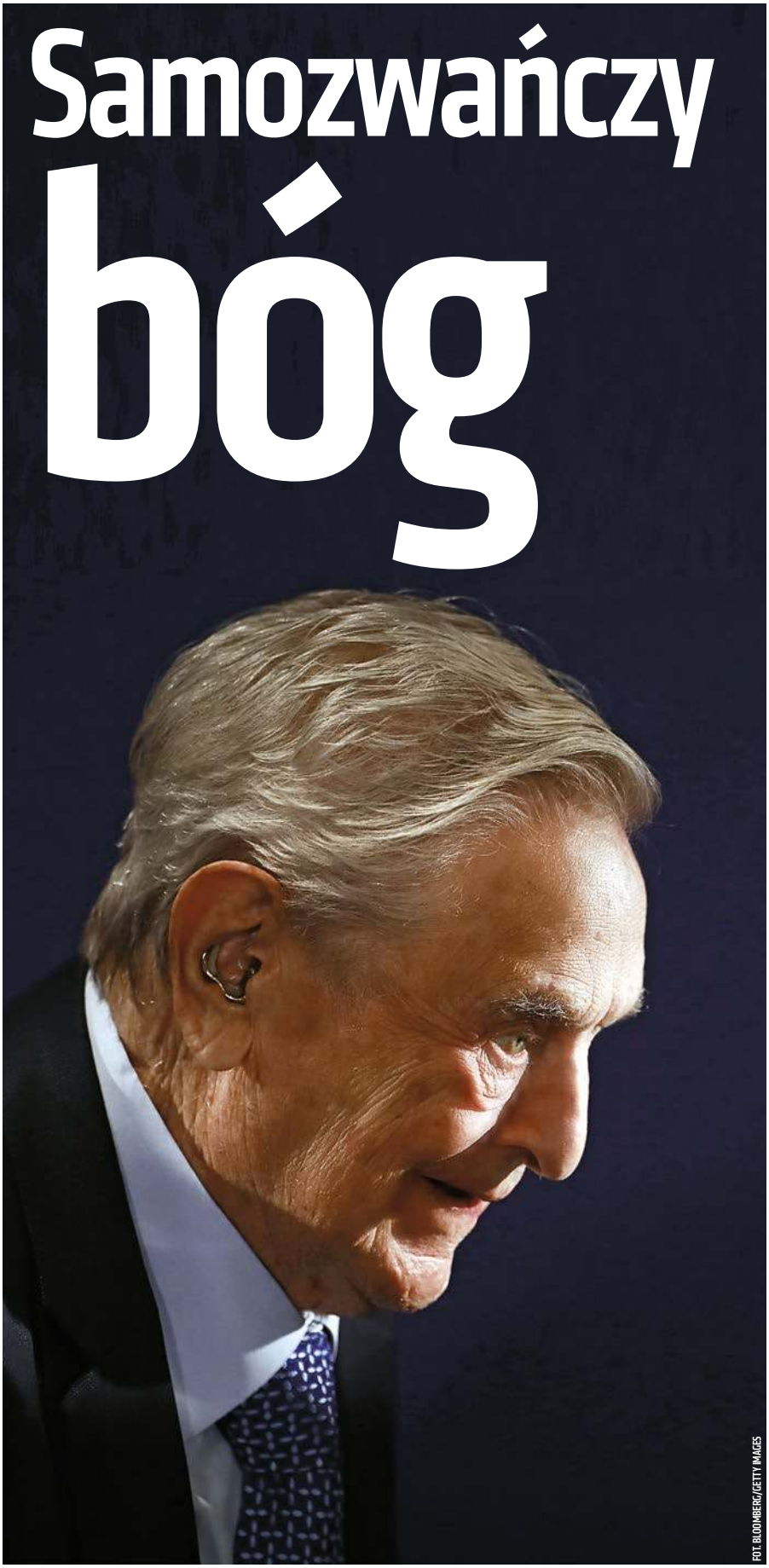

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Wojciech Golonka

George Soros lubi grę na wielu instrumentach, a do nich zaliczyć należy także ludzi uformowanych na jego modłę, o tej samej marksistowskiej wrażliwości, którzy umieszczeni na odpowiednich stanowiskach będą dyskretnie, acz skutecznie wysadzali ramy „społeczeństw zamkniętych"

Istnieją dwie przesady, jeśli chodzi o postrzeganie wywrotowej działalności George'a Sorosa na świecie: twierdzenie, że wszędzie pociąga on za sznurki światowej rewolucji z jednej strony, a z drugiej – przyzwolona ślepota, obojętność, a zwłaszcza bezczynność wobec jego uporczywej działalności na rzecz tejże rewolucji.

Z tych dwóch przesadności to ta druga, ma się rozumieć, jest o wiele bardziej niebezpieczna, ponieważ wciąż wychodzą na jaw kolejne zaskakujące elementy oręża, który miliarder wytrwale wykorzystuje do osiągnięcia wytyczonych przez siebie celów. Obszernie opisano sieć jego organizacji pozarządowych – i poza nielicznymi wyjątkami nie wyciągnięto z tego wniosków; wykazano sposób i zakres sorosoizacji Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, a państwa Rady Europy, pod którą trybunał podlega, niewiele się tym przejęły; w końcu naświetlono związki między Sorosem a agendami ONZ, aczkolwiek brak wyraźnych reakcji politycznych na świecie zdaje się sugerować, że problemu nie ma, przeciwnie – że wpływy filantropa modyfikującego świat na swój obraz i podobieństwo za pomocą swej gigantycznej fortuny są wręcz mile widziane i pożądane.

Niemałym ułatwieniem, gdy idzie o prześledzenie działalności George'a Sorosa, jest to, że w zasadzie od lat nie kryje się on ze swymi intencjami, co oczywiście nie oznacza, że odkrywa wszystkie karty, którymi rozgrywa swoją wojnę z dawnym porządkiem świata. I nie chodzi mi tu w pierwszym rzędzie o kluczową dlań

eprasa.pl a9497fac0a

ideę „społeczeństwa otwartego", która do tego stopnia przyświeca jego aparatowi działania, że stała się zbiorczą nazwą dla całej sieci jego fundacji na rzecz społeczeństwa otwartego (Open Society Foundations), o których za chwilę wspomnimy. Otóż Soros nie kryje się z tym, że jego motywacje, a przynajmniej towarzyszący im stan psychologiczny, mają w sobie coś z fundamentów religijnych, by nie powiedzieć – z religijnego fundamentalizmu. „Jak wykazał filozof Karl Popper, ostateczna prawda jest nieosiągalna nawet w nauce. Wszystkie teorie podlegają próbom, a proces zastępowania starych teorii lepszymi nie ma końca. Wiara odgrywa istotną rolę w społeczeństwie otwartym. Ściśle mówiąc, ponieważ nasze rozumienie jest niedoskonałe, nie możemy opierać naszych decyzji na samej wiedzy. Potrzebujemy polegać na wierzeniach, religijnych bądź innych, które pomogą nam podejmować decyzje" – głosił on na łamach „The Independent" (2 listopada 2014 r.).

A zatem credo radykalnego, ale ślepego, nieudowadnianego progresizmu jawi się jako punkt wyjścia do rewolucji społeczeństwa otwartego, choć w przypadku tego zadeklarowanego ateisty zachodzi dodatkowo wątek zadowolonej z siebie i przekonanej o swej wszechmocy megalomanii: „To pewnego rodzaju choroba, gdy czujesz się jak jakiś bóg, stwórca wszystkiego; jednak czuję się swobodnie od czasu, gdy zacząłem tym żyć" („The Independent", 3 marca 1993 r.).

TKANIE SIECI

Jednakże zanim ten kolejny nowo uświadomiony bóg począł stwarzać gatunek człowieka „homo soros", począwszy od końca lat 60. XX w., najpierw stopniowo budował on swą przemożną fortunę w oparciu o fundusze finansowe, którymi zarządzał, a następnie – które sam tworzył, korzystając przy tym z rajów podatkowych, takich jak Curaçao na holenderskich Antylach. Mimo możliwych chwilowych spadków wartości funduszu, jego Quantum Fund regularnie generował roczne zyski na poziomie nawet 20 proc. – raj zatem także dla inwestorów – i ostatecznie został uznany za najskuteczniejszy fundusz hedgingowy w historii. Amerykańsko-węgierski finansista miał przy tym szczególną smykałkę do spekulacji na wielką skalę, zwłaszcza walutowych, o czym gorzko przekonał się m.in. Bank Anglii w 1992 r., tracąc na jego nagłej wyprzedaży dewiz kilka miliardów funtów.

W chwili, gdy George Soros rozpoczynał swą działalność „filantropijną", miał on zatem rzeczywiście zapewnione własne środki do jej finansowania. Zresztą działalność ta wydawała się z początku jak najbardziej pożądana i niebudząca kontrowersji: w latach 80. XX w. finansista lobbował na rzecz odejścia od realnego socjalizmu i demokratyzacji krajów bloku wschodniego, a wraz z upadkiem żelaznej kurtyny finansował liczne stypendia zagraniczne dla naukowców z byłych krajów komunistycznych.

Historycznie rzecz biorąc, jego działalność skupiła się zatem na Europie Środkowej i Wschodniej – w Budapeszcie zakładał nawet Uniwersytet Środkowoeuropejski – choć model instytutów na rzecz społeczeństwa otwartego został następnie powielony w różnych miejscach globu (Republika Południowej Afryki, Gruzja, Macedonia, Turcja, Pakistan, Malezja). W 1993 r. utworzono z kolei w USA nadrzędną wobec tychże organizację, nadając jej w 2010 r. nazwę Fundacji na rzecz Społeczeństwa Otwartego. Sieć tych NGO ma swe siedziby w kilkudziesięciu krajach świata i prowadzi projekty w ponad 120 krajach. Skąd zatem tyle zastrzeżeń do działalności George'a Sorosa i czemu niektóre kraje ostatecznie zdecydowały się na wydalenie jego organizacji?

GRA NA WIELU INSTRUMENTACH

Mistrz Sorosa, a zarazem jego wykładowca w London School of Economics Karl Popper uważał, że dopóki istnieją w społeczeństwach pewne historycystyczne założenia (czytaj: tradycja, prawo naturalne, tożsamość narodowa etc.), dopóty takowe społeczeństwo jest społeczeństwem zamkniętym. W konsekwencji filantrop w klipie przedstawiającym sieć swych fundacji tłumaczy, że tworzenie się społeczeństwa otwartego jest nigdy niedokończonym procesem, ciągle trwa i wiąże się z tym także… zwalczanie wrogów społeczeństwa otwartego, których należy zatem desygnować.

Nietrudno w tych założeniach i wypowiedziach dostrzec reminiscencje dialektyki marksistowskiej i zamierzonej dekonstrukcji kulturowej, a podobna radykalizacja działań, polegająca na szukaniu kolejnych „barier" w społeczeństwie do zburzenia, oraz otwarte desygnowanie swoich wrogów siłą rzeczy prowadzą do konfrontacji społecznej i politycznej.

Jeśli prawicowym „radykałom" zarzuca się rzekomą obsesję na punkcie Sorosa, to trzeba przypomnieć właściwy porządek rzeczy: to George Soros ochoczo wprasza się w poszczególne regiony świata, desygnuje swoich wrogów, tj. decydentów politycznych niezgadzających się z jego wywrotową agendą, a następnie oświadcza, że zrobi wszystko, co w jego mocy, tzn. użyje swej potężnej fortuny, aby ich politycznie zniszczyć. Jeśli pamięta się jego bardzo stanowcze (i odpowiednio finansowane) zaangażowanie przeciw Donaldowi Trumpowi w wyborach prezydenckich w USA w latach 2016 i 2020, to trzeba przypomnieć, że już w 2003 r. filantrop przejawiał podobną obsesję na punkcie prezydenta George'a W. Busha, wyznając w wywiadzie dla „Washington Post", że usunięcie go z urzędu jest dlań „głównym [ówczesnym] zadaniem życiowym" oraz „kwestią życia i śmierci". Dodajmy, że jest to podejście dość paradoksalne jak na misjonarza społeczeństwa demokratycznego, który najwyraźniej wyniki demokracji, gdy ta nie głosuje jak należy, postrzega w kategorii śmierci.

Otóż to właśnie tego George'a Sorosa, zaangażowanego ze swymi dolarami nie tylko w permanentną przebudowę – rewolucję – społeczeństwa, lecz także w polityczne boje wyborcze, znamy dość dobrze, choć mniej rzuca się w oczy inny aspekt jego działania, a mianowicie ludzkie sieci. Finansista ten lubi grę na wielu instrumentach, a do nich zaliczyć należy także ludzi uformowanych na jego modłę, o tej samej marksistowskiej

George Soros ochoczo wprasza się w poszczególne regiony świata, desygnuje swoich wrogów, tj. decydentów politycznych niezgadzających się z jego wywrotową agendą, a następnie oświadcza, że zrobi wszystko, co w jego mocy, tzn. użyje swej potężnej fortuny, aby ich politycznie zniszczyć

eprasa.pl a9497fac0a

wrażliwości, którzy umieszczeni na odpowiednich stanowiskach będą dyskretnie, choć skutecznie wysadzali ramy „społeczeństw zamkniętych".

Dość dużym echem, wzbudzającym nawet pewną świadomość polityczną, odbił się raport Europejskiego Centrum Prawa i Sprawiedliwości (ECLJ) z 2020 r. w kwestii sorosoizacji Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, o którym zresztą pisałem wówczas na łamach „Do Rzeczy". Do pracy w trybunale, który nie narzuca wymogu zawodowych sędziów, a orzeka jednak w kluczowych dla europejskich państw interpretacjach praw człowieka, czyli również w kwestiach światopoglądowych, zostali oddelegowani związani z organizacjami Sorosa aktywiści, którzy w przeszłości brali nawet udział w postępowaniach przed trybunałem jako strony. Autor raportu, dr Grégor Puppinck, wskazywał na korelację między ich orzekaniem a właśnie elementem wywrotowości w orzeczeniach trybunału. Jego konkluzje spowodowały zablokowanie pewnych kolejnych nominacji w trybunale, jednak na jego ogólne oczyszczenie, poza Rosją, która w 2015 r. podziękowała zresztą Sorosowym organizacjom za dalszą działalność na terenie Federacji Rosyjskiej, w Radzie Europy ochoty za bardzo nie było.

Z kolei w 2021 r. ECLJ opublikował raport na temat finansowania ekspertów Organizacji Narodów Zjednoczonych przez organizacje pozarządowe, które lobbują na rzecz kształtowania agendy ONZ i zamawiają u tychże ekspertów raporty i ekspertyzy. Brak przejrzystości na temat takiego finansowania, również ze strony sieci NGO filantropa, a nawet skandaliczne zatajanie faktu przyjmowanych korzyści niestety odbiły się słabszym echem niż poprzedni raport ECLJ, a politycy przeszli nad tą niebłahą anomalią do porządku dziennego. Co w zasadzie nie dziwi.

W rzeczywistości polityk może kryć w sobie działacza Sorosowej organizacji i vice versa. Ciekawym przykładem jest tu Patrick Gaspard, w latach 2009–2011 bliski współpracownik prezydenta Baracka Obamy (dyrektor Białego Domu ds. politycznych), następnie ambasador USA przy RPA (2013–2016), potem, od 2017 r., prezes właśnie Open Society Foundations (OSF). Otóż gdy Joe Biden został wybrany na prezydenta pod koniec 2020 r., gazety informowały, że Gaspard chce uzyskać odpowiednie dla siebie stanowisko w jego administracji – nie doszło to do skutku, aczkolwiek miała miejsce ciekawa rotacja stanowisk. Gaspard ostatecznie zastąpił Neerę Tanden stojącą na czele Center for American Progress – liberalnego think tanku, fundowanego onegdaj przez Sorosa i mającego czuwać nad zgodnością ustawodawstwa USA z duchem progresizmu, sama zaś Tanden została powołana na specjalnego doradcę prezydenta Bidena. Co ciekawe, Gasparda w OSF zastąpił z kolei inny były polityk i wysoki urzędnik zarazem, sir Mark Malloch-Brown z brytyjskiej Partii Pracy, onegdaj urzędnik Banku Światowego (1994–1999), a następnie Organizacji Narodów Zjednoczonych (1996–2006), w której doszedł nawet do stanowiska zastępcy sekretarza generalnego Kofiego Annana, by kilka miesięcy później objąć tekę w rządzie Gordona Browna w latach 2007–2009. Malloch-Brown był notabene siódmy na liście „Liderów i rewolucjonistów" Time'a za rok 2005.

Samozwańczy bóg próbujący od nowa stworzyć ludzkość przegrał z organizacjami mającymi o wiele mniejsze możliwości finansowe niż jego spektakularna machina wojenna. Poległ we własnym kraju, jeśli chodzi o rząd dusz

Jak widać, lewicowy polityk, minister, wysoki urzędnik światowej organizacji czy przewodniczący sieci Sorosowych organizacji to pojęcia zamienne, a sam „homo Soros" stał się na lewicy gatunkiem w zasadzie pospolitym. Zachodzi bowiem zasadnicza zbieżność agend obu środowisk wraz z radykalizacją ich priorytetów w ciągu ostatnich dwóch dekad: aborcja jako podstawowe prawo reprodukcyjne, rewolucja spod znaku LGBT, legalizacja narkotyków, eutanazji, świat bez granic wobec „migrantów" – oto hasła, które można wyczytać na stronie OSF, a które równie dobrze mogłyby być programem dzisiejszej lewicy w pierwszym lepszym kraju. Co również ciekawe, lewica ta w zamian za sowite datki gotowa jest zapomnieć o dzikim kapitalizmie Sorosa, uprawianym onegdaj w rajach podatkowych, wszak pecunia non olet.

PORAŻKA WE WŁASNYM KRAJU

Na przestrzeni swej przeszło 30-letniej działalności sieć fundacji George'a Sorosa na rzecz społeczeństwa otwartego wydała ponad 18 mld dol. na najróżniejsze programy na rzecz demokracji, niezależnego dziennikarstwa, polityki równościowej, edukacji i zdrowia, obrony praw ludzkich etc. Z jednej strony jest to wystarczająco dużo, aby zarzucić swe hasła w dyskursie publicznym i przygotować pewne kadry, które mogą nieść dalej pochód rewolucji dekonstruującej zastane społeczne „historycyzmy", z drugiej, w porównaniu z nakładami np. Fundacji Billa i Melindy Gatesów, niektórych programów rządowych USA czy w porównaniu z potęgą narzędzi wpływu i cenzury społecznej światowych gigantów z branży IT, dzieło Sorosa pozostaje daleko w tyle.

Dokonało ono jednak czegoś bardzo istotnego. Było zaczynem tudzież katalizatorem mającym zasiać bądź przyspieszyć proces rozkładu, nie tylko „realnego socjalizmu", jak się z początku wydawało, nie tylko reżimów opresyjnych, lecz także trwałego i tradycyjnego społecznego porządku w ogóle. Pod tym względem filantrop niewątpliwie odniósł wyraźne sukcesy poprzez systematyczność i wytrwałość w swoich bojach.

Jednakże u schyłku swego długiego życia 91-letni rewolucjonista musi się też zmierzyć ze spektakularnymi porażkami, choćby z niedawnym orzeczeniem Sądu Najwyższego uchylającym rzekomo zapisane w konstytucji USA federalne prawo do aborcji. Zmiana ta nie byłaby możliwa, gdyby nie zaangażowanie organizacji pro-life w Stanach Zjednoczonych i ich wpływ na społeczeństwo. Bóg wojny wobec swych przeciwników – i samozwańczy bóg w ogóle próbujący od nowa stworzyć ludzkość – przegrał z organizacjami mającymi o wiele mniejsze możliwości finansowe niż jego spektakularna machina wojenna. Poległ we własnym kraju, jeśli chodzi o rząd dusz – bo przecież nie o demokrację tu chodzi; ale przegrał dlatego, że jego przeciwnicy, każdy na swoim miejscu, ludzie z charakterem i przekonaniami, nie dali się uśpić, gdy przyszło spełnić swą powinność.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Taktyka „na sępa”, czyli cztery dylematy Donalda Tuska

Piotr Semka

Donald Tusk lansuje dziś przede wszystkim „politykę sępa”. Czeka, aż zimą dojdzie do katastrofy energetycznej, z przejęciem opowiada, jak szaleje inflacja i drożeje żywność. A jednocześnie unika odpowiedzi na pytanie, co on by zrobił, aby inflacji ukręcić łeb. Pytanie, jak zaprojektuje jesienną kampanię i jak rozłoży w niej akcenty

Szef Platformy Obywatelskiej nie wyróżniał specjalnie daty 3 lipca. Nie było rocznicowej kolacji dla czołówki partii ani podsumowania ostatnich 12 miesięcy. Tusk nie miał najwyraźniej ochoty świętować pierwszej rocznicy swojego powrotu z Brukseli. O tej rocznicy jakoś dziwnie milczano także w zaprzyjaźnionych z opozycją mediach. Ale pośrednio Donald Tusk odniósł się do tej daty, organizując 2 lipca rozreklamowaną konwencję w Radomiu. Zaprezentował tam nową taktykę swojej partii na najbliższe miesiące. Z jednej strony uderzył mocno w PiS, oburzając się na rosnącą drożyznę i niegodne zarobki Polaków. Starał się wylansować nowe hasło: „Skończy się PiS, skończy się drożyzna”.

Dziwnym uzupełnieniem tego ukłonu w kierunku socjalnych lęków Polaków był atak na rząd w kostiumie obrony katolicyzmu. Tusk oburzał się, że PiS-owcy mają się za katolików, robią interesy z Kościołem, a jednocześnie w jego opinii „ich władza opiera się na pogardzie dla ludzi, kłamstwach i kradzieży”. I znów polityk z Sopotu wyrecytował starannie przygotowany slogan: „Wierzysz w Boga? Nie głosujesz na PiS!”.

Niedługo po radomskiej konwencji pracownia Kantar ogłosiła sondaż, rozreklamowany w mediach jako „sensacyjny”. Platforma wyprzedzała w nim o jeden punkt procentowy PiS stosunkiem 27 proc. do 26 proc.

Dyrektor Kantar Public Urszula Krassowska tak komentowała te wyniki dla „Faktu”: „Przewaga największego opozycyjnego ugrupowania jest minimalna, ale zmiana lidera rankingu ma symboliczne znaczenie. Można powiedzieć, że ta zmiana była spodziewana, była kwestią czasu, bo wiele czynników ją uzasadnia, m.in. galopująca inflacja, wzrost cen, drożyzna, polityka Narodowego Banku Polskiego, problemy dotyczące węgla i paliw”.

Sondaż wprowadził publicystów kibicujących Platformie w nastrój euforii. Agnieszka Kublik na łamach „Gazety Wyborczej” przypominała, że ostatni raz PiS za PO w sondażach był w kwietniu 2015 r. W Polsacie politolog prof. Radosław Markowski komplementował Kantar jako ośrodek, który „dobrze radzi sobie z przewidywaniami, co w trawie piszczy”. Markowski uznał badania za ważny sygnał dla opozycji. „Musi ona przemyśleć, czy ten minimalistyczny cel, jakim było zwycięstwo w wyborach i odsunięcie PiS od władzy, nie jest za mało ambitny. Niektórym obywatelom marzy się konstytucyjna większość opozycji” – mówił wy-

eprasa.pl a9497fac0a

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

raźnie zaaferowany profesor. Czas szybko zweryfikował sondaż pracowni Kantar.

W dwóch kolejnych lipcowych sondażach IBRiS, Research Partners oraz Social Changes wyniki wróciły do tradycyjnego poziomu, w którym rządząca partia wyraźnie wyprzedza PO o ok. 8–11 pkt. proc. W badaniu IBRiS (2 sierpnia) stosunek PiS od PO wynosił odpowiednio 34,9 proc. do 27,7 proc., a w sondażu Research Partners (4 sierpnia) – 38,8 proc. do 25,8 proc. Powrót do sondażowej normy wzmocniło jeszcze badanie firmy Social Changes z 6 sierpnia – 38 proc. dla PiS i 27 proc. dla PO.

Powraca więc nienowy kłopot Tuska – niezdolność do przebicia szklanego sufitu na poziomie 25–27 proc. Pytanie, jak w tej sytuacji lider Platformy zaprojektuje jesienną kampanię i jak rozłoży w niej akcenty. Sprawdźmy też, co radzą mu jego publicystyczni kibice z obozu sierot po III RP.

DYLEMATY TUSKA

Dylemat pierwszy. Czy iść w demagogię prosocjalną czy zachowywać liberalny pryncypializm?

Jeśli ktoś kojarzył Tuska ze sztywnym fiskalizmem dawnych liberałów z KLD i ich lodowatym nastawieniem do hojnej polityki socjalnej, to musiał przeżyć szok. „Nowy Tusk" proponuje czterodniowy tydzień pracy i oburza się na zbyt małe rządowe podwyżki dla nauczycieli. Proponuje 20-procentową podwyżkę dla pracowników budżetówki, wsparcie państwa dla posiadaczy kredytów hipotecznych.

To nieznane dotąd oblicze byłego szefa Rady Europy zaszokowało na tyle Leszka Balcerowicza, że ten publicznie zadał pytanie Platformie: „Ile miliardów z budżetu będzie kosztować obiecane 20 proc. podwyżki dla budżetówki i skąd Platforma weźmie na to pieniądze?". Balcerowiczowi odpowiedziała posłanka PO Izabela Leszczyna: „Moja partia i ja korzystamy z wiedzy ekonomistów i ekspertów o różnych poglądach. A naszym celem jest wygrać z PiS".

Bardzo pouczające było obserwowanie, jak polityk PO potraktowała niegdysiejszą legendę transformacji – zwięźle przypominając, że nie ma co pytać o szczegóły, skoro nadrzędne jest wysadzenie PiS z siodła. I właśnie ten wątek zainspirował publicystów sprzyjających opozycji. Witold Gadomski, odgrywający w „Gazecie Wyborczej" rolę liberała w starym KLD-owskim stylu, w dramatycznym tonie upominał na łamach swego dziennika: „Opozycjo, wyborcy chcą prawdy, a nie pięknych obietnic". Gadomski wskazywał, że nowe prosocjalne hasła PO mogą podwyższyć i tak wysoką inflację, i przypomniał, że za czasów premierostwa Leszka Millera SLD przejechał się na obiecywaniu „gruszek na wierzbie".

W kontrze do jeremiad Gadomskiego zalety populizmu sławił Ernest Skalski. I używając wojskowego pouczającego tonu, ogłosił: „Na wojnie robi się tylko to, co służy zwycięstwu". Skalski nie krył się ze swoim cynizmem. „Polityk z prawdziwego zdarzenia w czasie kampanii trwającej u nas stale robi tylko to, co zapewnia zwycięstwo (w granicach prawa). Jak już pisałem o Tusku, wie, co mówi, czyli wie, czego akurat nie mówić. Znający się na ekonomii krytycy obietnic Tuska mają rację. Czy jednak, mając rację, koniecznie trzeba zawsze korzystać z prawa jej głoszenia? Jeśli pragną odsunięcia katastrofy, którą jest kolejna kadencja PiS, to niech poczują się jak piłkarze. Kiedy jeden zawodnik prowadzi atak na bramkę, inni chronią go i podają mu piłkę. A już na pewno nie podstawiają mu nogi".

Zachwyt nad demagogią Tuska popłynął też ze strony portalu OKO.press. Adam Leszczyński kojarzony dotąd z lewicą pisał o nowej retoryce Tuska: „Uwielbiam populistów. Są w demokracji niezbędni. Bez nich [ona] nie przetrwa. Mówią bowiem to, co ludzie chcą słyszeć. Ostatnia przemiana Donalda Tuska znaczy, że to zaczął rozumieć". Na tle tych peanów sceptycyzm przejawił jedynie publicysta Krytyki Politycznej Piotr Wójcik: „Empatyczny zwrot PO to tylko średnio udana akcja marketingowa. Niedługo Tusk włoży czerwoną koszulkę i publicyści uznają to za socjalny skręt byłej partii rządzącej. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie przykre wspomnienia z lat 2008–2015".

Ten dominujący w dużej części liberalnych mediów zachwyt nad makiawelizmem Tuska dobrze wyjaśnia, dlaczego Lewica nie może wyjść poza poziom ok. 8 proc. w sondażach. Jeśli rodzimi socjaliści ulegają dogmatowi „nie ma wroga w opozycji", to zawsze silniejsi będą im zabierać sprzed nosa ich własne postulaty.

A większość mediów niecierpiących PiS zaakceptuje taką ideową maskaradę, gdyż ma tylko jedno życzenie – „aby było tak, jak było". I dlatego Tusk może spokojnie sypać hojnymi obietnicami. Przecież i tak niewielu wskaże w mediach, że prosocjalna metamorfoza lidera PO jest komedią, gdy Tusk jednocześnie oburza się na wzrost cen i galopującą inflację. W dziele pokonania PiS areopag antykaczyzmu daje mu absolutnie wolną rękę. Mamrotania pod nosem autorów wiernych lewicowym pryncypiom nie wychodzą poza niszowe witryny. Jedyne, co może psuć Tuskowi przyjemność w odgrywaniu roli potencjalnego dobroczyńcy budżetówki i najuboższych, to wciąż silna w dołach społecznych pamięć o brutalności jego rządów w okresie, gdy był premierem. I w ten słaby punkt Tuska celuje i celować będzie PiS, przypominając, jak wyglądały jego rządy.

Dylemat drugi. Jak zapowiadać ostre czystki planowane po zdobyciu władzy?

Brutalny język Tuska o planowanym wyrzucaniu Adama Glapińskiego z NBP po zdobyciu władzy przez opozycję był

eprasa.pl a9497fac0a

kolejnym znakiem firmowym nowego etapu wieców. Ale nawet te ostre zapowiedzi wydały się niektórym publicystom sekundującym opozycji zbyt słabe. Na czele „odwetowców" stanął prof. Wojciech Sadurski. „Dumne ogłaszanie, że w odróżnieniu od dzisiejszych barbarzyńców my, konstytucyjni demokraci, będziemy stosować literalnie przepisy i respektować prawne przywileje, nadane sobie przez barbarzyńców, jest pięknoduchostwem" – pisał w „GW". „Może dać poczucie satysfakcji z zachowania cnoty, ale przyczyni się do utrwalenia niepraworządnego status quo".

Sadurski zaproponował, by cały obecny Trybunał Konstytucyjny uznać za nieprawomocny i po prostu go rozpędzić. Jak pisał profesor: „Ci trzej dublerzy, w moim przekonaniu, zarazili cały Trybunał niekonstytucyjnością, nie tylko poszczególne wyroki, lecz także instytucję jako całość [...]. jedynym legalistycznym, zgodnym z Konstytucją ruchem jest wprowadzenie do Trybunału trzech sędziów nieskażonych tym bezprawiem, profesorów Hausera, Jakubeckiego i Ślebzaka i rozstanie się z pozostałą dwunastką. Alternatywa, czyli trwanie przy mantrze »ale przecież oni byli legalnie powołani«, oznaczać będzie, że z konstytucji uczynimy stryczek na demokrację i praworządność".

Taki pomysł przeraził nawet jednego z głównych rzeczników sędziowskiej kontestacji – Marcina Matczaka. Podjął on polemikę z Sadurskim, pytając: „PiS unieważnił wybór 5 sędziów, opozycja miałaby unieważnić wybór 15?".

Tusk będzie musiał teraz zastanowić się, jak daleko posuwać się w zapowiedziach hunwejbińskiej czystki po zdobyciu władzy. Krzysztof Śmiszek z Lewicy ekscytuje się wizją Komisji Sprawiedliwości i Prawa na wzór RPA czy Chile, która będzie orzekać, kto ma być poddany surowemu osądowi. Marian Banaś, skonfliktowany z PiS szef Najwyższej Izby Kontroli, już zgłasza się na świadka koronnego w jakimś megaprocesie PiS.

Wszelkie takie zapowiedzi czystek i aresztów wprowadzają w zachwyt żelazny elektorat PO. Ale na centrowym elektoracie nie robią dobrego wrażenia. Kojarzą się z radykalizmem PO i faktycznym brakiem pewności siebie opozycji zagłuszanym wojowniczymi zaklęciami. Tyrady Bartłomieja Sienkiewicza o „bezprawiu i niesprawiedliwości" czy wyskoki młodych zagończyków w rodzaju posła Brejzy przekonują przekonanych, ale nie pomagają Platformie zdobywać wyborców PiS.

Jednak, jak się wydaje, samemu Tuskowi sprawia przyjemność zapowiadanie odwetu. Pytanie, w jakim stopniu będzie stać go na samoograniczanie się w swoich przemówieniach na trasie wyborczej.

***Dylemat trzeci.* Czy w nowej kampanii wysuwać na czoło Trzaskowskiego czy też nie?**

Na dotychczasowych konwencjach lider PO bardzo dbał o to, by Rafał Trzaskowski, owszem, pojawiał się, ale na drugim czy nawet trzecim planie. I nikogo to nie oburza w „Newsweeku" czy Onecie. Trzaskowski, jak się zdaje, nie ma żadnych wyrazistych stronników w legionie publicystów III RP. Informacje o naciskach Tuska mających zniechęcić niemiecką fundację Adenauera do wspierania zlotu Campus Polska Przyszłości zainteresowały głównie prawicowe media. Ostatnie informacje o cichym sojuszu Grzegorza Schetyny z Rafałem Trzaskowskim były natychmiast dementowane przez niegdysiejszego barona Dolnego Śląska.

Ciekawą opinię wyraził pytany przeze mnie o ten problem jeden z dolnośląskich platformersów. „Jeżeli Schetyna z Trzaskowskim naprawdę chcą wywalczyć partnerską pozycję wobec Tuska, to muszą to zrobić teraz, przed startem ostatniej fazy kampanii. Potem będzie za późno. Albo Tusk w pojedynkę wygra i nie będzie potrzebował ani Grzesia, ani Rafałka, albo przegra i tym bardziej będzie używał retoryki zjednoczenia PO wokół osoby szefa partii w obliczu trzeciej kadencji PiS".

***Dylemat czwarty.* Jak podporządkować sobie Hołownię?**

Na wiecu 2 lipca w Radomiu Tusk wyrażał zachwyt, że tak wielu ludzi nie obawiało się uczestnictwa w spotkaniu z liderem opozycji. Te słowa zostały wtrącone bardzo sprytnie i wiele mówią o samopoczuciu Tuska. Angielskie przysłowie głosi, że kobieta podkreślająca, iż jest damą, udowadnia tylko, że nią nie jest. Jeśli ambitny gdańszczanin musi podkreślać, że jest liderem opozycji, to znaczy, że nim nie jest.

Donald Tusk właśnie teraz potrzebuje niekwestionowanego statusu architekta wspólnej listy opozycji i musi to uzyskać do końca roku. Dla lidera PO nie są problemem ani lewica, ani PSL, które ma problemy z przekroczeniem w sondażach progu 5 proc. Problemem jest Szymon Hołownia, który ciągle potrafi utrzymać swoje 10 proc. w sondażach. A niegdysiejszy celebryta TVN swoim wystudiowanym głosem serwuje Tuskowi pstryczki w nos. „Donald, poczekaj" – tak lider Polski 2050 miał odpowiedzieć w maju br. liderowi PO na jego apel o utworzenie jednej listy wyborczej opozycji. Jak stwierdził Hołownia: „Zawsze, jak rozmawiam z Donaldem Tuskiem, słyszę to samo: jak ja nie dogmatyzuję jednej listy, ty nie dogmatyzujesz dwóch list. Będzie czas, jak przyjdą wybory".

Z punktu widzenia Hołowni jest to racjonalna taktyka. Lider Polski 2050 najwięcej wyrwie od lidera PO w formule „last moment". Jego wyniki sondażowe są na tyle wysokie, że nie musi się bać nieprzekroczenia progu wyborczego. Cała ta nonszalancja niegdysiejszego showmana „Mam talent" podcina nogi powadze Tuska na aktualnym etapie przygotowań opozycji do pojedynku w 2023 r.

CZEKAĆ CZY COŚ ZMIENIAĆ

Profesor Rafał Chwedoruk wskazuje: „PO i – szerzej – cała opozycja mają niełatwy dylemat. Czy dbać o swój podstawowy elektorat – w przypadku PO na poziomie ok. 25 proc. – i czekać na obiektywne, niezależne od siebie wydarzenia, które mogą zaszkodzić PiS, czy też głowić się, jak poszerzyć elektorat do ponad 30 proc. Tusk nie czeka i podejmuje działania ofensywne. Rozszerza agendę swoich haseł wyborczych. Może zyskać nowych wyborców, ale z drugiej strony stracić część starych".

Istotnie, lider PO lansuje dziś przede wszystkim „politykę sępa". Czeka, aż zimą dojdzie do katastrofy energetycznej, z przejęciem opowiada, jak szaleje inflacja i drożeje żywność. A jednocześnie unika odpowiedzi na pytanie, co on by zrobił, aby inflacji ukręcić łeb. Efekciarska formuła: „Skończą się rządy PiS, skończy się inflacja" pomija fakt, że wzrost cen nęka całą Europę.

Tak czy inaczej wiele zależeć będzie od tego, jak PiS poradzi sobie z zimą na przełomie lat 2022 i 2023. Jeśli PiS pomieszają się karty w ręku, to Tusk będzie triumfował. Ale jeśli PiS umiejętnie poradzi sobie z problemami, to cały pomysł na zimową kampanię Platformy okaże się kapiszonem. Bo w końcu mało kto lubi szarobure ptaszyska zwane sępami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Ekoterror w Nadleśnictwie Lutowiska

Ekoterroryści zastawili na leśników z Nadleśnictwa Lutowiska śmiertelną pułapkę. Wbili gwoździe w planowane do pozyskania drzewa. Gdy piła zahaczy o taki gwóźdź, może on zabić. Śmierć grozi też pracownikom tartaku, do którego trafi drewno z powbijanym metalem. Sprawa jest zgłoszona na policję. Lasy Państwowe apelują do wszystkich działaczy i grup „proekologicznych" w całej Polsce: Powstrzymajcie się, zanim dojdzie do tragedii!

11 lipca 2022 r. do Nadleśnictwa Lutowiska wpłynął wniosek Inicjatywy Dzikie Karpaty o odstąpienie od pozyskania dwóch drzew. Inżynier nadzoru i leśniczy pojechali na wskazane przez działaczy miejsce, aby dokonać lustracji. W pobliżu opisanych we wniosku dwóch drzew odkryli drzewo ponabijane gwoździami.

Metoda ta, nazywana tree spiking, jest rozpowszechniana przez skrajnych aktywistów – opisują oni techniki „nakłuwania drzew", polecają sprzęt i konkretne rodzaje gwoździ, a nawet radzą, jak zacierać ślady i nie dać się złapać. Metalowe pręty czy gwoździe wbite w drzewo mają na celu uszkodzenie ostrza lub silnika piły mechanicznej. Gwoździe nabijane w wyższych partiach pnia mają za zadanie zniszczenie maszyn tartacznych stosowanych przy późniejszej obróbce drewna. Poza oczywistymi stratami materialnymi takie działanie stwarza poważne zagrożenie zdrowia, a nawet życia pilarzy i stolarzy.

Tego typu proceder jest tak niebezpieczny, że rząd Stanów Zjednoczonych już w 1988 r. wprowadził ustawę dotyczącą jego zwalczania, a formę takich „protestów" uznał wprost za ekoterroryzm.

– Zwracam się do wszystkich działaczy i grup proekologicznych w całej Polsce: Powstrzymajcie tych, którzy ryzykują życie ludzi. Wbijanie gwoździ w drzewa to nie akcja protestacyjna, to zwykły terroryzm. Powstrzymajcie to, zanim dojdzie do tragedii – apeluje rzecznik Lasów Państwowych Michał Gzowski.

Na obszarze Nadleśnictwa Lutowiska działają dwie grupy aktywistów: posiadająca formalną strukturę Fundacja Dziedzictwo Przyrodnicze i nieformalna grupa Inicjatywa Dzikie Karpaty, skupiająca swoich członków poprzez portale społecznościowe. Na terenie sąsiedniego Nadleśnictwa Stuposiany działa nieformalna organizacja Kolektyw Wilczyce.

Sprawa wbitych gwoździ w Nadleśnictwie Lutowiska została przekazana na policję. Ze względu na dobro śledztwa Lasy Państwowe mogły o tym poinformować dopiero teraz.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl a9497fac0a

PiS w butach Platformy

Jan Fiedorczuk

Przejęcie władzy przez opozycję będzie oznaczać koniec Polski – ostrzega Jarosław Kaczyński i ciężko w tej apokaliptycznej wróżbie nie usłyszeć echa kampanii Platformy Obywatelskiej z 2015 r. Po dwóch kadencjach u władzy PiS zaczyna przypominać schyłkową PO z czasów Ewy Kopacz i Bronisława Komorowskiego

W jakimś sensie nasz rząd wszedł w buty Kazimierza Marcinkiewicza i Donalda Tuska. Jeden wołał „Yes, yes, yes" po zatwierdzeniu budżetu UE na lata 2007–2014, drugi chwalił się, że te pieniądze są największe w historii Polski. Nasz rząd eksponował z kolei na billboardach, że dostaniemy z Unii 700 mld. Staliśmy się zakładnikami tej taktyki – przyznawał europoseł PiS Ryszard Czarnecki w rozmowie z „Do Rzeczy" (nr 30/2022).

Jakkolwiek to spostrzeżenie jest trafne, to samo w sobie nie wyczerpuje tematu. PiS stał się zakładnikiem nie tyle unijnych funduszy, ile własnej narracji o budowie polskiego państwa dobrobytu. Po zdobyciu władzy rządzący uwierzyli, że to głównie dzięki obietnicy socjalnego raju Polacy wynieśli ich do władzy, a ta konstatacja okazała się w dłuższej perspektywie paraliżująca dla partii i niebezpieczna dla suwerenności samego państwa polskiego.

KŁOPOTY W RAJU

Problem w tym, że w dobie obecnego kryzysu gospodarczego narracja socjalno-godnościowa staje się coraz mniej aktualna. Samo „500+" zostało zaakceptowane przez wszystkie ugrupowania opozycyjne (być może poza liberalnym skrzydłem Konfederacji) i po tylu latach coraz mniej jest kojarzone z Prawem i Sprawiedliwością (zwłaszcza że twarz tego programu, Beata Szydło, została odstawiona na boczny tor). Ponadto w wyniku galopującej inflacji wartość świadczenia znacząco zmalała (Instytut Emerytalny informował niedawno, że wartość nabywcza „500+" obecnie wynosi mniej niż 400 zł). A przecież sama inflacja była po części owocem działań rządzących, którzy najpierw sparaliżowali gospodarkę za pomocą lockdownów i restrykcji, a następnie, by ratować polskie przedsiębiorstwa, wpompowali do gospodarki miliardy złotych. Całą winą za rosnące ceny rząd stara się obarczyć Władimira Putina, jednak jest to dość rozpaczliwy ruch świadczący o braku szerszej strategii wybrnięcia z obecnego kryzysu. Odpowiedzialność tak czy inaczej poniesie rząd, bo tylko na nim wyborcy mogą wyładować swój gniew.

Jeszcze przed wybuchem wojny PiS starał się odzyskać inicjatywę za pomocą Polskiego Ładu – potężnej reformy gospodarczej, która miała przetransferować do kieszeni Polaków miliardy złotych, a rządzącym zapewnić trzecią kadencję. Z wielkich planów nic nie zostało, a politycy PiS woleliby chyba jak najszybciej zapomnieć, że kiedykolwiek próbowali wdrażać tę karkołomną reformę.

PYCHA PRZED UPADKIEM

Na te problemy nałożyły się kłopoty związane z bezpieczeństwem energetycznym Polski. Najbardziej podstawowe produkty, takie jak prąd czy gaz, zaczynają być na wagę złota, a opozycja może bezlitośnie punktować rządzących, że w obecnych czasach to nawet słynna Tuskowa „ciepła woda w kranie" staje się luksusem. Nie sposób nie wspomnieć tu o embargu na rosyjski węgiel, z którym to Polska wyrwała się przed unijny szereg, nie przewidując, jakie konsekwencje ta antyrosyjska szarża może mieć dla polskich obywateli. A to przecież pod hasłem przywrócenia Polski zwykłym Polakom PiS wygrał wybory. Na dychotomii „tłamszony lud vs. wyobcowane elity" Zjednoczona Prawica została wyniesiona do władzy i to właśnie ta egalitarna emocja pozwalała rządzącym przetrwać nawet największe potknięcia wizerunkowe.

W ostatnich tygodniach politycy obozu „dobrej zmiany" wielokrotnie jednak udowodnili, że stracili słuch społeczny i sami powoli zajęli miejsce zadowolonej z siebie elity. W obliczu kryzysu energetycznego prezydent Duda apelował do Polaków, aby „trochę zacisnęli zęby" i pozostali optymistami, podczas gdy premier Morawiecki przekonywał obywateli, że skoro sytuacja z węglem jest tak niepewna, to powinni przed zimą ocieplić swoje domy. Ciężko nie mieć skojarzeń z wpadką Bronisława Komorowskiego, który w trakcie kampanii prezydenckiej w 2015 r. doradzał, aby w obliczu problemów finansów „zmienić pracę i wziąć kredyt". I tak jak schyłkowa PO prezentowała się jako partia samozadowolonych z siebie elit oderwanych od życia zwykłych Polaków, tak współczesny PiS cierpi na syndrom „tłustych kotów".

eprasa.pl a9497fac0a

Jarosław Kaczyński stwierdził niedawno, że najbliższe wybory zdecydują o tym, czy Polska ma w ogóle dalej istnieć

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER

Podobnych wpadek polityków Zjednoczonej Prawicy było znacznie więcej: radna Małgorzata Jacyna-Witt chwaliła się na Twitterze grą w golfa, podkreślając, że należy do „elity"; Małgorzata Gosiewska oznajmiła, że spędza wakacje pod namiotem, jedząc kanapki z kawiorem; w czerwcu cała Polska żyła sprawą (byłego już) ministra Cieślaka, który doniósł na pracownicę Poczty, która narzekała na drożyznę. Obecnie z kolei media obiegły wieści, że rządzący planują podnieść pensje posłom i ministrom. Jarosław Kaczyński zapewniał, że jest przeciwny tym pomysłom, jednak informacja poszła już w świat.

To oderwanie od polskiego społeczeństwa nie zaczęło się wraz z pandemią czy wojną rosyjsko-ukraińską. Już wcześniej obserwowaliśmy symptomy alienacji władzy, czego najdobitniejszym przykładem była samobójcza próba wprowadzenia „piątki dla zwierząt", która uderzała w samo jądro elektoratu Zjednoczonej Prawicy. „Słuchać obywateli" – właśnie to hasło powtarzane do znudzenia przez Beatę Szydło i jej ekipę w 2015 r. dało „dobrej zmianie" władzę i trudno zrozumieć, czemu obecnie o nim zapomniano.

SUWERENNOŚĆ W ODSTAWKĘ

PiS przestał słuchać Polaków, koncentrując całą swoją uwagę na prostym transferze środków do określonych grup elektoratu. Socjalna oferta zawsze stanowiła istotny aspekt programu Zjednoczonej Prawicy, jednak obecnie przeistoczyła się w jego esencję.

Stąd też takie parcie władzy na KPO, które traktowane jest niczym ostatnia szansa uratowania wizerunku Morawieckiego jako ekonomicznego demiurga. Dla uzyskania miliardów euro z unijnych pożyczek – których otrzymaniem rząd zawczasu chwalił się na billboardach – premier zgodził się najpierw na wprowadzenie mechanizmu „pieniądze za praworządność", a następnie akceptował niekończące się czołganie Polski przez Brukselę.

Każdy kolejny krok w tył robiony przez polskie władze nie przybliżał nas do unijnych funduszy, a jedynie ośmielał Komisję Europejską do coraz bardziej bezczelnego ingerowania w sprawy Polski. W niedawnym wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" Ursula von der Leyen wprost stwierdziła, że nowelizacja ustawy o Sądzie Najwyższym nie spełnia oczekiwań Komisji. Dodała przy tym, że Polska musi również w pełni zastosować się do postanowienia Trybunału Sprawiedliwości.

– W szczególności nie przywrócono do orzekania zawieszonych sędziów i nadal obowiązuje dzienna kara finansowa – stwierdziła. KE domaga się ponadto od polskiego rządu rozdzielenia funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, co już w oczywisty sposób jest bezprawne, nie ma żadnego związku z KPO i służy jedynie pognębieniu nielubianego rządu. Stanowisko von der Leyen ciężko jednak uznać za zaskakujące – to konsekwentna polityka obliczona na ograniczanie suwerenności państwa polskiego. Kwestia funduszy już dawno temu przestała być problemem dla prawników, a stała się grą o najwyższą stawkę. „Unijczycy" i eurokraci z Brukseli badają, na jak wiele mogą sobie pozwolić, a Warszawie oferują tylko jedno rozwiązanie – pełną kapitulację.

PiS tymczasem, sparaliżowany koniecznością forsowania kolejnych socjalnych pakietów, bezwolnie godzi się na dyktat Brukseli, zupełnie zapominając, że w 2015 r. szedł do wyborów w kontrze do równie bezwolnej, płynącej w głównym nurcie unijnej rzeki, Platformy Obywatelskiej.

POZOSTAŁO STRASZENIE

W 2015 r. PiS oparł swoje rządy na zapowiedzi patriotycznego przewrotu oraz przywróceniu Polski „zwykłym Polakom". Obecnie jednak obie narracje poszły w odstawkę, a pogubiona władza od tygodni nie może odzyskać inicjatywy. Kryzys jest wieloaspektowy, a pogarszające się notowania w sondażach są jedynie jego efektem. Politycy rządzącej koalicji chyba po raz pierwszy od siedmiu lat nie potrafią wytłumaczyć Polakom, czemu ci mieliby wybrać ich na kolejną kadencję.

Aby zamaskować tę pustkę, władza koncentruje się na kolejnych głośnych tematach – ideologii LGBT, niemieckich reparacjach czy konflikcie z Brukselą; wszelako niestety głównie w sensie retorycznym, bo za słowami nie idą czyny. Naczelnym tematem kolejnych wystąpień polityków stała się radykalna krytyka opozycji czy – mówiąc wprost – straszenie powrotem Donalda Tuska do władzy. Najdobitniej wyraz temu dał sam Jarosław Kaczyński, zapowiadając w rozmowie z „Gazetą Polską", że najbliższe wybory zdecydują o tym, czy Polska ma w ogóle dalej istnieć. – Przyszłoroczne wybory są niezwykle ważne […] nie dla naszej partii, ale po prostu dla Polski. Jeśli władzę przejmie opozycja, to konsekwencją będzie finis Poloniae – przestrzegał prezes PiS.

To właściwie już najcięższy kaliber – albo dalsze rządy Kaczyńskiego, albo koniec Polski. Taki przekaz trafia zapewne do żelaznego elektoratu, jednocześnie jednak oznacza, że rządzący nie mają nic do zaoferowania wyborcom centrowym oraz tym znajdującym się „na prawo" od PiS (Solidarna Polska, Konfederacja), którzy krytykują rząd właśnie za brak asertywności wobec Brukseli. Co więcej, taka taktyka do złudzenia przypomina działania Platformy Obywatelskiej z 2015 r., gdy Zjednoczona Prawica szła po władzę z wieloma projektami, a partia Ewy Kopacz potrafiła jedynie straszyć Jarosławem Kaczyńskim, powrotem średniowiecza, autorytaryzmem etc.

PiS znalazł się w butach Platformy z 2015 r. i obecnie ma ostatnią szansę, aby podjąć jakiekolwiek działania, by zmienić ten stan rzeczy. Grożenie powrotem Donalda Tuska na pewno nie odwróci uwagi wyborców od szalejącej inflacji, a z kolei straszenie końcem Polski nie zmieni faktów, że to PiS (a nie opozycja) w ostatnich latach wydatnie przyczynił się do ograniczenia polskiej suwerenności. Aby odwrócić spadkowy trend, konieczna byłaby nowa oferta dla Polaków, nowa narracja polityczna, a tej PiS po dwóch kadencjach u władzy ewidentnie nie potrafi sformułować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Akcja ordynacja

Zuzanna Dąbrowska

Ewentualna zmiana ordynacji do Senatu i/lub do Sejmu wydaje się przy obecnych sondażach dla PiS mocno ryzykowna. Pytanie, czy Jarosław Kaczyński faktycznie chce postawić wszystko na jedną kartę czy tylko testuje opinię publiczną, koalicjantów i opozycję

FOT. ADOBE STOCK

Szef klubu PiS, jeden z najbardziej zaufanych ludzi prezesa, Ryszard Terlecki stwierdził: „Odłożyliśmy już w tej chwili definitywnie. Nie będzie prac nad zmianami w ordynacji. Przyglądaliśmy się, jak mogłyby rozmaite zmiany wpłynąć na wynik wyborów, ale wydaje się, że ta ordynacja, która jest obecnie, jest optymalna". Co ciekawe, mniej jednoznacznie wypowiada się sam Kaczyński. Podczas wizyty w Płocku przyznał, że dyskusja na temat możliwych opcji trwa. – Jest pociągający taki plan, żeby w okręgu senackim byli też posłowie, a także radni do województwa wybierani, bo wtedy to będzie jakby bliżej społeczeństwa. Nie będzie tak jak w jednomandatowych, ale będzie bliżej społeczeństwa. Ale to jest w tej chwili tylko kwestia dyskusji i zobaczymy, co z tego wyniknie – wskazał polityk w połowie lipca.

– Podczas ostatniego posiedzenia Rady Koalicji [która odbyła się pod koniec maja – przyp. Z.D.] nie rozmawialiśmy w ogóle na ten temat. Poruszyliśmy kwestię planów legislacyjnych na najbliższą przyszłość, priorytetów poszczególnych ugrupowań, ale o ordynacji wyborczej nie było mowy – mówi „Do Rzeczy" Adam Bielan, szef Partii Republikańskiej, jednego z koalicjantów PiS. Jednocześnie nie ukrywa, że zagadnienie to przewija się w rozmowach z działaczami formacji Jarosława Kaczyńskiego. Jednak zarówno z przekazów oficjalnych, jak i z naszych ustaleń nieoficjalnych wynika, że na razie decyzja polityczna nie zapadła. Co nie oznacza, że PiS nie sonduje szans na powodzenie operacji pod hasłem „zmiana ordynacji". A jej przeprowadzenie nie byłoby bezproblemowe.

W SENACIE BEZ ZMIAN

Zacznijmy od Senatu, bo tutaj sprawa jest prostsza. Obecnie senatorowie są wybierani w okręgach jednomandatowych, których jest sto. W każdym z okręgów wygrywa ten, kto zdobył najwięcej głosów. Nie ma znaczenia, czy startuje z dużej listy czy z komitetu swojego imienia. System jasny i przejrzysty. Od wyborów z roku 2019 w Senacie większość ma tzw. pakt senacki, czyli Koalicja Obywatelska et consortes. PiS, mimo prób przeciągnięcia na swoją stronę senatorów z PSL lub tych niezależnych, nie udało się „odbić izby". Co więcej, partia Kaczyńskiego straciła jedną szablę. W lutym senator Jan Maria Jackowski został usunięty z klubu (członkiem partii nie był) w związku z licznymi wypowiedziami idącymi wbrew oficjalnemu przekazowi. W tej chwili senacki klub PiS liczy zatem 46 senatorów.

Nic nie wskazuje na to, aby była jakakolwiek szansa na zmianę układu sił, czego przykładem było głosowanie nad wnioskiem o uchylenie immunitetu marszałkowi Senatu. Mimo że Tomasz Grodzki wywołuje zgrzytanie zębów u części swoich partyjnych kolegów, a jego sposób zarządzania izbą nie

eprasa.pl a9497fac0a

budzi entuzjazmu, to kiedy nadchodzi „chwila próby", opozycja głosuje tak, jak musi. Nikt nie zacina się w toalecie czy w windzie.

Już pojawiają się zapowiedzi, że w kolejnych wyborach „pakt senacki" zostanie powtórzony. Wygląda więc na to, że tylko zmiana ordynacji daje szansę partii rządzącej na przejęcie władzy w Senacie. PiS rozważa wprowadzenie ordynacji większościowej i utworzenie okręgów dwu-, trzy- i czteromandatowych (w przypadku Warszawy). Oznaczałoby to powrót do sytuacji sprzed roku 2011. Według senatora Jackowskiego zaburzy to relacje z wyborcami, które udało się wypracować przez ostatnie lata. – Niewątpliwie JOW-y przywiązały senatorów do ich okręgów wyborczych. Bo taka jest logika tej obecnej ordynacji. Obywatele bardzo cenią sobie to, że mogą głosować na kandydata „x" czy „y". Powrót do starej formuły oznacza poluźnienie związku danego senatora ze swoim okręgiem. Uważam, że społeczeństwo odebrałoby tę zmianę jako ograniczenie możliwości wyboru – mówi polityk w rozmowie z „Do Rzeczy".

Opozycja zarzuca wprost, że PiS chce stosować gerrymandering, czyli manipulować przebiegiem granic okręgów wyborczych w celu uzyskania korzystnego wyniku. Efektem jest powstawanie okręgów o dziwnych, absurdalnych wręcz kształtach i granicach. – Ordynacja do Senatu nie była w przeszłości jednomandatowa. Jeśli zacznie się „kroić" te okręgi w sposób istotnie inny niż w przeszłości, to będzie to gerrymandering. Jednak nie każdą zmianę ordynacji należy postrzegać w ten sposób – przypomina politolog prof. Antoni Dudek, dodając, że nie powinno się wylewać dziecka z kąpielą.

Do zmiany ordynacji konieczna jest nowelizacja Kodeksu wyborczego, a tego rządzący nie będą w stanie zrobić bez wsparcia m.in. Kukiz'15. Co ciekawe, Paweł Kukiz raczej nie zamierza „umierać za JOW-y" w Senacie. Stwierdził, że „Senat jest instytucją drugoplanową, która komplikuje funkcjonowanie państwa". Kolejne zdanie rockmana może wręcz szokować: „Senat jest ostatnią instytucją, gdzie potrzebne są JOW-y".

Doktor Paweł Machalski, politolog z Kolegium Jagiellońskiego w Toruniu, wskazuje, że jednomandatowe okręgi nie są konstrukcją idealną. – W kontekście Senatu postulat zmian w ordynacji wyborczej wydaje się uzasadniony. Wprowadzone w 2011 r. JOW-y powodują, że wiele głosów po prostu się marnuje. To zaburza reprezentatywność. Warto byłoby wrócić do ordynacji większościowej, zbliżonej do tej sprzed kilkunastu lat, i 40–50 okręgów wielomandatowych (od dwóch do czterech mandatów). Wówczas głosy realnie oddawane przez wyborców w sposób dużo bardziej miarodajny przekładałyby się na senacką reprezentację – mówi rozmówca „Do Rzeczy". Co najistotniejsze z punktu widzenia rządzących, zmiana ordynacji to realna szansa na uzyskanie minimum 51 mandatów.

OPOZYCJA PRZECIW, ALE GOTOWA DO WALKI

W przypadku Sejmu na prawdopodobieństwo zmiany w ordynacji wskazuje przede wszystkim reforma wewnętrznej struktury Prawa i Sprawiedliwości. Zwiększono liczbę okręgów partyjnych z 41 do 94. Ma to odzwierciedlać planowane zmiany dotyczące okręgów w wyborach. Większa liczba okręgów oznacza podniesienie realnego progu wyborczego nawet o kilkanaście procent. W każdym z okręgów wybierano by czterech–pięciu posłów. To uderzenie w mniejsze partie, które mają poparcie do ok. 12 proc. To jednak niejedyny pomysł. W PiS analizowany jest scenariusz ordynacji mieszanej – na wzór niemiecki. Jak to wygląda? Połowa deputowanych pochodzi z okręgów jednomandatowych, a połowa z partyjnych list. Scenariusz numer trzy zakłada uzależnienie liczby mandatów w okręgu od liczby jego mieszkańców w taki sposób, aby PiS mógł liczyć na pojedyncze mandaty w dużych miastach, które i tak są bastionami liberalnej opozycji. Z kolei na prowincji partia Kaczyńskiego unicestwiłaby konkurencję niemal całkowicie.

Donald Tusk zapowiedział, że KO będzie głosować przeciw zmianom w ordynacji, ale jeśli zajdzie potrzeba, to jego partia „będzie gotowa do wyborów w tydzień". W podobnym tonie wypowiada się Krzysztof Paszyk z PSL. – Nawet gdyby doszło do tych zmian, my, jako PSL-Koalicja Polska, nie będziemy załamywać rąk i będziemy gotowi startować. Zmiana ordynacji nie jest czymś, co pogrąży PSL. Radziliśmy sobie w różnych okolicznościach i różnych czasach – mówi poseł w rozmowie z „Do Rzeczy". Ludowiec dodaje: – Sprzeciwiamy się łamaniu praktyki i zwyczaju, aby na krótko przed wyborami nie dokonywać zmian w ordynacji. Sądzę, że w PiS do tego pomysłu „zapaliło" się kilku polityków, ale jak już opadną emocje, to uznają oni, że na zmianach mogą tak samo zyskać, jak stracić. Zależy, jak się ułożą nastroje społeczne. W PiS wciąż jest wielu polityków, którzy pamiętają czasy AWS.

I to właśnie przykład roku 2001 przewija się w rozmowach na temat zmian ordynacji jako swoiste memento. – Tonący AWS wraz z Unią Wolności i PSL zmienił system przeliczania głosów. Sprawiło to, że SLD, który szedł ku zwycięstwu, stracił ok. 30 mandatów. Przez to rząd Leszka Millera nie mógł rządzić samodzielnie i musiał doprosić do koalicji PSL. UW i AWS to nie pomogło. Więc grzebanie przy ordynacji nie jest gwarancją sukcesu – wyjaśnia prof. Antoni Dudek.

REWOLUCJI NIE BĘDZIE?

W obecnym układzie więcej przemawia za tym, że rządzący nie zdecydują się na wyborczą rewolucję. Po pierwsze, PiS może mieć duży problem z Solidarną Polską. O ile Partia Republikańska stoi przy Kaczyńskim twardo i nie ma wątpliwości co do wspólnego startu w kolejnych wyborach, o tyle formacja Ziobry nie może być pewna swoich miejsc na listach PiS. A skoro zmiana ordynacji do Sejmu uderzyłaby w mniejszych, to SP – tak wynika z politycznej logiki – powinna ją blokować. Po drugie, zmiana ordynacji do Sejmu to pogłębianie duopolu i wymuszenie na opozycji utworzenia jednej listy. – Kiedyś prezes Kaczyński ewidentnie chciał marginalizacji mniejszych partii, czego dowodziła zawetowana przez prezydenta ustawa zmieniająca ordynację do PE, która zmierzała do systemu dwublokowego. Natomiast teraz nie jestem pewien, czy by tego chciał, bo istnieje ryzyko powstania po drugiej stronie, na lewo od PiS, jednej listy. To, co teraz jest mało realne, może za sprawą jednej zmiany ordynacji do Sejmu zostać wymuszone – mówi prof. Dudek. Sondaże pokazują, że PiS w starciu z jednym blokiem opozycji wybory przegrywa.

Spekulacje o chęci zmiany ordynacji mogą być więc zatem nie tyle faktycznym przygotowaniem do konkretnych kroków, ile przekierowywaniem uwagi „komentariatu" na temat mniej problematyczny niż np. rekordowa inflacja. Może to być także badanie nastrojów społecznych. Podobnie jak rozsiewane jakiś czas temu pogłoski o wcześniejszych wyborach, których (na 99,9 proc.) nie będzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Barbara Kurdej-Szatan wystąpiła na Pol'and'Rock Festiwal jako ofiara hejtu. Wcześniej nazywała fukcjonariuszy Straży Granicznej mordercami

FOT. KRĘCIOŁA TV/YOUTUBE

Odwracanie pojęć

Kamila Baranowska

Nazywać hejterkę ofiarą hejtu, a kpiny z innych – tolerancją. Czy rzeczywiście jest tak, że zaślepionym polityczną nienawiścią ludziom można dziś wszystko wmówić?

Nie bądźcie obojętni na to, co się dzieje wokół was. Walczcie swoją energią, twórzcie, budujcie. Nie dajcie się ludziom ponurym, nie ufajcie tym, co chcą was czarować – tymi słowami zwrócił się do młodzieży obecnej na tegorocznym Pol'and'Rock Festival jego organizator Jerzy Owsiak. Potem mówił jeszcze o swoim marzeniu, a jest nim „kraj, w którym wszyscy będą się szanować i żyć w przyjaźni".

Ktoś, kto śledził doniesienia z imprezy, mógł przecierać oczy ze zdumienia. A nawet podejrzewać, że Owsiak cierpi na jakąś amnezję albo rozdwojenie jaźni. Bo jak można mówić coś takiego na koniec festiwalu, którego główne punkty były zaprzeczeniem słów o szacunku i życiu w przyjaźni?

ŁZY HEJTERKI

Jednym z gości tegorocznego festiwalu była celebrytka i aktorka Barbara Kurdej-Szatan. Ta sama, która nie tak dawno zasłynęła potokiem kłamstw i wulgaryzmów pod adresem polskiej Straży Granicznej, której funkcjonariuszy nazwała „mordercami". Działo się to przy okazji kryzysu na granicy polsko-białoruskiej.

„Maszyny ślepo wykonujące rozkazy!!!!! Ku..a!!!!!! Jak tak można!!!!!! Boli mnie serce, boli mnie cała klatka piersiowa, trzęsę się i ryczę!!!!!! Mordercy!!!!! Chcecie takiego rządu wciąż???" –

eprasa.pl a9497fac0a

tak pani celebrytka pisała o strażnikach, którzy wykonywali swoją pracę, chroniąc granice państwa.

Jej słowa spotkały się z powszechną krytyką i brakiem zrozumienia, co dla celebrytki musiało być nie lada szokiem. Dotąd zaangażowanie polityczne po jedynej słusznej, poprawnościowo-postępowej stronie zawsze gwarantowało poklask i atencję, nic więc dziwnego, że Kurdej-Szatan poczuła się oszukana.

Doradzono jej przeprosiny, co też uczyniła. Nie pomogło, bo i tak straciła pracę w serialu TVP, a także w kampanii reklamowej dużej sieci komórkowej, której była twarzą i która przyniosła jej popularność (oficjalnie kampania z jej udziałem i tak miała się już skończyć, i nie miało to związku z jej wpisami na temat Straży Granicznej). Zyskała za to rozgłos i popularność w mediach białoruskich, które wykorzystywały informacje o jej wyczynach do krzewienia antypolskiej propagandy.

Żeby ratować swój nadszarpnięty wizerunek, udzieliła paru wywiadów, w których zaczęła kreować się na… ofiarę całej sytuacji. Pojawiły się także teksty w plotkarskich portalach cytujące jej znajomych, opowiadających, jak „Basia przeżywa to wszystko" i płacze po kątach. I właśnie jako ofiara hejtu Kurdej-Szatan wystąpiła na Pol'and'Rock Festiwal, gdzie ze sceny opowiadała zebranym o swoich doświadczeniach. – Zrobiłam coś spontanicznie, pod wpływem emocji. Po dwóch dniach usunęłam ten post. Przeprosiłam. Wytłumaczyłam. Ale fala nagonki, życzenia mi śmierci były dla mnie szokujące. To był atak państwowy, z góry narzucony. Byłam totalnie przerażona. Nie chciałam jechać do Krakowa grać spektaklu. Kilka dni wcześniej osprayowali tam grób Stuhrów. Zaczęłam się bać, że ktoś mi coś zrobi. Byłam w szoku. W końcu pojechałam zagrać ten spektakl. To było dla mnie jak terapia – mówiła.

W pewnym momencie w ramach pytań od publiczności odezwał się młody mężczyzna, który okazał się być żołnierzem. Zarzucił celebrytce, że w czasie, gdy on i jego koledzy nadstawiają karku na granicy, ona chodzi po restauracjach i popija kawę. Celebrytka odpowiedziała, że „zadań, które są niezgodne z prawem, żołnierz nie musi wykonywać", i dodała, że ona „straciła niejedną pracę za to, co powiedziała". Tak, aktorka serialowa przyrównała swoją pracę do pracy żołnierza, a potem publicznie zalała się łzami, co spotkało się z żywiołową reakcją publiki, która jej łzy nagrodziła owacją. Żołnierz machnął ręką i odszedł. I tak oto Kurdej-Szatan osiągnęła swoje. Już nie musi przepraszać, już nie musi wstydzić się własnych słów, teraz dumnie mówi o tym, że w sumie miała rację, tylko zbyt emocjonalnie ją wyraziła. A krytyka, która na nią spadła, była hejtem nakręcanym przez złą prawicę i jeszcze gorszy PiS. Nic to, że ta narracja nie ma zbyt wiele wspólnego z prawdą czy logiką, ważne, że są ludzie, którzy to tłumaczenie kupują.

A jeśli jeszcze uwiarygodnia je sam Owsiak, to pani Kurdej-Szatan urasta do rangi bohaterki, męczennicy niemalże. Za chwilę będzie także gościem organizowanego przez Rafała Trzaskowskiego Campusu Polska, gdzie znów będzie powtarzać wyuczone formułki o emocjach, które ją poniosły, o racji, którą miała, by na koniec zalać się łzami dla większego efektu. Jeśli jeszcze wmiesza do tego Kaczyńskiego, to nie tylko uzyska rozgrzeszenie, lecz także wywoła euforię zgromadzonych. I tak to się kręci. Wulgaryzmy przestają być wulgaryzmami, kłamstwa kłamstwami, a głupota głupotą.

Na tym samym festiwalu Owsiaka, na którym Kurdej-Szatan płakała z powodu hejtu, miał miejsce Marsz Równości, bo – jak pisano – „festiwal jest fantastycznym miejscem do pokazania radości, koloru, dobrego nastroju, a przede wszystkim budowania ogromnej wspólnoty, która tworzy niesamowitą jedność ludzi o bardzo różnych poglądach, religiach […]". W ramach tej jedności i szacunku, wobec innych religii zwłaszcza, zgromadzeni na marszu w sposób prześmiewczy zaczęli śpiewać pieśń religijną „Barka". – Zostało zapodane życzenie muzyczne – podśmiewa się prowadzący, intonując pieśń przez megafon. Na zdjęciach z festiwalu nie zabrakło też innych symboli tolerancji i szacunku wobec katolików, jak choćby krzyża skleconego z puszek po piwie.

ALTERNATYWNA RZECZYWISTOŚĆ

Odwracanie pojęć stało się już czymś tak częstym, że przestajemy to zauważać. Ktoś nazywa czarne białym, a na nikim nie robi to wrażenia. Jest to tym prostsze, im bardziej podzielone mamy społeczeństwo. Wiadomo, że jedna strona nie ufa drugiej za grosz i nie potraktuje poważnie niczego, co mówią tamci. I odwrotnie. Efektem tego jest to, że „swoim" można dziś wmówić wszystko, nawet najbardziej absurdalną rzecz. Na przykład to, że kabaret Neo-Nówka ze swoim politycznym, wymierzonym w PiS skeczem, w którym roi się od wulgarnych, seksistowskich i prostackich gagów, obrażających inteligencję widza, jest śmieszny i odważny. Albo że Władysław Frasyniuk, ubliżający żołnierzom i wyzywający ich od śmieci (sprawa podobna do tej z Kurdej-Szatan, bo też chodziło o żołnierzy broniących polsko-białoruskiej granicy), to bohater, który się PiS nie kłania, więc wolno mu więcej. W tym wypadku odwracanie pojęć i tłumaczenie, że w sumie nic złego się nie stało, jest nawet prostsze, bo podparte decyzją sądu, który uznał, że choć Frasyniuk jest winny znieważenia i pomówienia, to nie skaże go i umorzy sprawę.

W odwróconej rzeczywistości świetnie odnajdują się także, a może przede wszystkim, politycy, którzy uznali, że mogą powiedzieć dowolną bzdurę i nikt ich z tego nie rozliczy. Najlepszy i najbardziej spektakularny tego przykład mieliśmy ostatnio przy okazji wybuchu wojny na Ukrainie, gdy opozycja zaczęła głosić publicznie, że PiS jest i zawsze był partią otwarcie prorosyjską. Trudno o większy szpagat w wykonaniu polityków partii, która przez ostatnie lata głosiła, że PiS swoją rusofobią psuje relacje z Rosją. To samo zresztą widać w zupełnie innej sferze polityki – sprawach społecznych. Donald Tusk uznał, że nie da się wygrać wyborów, stając w kontrze do polityki socjalnej PiS, będzie więc próbował przekonać ludzi, że to on, od zawsze, był jej największym propagatorem. Mamy już narrację, że „500+" było pomysłem Ewy Kopacz, a Donald Tusk nie tylko nie odbierze czternastek emerytom i świadczeń rodzinom, lecz także na dodatek skróci pracownikom tydzień pracy do czterech dni. A że nijak się to ma do jego wcześniejszych deklaracji i liberalnych korzeni Platformy, nie szkodzi. W imię pokonania PiS nie takie pojęcia się odwracało!

LUD TO KUPI?

W całym procesie odwracania pojęć, niezależnie, czy dotyczy to polityki czy show-biznesu, jedyną nadzieją jest ów „ciemny lud", który rzekomo „wszystko kupi". Bo często okazuje się, że na koniec ów lud potrafi wykazać się zaskakującą przenikliwością i dobrym wyczuciem tego, co jest ściemą, a co nie. Ci, którzy z odwracania pojęć uczynili swój sposób działania, bardzo tego czynnika nie doceniają. Na szczęście.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Z dr. Gabrielem Janowskim, nauczycielem akademickim, byłym ministrem rolnictwa
rozmawia Łukasz Zboralski

Musimy kształcić ludzi kreatywnych

FOT. MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

ŁUKASZ ZBORALSKI: Może niektórych to zaskoczy, ale chciałbym z panem porozmawiać o edukacji...

GABRIEL JANOWSKI: ... wie pan, to od dawna było w moich programach politycznych i bardzo często wywoływało zdziwienie, bo każdy zaczynał od gospodarki, a ja zawsze podkreślałem rolę szeroko rozumianej edukacji i nauki.

Słuchałem pana wielu wypowiedzi i wiem, że podoba się panu fiński model edukacji. Chciałby pan zmienić tak polskie szkoły?

Trzeba brać wzór z tych najlepszych. I niewątpliwie Finlandia uznana jest za jeden z czołowych krajów, w którym do edukacji przywiązuje się ogromną wagę, uczy się wspólnotowego działania, nie mówiąc o ograniczaniu korzystania ze smartfonów, by dzieci nie zajmowały się tym ponad miarę, żeby nie stawały się niewolnikami technologii.

Nie tylko jednak Finlandię brałbym za wzór. Może nim być też Korea Południowa, w której nauczyciele są świetnie opłacani i ich nabór następuje poprzez konkursy.

Zawsze marzyła mi się taka edukacja, która kształciłaby ludzi wszechstronnych, kreatywnych.

To się nam w Polsce chyba trochę udało?

Wie pan, pod koniec XIX w. w Japonii wprowadzono obowiązek szkoły podstawowej. Dziesięć lat przed tym w Polsce dopiero zniesiono pańszczyznę, a walka z analfabetyzmem trwała u nas jeszcze po drugiej wojnie światowej. To pokazuje pewną rozpiętość edukacyjną w Polsce i w niektórych krajach, które uzyskiwały przewodnictwo w świecie, rozwijając przemysł, gospodarkę, kulturę techniczną.

Uważam, że nam w Polsce z edukacją udało się to tylko w części. Po przemianach w 1989 r. w większym stopniu dopuszczono szkolnictwo prywatne i powstawały szkoły, które próbowały różnego nauczania. Byli tam specjalnie dobierani nauczyciele, których pasją było edukowanie. Mam przyjaciół, którzy prowadzą takie szkoły. Natomiast to wszystko mieści się jednak jeszcze w tym schemacie klasycznej szkoły. A to, co jest novum w polskich warunkach, to edukacja domowa.

Pan jest zwolennikiem edukacji domowej. Jednak – biorąc pod uwagę czas pandemii, który wiele nam pokazał – czy kształcenie dzieci w domach

eprasa.pl a9497fac0a

nie jest pewnym zagrożeniem? Szkoła to przecież nie tylko pewien państwowy system nauczania, lecz także możliwość socjalizacji. To dzieciom jest potrzebne.

Edukacja domowa nie zakłada izolacji dzieci i trzymania ich wyłącznie w domu. Dzieci zapisywane są do normalnych szkół. Tam zdają też egzamin. Jednak te szkoły, w których wykorzystuje się spersonalizowaną edukację – choćby innowacyjne szkoły założone przez państwa Zakrzewskich, szkoły Salomon – dopuszczają pewną, jak to nazywam, „bioróżnorodność" w edukacji. W tych szkołach dzieci wspólnie się spotykają, wyjeżdżają, mają zajęcia pozaszkolne. Przebywają ze sobą. Zatem edukacja domowa nie oznacza wyłączenia dzieci ze środowiska rówieśników.

Inicjatywami, które wyszły z Polski, są kluby edukacji spersonalizowanej i demokratycznej. Działają wśród Polonii i w wielu krajach na świecie.

Dodajmy też, że dzieci, których rodzice wybrali nauczanie domowe, także wspólnie się kształcą. Czasem zbiera się kilka rodzin i jedni rodzice uczą czegoś, a inni czegoś innego. To nie jest tylko indywidualne nauczanie. Możliwości wspólnego kształcenia wciąż są, choć najczęściej odbywa się to wówczas w mniejszych grupach. Wówczas można poświęcić więcej uwagi na indywidualizowanie nauczania, a to jest moim zdaniem szalenie ważne. Bo powinniśmy kształcić ludzi nie schematycznych, a kreatywnych. Dzisiejszy świat rozwija się dzięki ogromnej kreatywności ludzi. Dawniej czeladnik naśladował mistrza, opanowywał umiejętności i działał. Obecnie potrzebna jest daleko idąca kreatywność. Im wcześniej rozpoczniemy kształcenie ludzi w tym duchu, tym lepszymi studentami, pracownikami czy członkami społeczeństwa oni będą.

Z drugiej strony, badacze zajmujący się edukacją mówią, że wszelkie nowinki, nowe podejścia zawsze ubogacały system edukacji, ale nie są w stanie go zastąpić. Jeśli coś ma być powszechne i państwowe, to zawsze będzie trochę schematyczne. Pytanie więc, jak zrobić, by w Polsce jeszcze pewne rzeczy, np. indywidualizacja nauczania, przeniknęły do systemu? W Wielkiej Brytanii dzieci mogą wybierać kilka przedmiotów, które je interesują, i te zgłębiać. Czy tak trudno zrobić to samo w polskich szkołach, w których wciąż zasypujemy dzieci masą obowiązkowych przedmiotów?

Trudne to nie jest, tylko po pierwsze – potrzebne są pewne podstawy prawne. My raczej tworzyliśmy prawo, które unifikowało sposoby nauczania. Krańcowym przypadkiem są testy, gdzie młodzi się nie rozwijają, ale uczą się odpowiadać na schematyczne pytania.

Przywołam też przykład pewnej nonszalancji ustawodawczej u polityków. Za AWS, za ministra Handkego, gdy poszukiwano nowych sposobów lepszego kształcenia, wprowadzono nową ustawę oświatową. Okazało się, że to się wcale nie sprawdziło, wywołało wiele zaburzeń i powrócono przecież do poprzedniego systemu, bez gimnazjów. Dlatego ustawy o charakterze ustrojowym należy wprowadzać po przeanalizowaniu efektów nauczania według starego wzoru i należy te rzeczy uzgadniać z opozycją – żeby nie było tak, że gdy opozycja dochodzi do władzy, to likwiduje to, co jej poprzednicy wprowadzili.

Pan ma też oczywiście rację, że np. edukacja domowa to specyficzna forma kształcenia. I najczęściej dzieci według tego modelu kształcą ludzie wolnych zawodów, aktorzy itd. Jednak ten model edukacji jest dostępny dla wszystkich, także dla pracujących etatowo choćby poprzez kluby edukacji spersonalizowanej.

Gdy tak pana słucham, to w podejściu do edukacji ma pan dużo więcej wspólnego z opozycją niż partią rządzącą, która chciałaby jednak mieć cały system edukacji w ręku, by jako państwo formować pewien model obywatela.

Opowiem coś panu. Na początku stanu wojennego przychodzili do mnie ubecy i pytali: Dlaczego pan, jako nauczyciel akademicki, nie naucza w duchu marksizmu, leninizmu?! Ja ich zapytałem, czy byli kiedyś na łące. Zdezorientowani potwierdzili. No to pytam dalej: Co się tam wam podobało? Mówią: Różne rośliny, kwiaty… A widzicie! To też jesteście za różnorodnością? Bo ja jestem za różnorodnością w nauczaniu.

Wracając do systemu państwowego – szkoła na pewno narzuca jakiś porządek. I jeśli jest to odpowiedzialne, jeśli ministrowie i urzędnicy mają dość wyobraźni i kultury, to nie będą dążyć do ideologizacji tylko do wszechstronnego kształcenia. Zawsze jest pokusa, by coś tam narzucić. Gdy będą rządzić lewicowcy, będą narzucać wartości lewicowe. Konserwatyści – wartości konserwatywne. A powinno się po prostu kształcić młodego człowieka według najlepszych wzorów i wartości, przede wszystkim czerpiąc z tradycji rodzinnych. I właśnie w edukacji domowej taka możliwość jest, żeby przekazywać wartości poprzednich pokoleń, czerpać z przeszłości. To rodzice mają największe prawo, by kształcić i wychowywać swoje dzieci. Pytanie oczywiście, czy dzisiejsi rodzice są do tego wystarczająco przygotowani? Czy z kolei ich rodzice nie byli za bardzo zaangażowani w sprawy zawodowe i szkoła nie przejmowała zadań wychowania, nauczania? A jeśli tak, to czy tamto kształcenie szkolne odpowiadało temu, co się nazywa dobrem wspólnym?

Zawsze jest pokusa, by coś narzucić. Gdy będą rządzić lewicowcy, będą narzucać wartości lewicowe. Konserwatyści – konserwatywne. A powinno się po prostu kształcić młodego człowieka według najlepszych wzorów i wartości, czerpiąc zwłaszcza z tradycji rodzinnych

Wrócę jeszcze na moment do edukacji domowej. Wydaje się, że po latach, obecnie, jest to bardzo proste. Zniknęły zbędna papierologia i bariery urzędowe. Zależy to już tylko od chęci rodziców i ich wyborów.

Niewątpliwie dzisiaj tak jest. I to jest ogromna zasługa państwa Marzeny i Pawła Zakrzewskich, którzy jeszcze w 2009 r. wprowadzali trafne rozwiązania edukacyjne, jeśli chodzi o edukację domową. Ustawa z 2021 r. przyjęta jednomyślnie przez parlament, nazywana „ustawą państwa Zakrzewskich", jest naprawdę dobrym prawem, dającym możliwości nauczania domowego rodzicom.

Łyżkę dziegciu jednak dołożę. Trzeba jednak zauważyć, że gdy państwo Zakrzewscy rozwinęli tego rodzaju edukację, to nie wszystko się urzędnikom podobało i zaczęli wobec nich stosować rozmaite restrykcje. Ostatecznie Zakrzewscy zostali oczyszczeni ze wszelkich zarzutów. Było to przykre, ale to często spotyka pionierów, tych, którzy idą pod prąd. Silni duchem, a przede wszystkim 14-osobową rodziną, wciąż działają dla wspólnego dobra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Szukamy znaków

Piotr Gociek

„Notre-Dame płonie" to film arcykatolicki w swojej wymowie, aż trudno uwierzyć, że powstał w dzisiejszej laickiej Francji

Notre-Dame płonie" to film zrobiony według wzorców klasycznego kina katastroficznego, tyle że zamiast płonącego wieżowca w Los Angeles, zamiast tonących „Posejdonów", „Britanniców" czy „Titaniców", zamiast miast zagrożonych wybuchem wulkanu dostajemy opowieść o pożarze najsłynniejszej katedry na świecie. Są chwile optymizmu na początku, są zaraz potem zlekceważone zapowiedzi nadchodzącej nieuchronnej katastrofy, jest wreszcie walka z żywiołem, który wydaje się nie do powstrzymania. Niezależnie od tego, na co jeszcze trzeba zwrócić uwagę (a jest na co!), warto podkreślić, że mamy do czynienia z robotą fachowca, który doskonale wie, jak przykuć widza do ekranu. A zadanie ma bardzo trudne, bo przecież pamiętamy, jak pożar Notre Dame się zaczął, jak skończył, wiemy, że nie było ofiar, mamy w głowach obrazki z telewizyjnych przekazów albo fotki z mediów społecznościowych. W dodatku wszystko to działo się niezbyt dawno – 15 kwietnia 2019 r. – zatem jak, u licha, sprzedać nam to, co już wiemy? Jak wydobyć emocje i suspens? Przecież kanały tematyczne zdążyły już pokazać kulisy akcji ratunkowej w kilku mniej lub bardziej udanych telewizyjnych dokumentach.

A jednak można. Wytrawnym fachowcem, który dokonał niemożliwego, jest weteran francuskiego kina Jean-Jacques Annaud, twórca takich filmów jak „Walka o ogień", „Kochanek" (według prozy Marguerite Duras), „Siedem lat w Tybecie" czy „Imię róży". Ta ostatnia rekomendacja akurat w kontekście projektu „Notre-Dame płonie" mogłaby niepokoić, bo, jak pamiętamy, obraz średniowiecznego Kościoła nie był w „Imieniu róży"

eprasa.pl a9497fac0a

Pożar katedry Notre Dame
15 kwietnia 2019 r. ok. godz. 18.50
FOT. ADOBE STOCK

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

szczególnie przychylny; pamiętajmy jednak, że za owo przesłanie odpowiadał autor książki Umberto Eco. Annaud świadomie sięgnął po schematy kina katastroficznego i dobrze wypełnił je treścią, ale najważniejsza wiadomość jest taka: nie dlatego nas ten film porusza, że jest o wielkim pożarze – widywaliśmy na ekranie katastrofy o wiele bardziej malownicze. „Notre-Dame płonie" to przede wszystkim film arcykatolicki i w swoim przesłaniu skrajnie niemodny. Czekam wręcz, aż w recenzjach zacznie padać słowo „reakcyjny".

NAJŚWIĘTSZE RELIKWIE CHRZEŚCIJAŃSTWA

Co jest stawką w heroicznym boju toczonym przez paryskich strażaków? Gdy wybuchł pożar, szybko i z sukcesem dokonano ewakuacji katedry. „Wysyłamy ludzi w płomienie, by ratować innych ludzi – przypomina generał straży pożarnej – nie żeby ratować kamienie". Notre Dame, jakkolwiek byłaby wspaniała i ważna, można odbudować, utraconego ludzkiego życia odzyskać się nie da. Pada hasło „ratować dzieła sztuki" (jest ich w skarbcach i gablotach katedry ponad 1,3 tys.). W domyśle: ratować, póki się da, póki płomienie pozwalają, póki burza ogniowa nie przeniesie się z dachu na resztę budowli, póki mury się nie zawalą (bardzo niewiele do tego brakowało). Wszystko to postulaty słuszne i oczywiste. Tyle że katedra kryje coś więcej: najświętsze relikwie chrześcijaństwa, w tym cierniową koronę Chrystusa.

Walka o ocalenie relikwii staje się głównym tematem, korona cierniowa – głównym bohaterem, bój o jej ocalenie – punktem kulminacyjnym filmu (nawet dwoma punktami, ale nie będę więcej zdradzał). Zatem już nie katedra jako zabytek, lecz jako symbol. Serce Francji. Dusza Francji. Dusza zachodniego chrześcijaństwa. Wydziwiał recenzent brytyjskiego „Guardiana", że bohaterom filmu nawet przez myśl nie przejdzie, iż życie narażają w obronie czegoś, co najpewniej jest średniowieczną podróbką. Słowa naturalne u współczesnego ateusza z lewicowej prasy, ale każdy katolik może się w odpowiedzi jedynie z wyrozumiałością uśmiechnąć.

REŻ. JEAN-JACQUES ANNAUD
„NOTRE-DAME PŁONIE"
FRANCJA 2022

NIEZNANY WYGLĄD KORONY CIERNIOWEJ...

Serce wiary, dusza Francji – ale dusza rozdarta. Jest w filmie Annauda kapitalna scena, kiedy jedna z pracownic muzeum próbuje wytłumaczyć strażakowi, co właściwie ma ocalić. Tłumaczy mu: „Kaplica, absyda, relikwiarz". Ten zaś spogląda na nią, jakby mówiła zaawansowaną chińszczyzną. Widać, że trafiła akurat na przedstawiciela Francji całkowicie laickiej. Kobieta próbuje więc inaczej: „Taka szklana gablota". Wtedy strażak wreszcie rozumie. Ale zaraz pyta: „A jak wygląda korona cierniowa?".

Na szczęście na miejscu są i inni, więc misja kończy się sukcesem. Może pamiętacie nagłówki z tamtego czasu: „Kapelan straży pożarnej bohaterem" i temu podobne. Chodziło o ks. Jeana Marca-Fourniera, wcześniej zresztą kapelana wojskowego w Afganistanie. Jean-Jacques Annaud podjął jednak ciekawą decyzję: owszem, poznajemy w przelocie nazwiska poszczególnych bohaterów, ale o żadnym z nich nie możemy powiedzieć, że jest bohaterem głównym. Jeśli idzie o postacie „Notre-Dame płonie", to ma bohatera zbiorowego i – proszę się nie obruszać – drugoplanowego. Bo głównym bohaterem jest katedra. Milczący kolos patrzący na nas oczami rzeźb przedstawiający Maryję, oczami świętych, archaniołów i papie-

eprasa.pl a9497fac0a

ży z drewnianych figur i znajdujących się w katedrze obrazów; wreszcie oczami kamiennych gargulców, które w pewnym momencie zaczynają pluć roztopionym ołowiem. To nie jest zwykłe miejsce, to nie jest zwykła walka. Oto znajdujemy się u kresu czasów: dla tych, którzy patrzą z wnętrza katedry, wygląda to, jakby niebiosa się otworzyły i zesłały ogień. A gdy ciąg powietrza zatrzaskuje drewniane drzwi prowadzące na jedną z wież i zamyka w pułapce strażaków, zdaje się, jakby diabeł machnął ogonem. Bardzo silne jest w tym filmie wrażenie, że obserwujemy zmagania dwóch nadnaturalnych sił.

Wiara żywa, wiara silna, wiara na przekór areligijnej współczesności. W filmie Annauda ludzie modlą się, śpiewają hymny, ryzykują życie dla korony cierniowej Chrystusa. Ksiądz ratuje hostie, kapelan relikwie, strażacy budowlę, a Republika – chyba tylko reputację. Jest autor filmu mocno złośliwy, gdy przechodzi do kwestii świeckich. Oto prezydent Emmanuel Macron opóźnia swoje orędzie o protestach „żółtych kamizelek" i pojawia się osobiście pod katedrą, by kamery telewizyjne mogły pokazać, jak bardzo jest zatroskany. Niespecjalnie mu wierzymy, bo wszystko to wygląda jak kiepsko wyreżyserowany spektakl propagandowy, sami strażacy specjalnie na przyjazd gościa uruchamiają fałszywe centrum dowodzenia akcją, żeby pan prezydent mógł się sfotografować na tle ekranów, ale jednocześnie nie przeszkadzał w prawdziwej robocie. A gdy relikwie zostają uratowane, urzędnik wyrywa je z rąk księdza i poucza: „Ludwik IX kupił koronę cierniową za pieniądze ze skarbca państwa, zatem należy ona do Republiki Francuskiej". Tyle że Republika wygląda tu jak państwo z kartonu: stary, psujący się system przeciwpożarowy, którego nikomu nie chciało się naprawić, zakorkowany Paryż, przez który nie mogą się przebić wozy straży pożarnej; reporter TF1 na motorze szybciej dotrze na miejsce akcji niż samochód z generałem i tak dalej.

ZMĘCZONA, POWOLNA, BEZRADNA

Przypomniał mi się podczas oglądania „Notre-Dame płonie" tytuł książki Marka Magierowskiego: „Zmęczona. Rzecz o kryzysie Europy Zachodniej". Zmęczona, powolna, bezradna, a jednocześnie beztroska. Film Annauda jest mocnym głosem także w tej kwestii: jest to przypowieść o świecie, który nie jest przygotowany na trudne czasy, który chyli się ku upadkowi, w którym kościoły stają się jedynie muzeami lub atrakcyjnymi atrakcjami (choć w Notre Dame akurat msze są jeszcze odprawiane). Może w tym świecie miejsca na katedrę już brak, może jej upadek byłby symbolem kończącej się epoki, nadejściem ery postchrześcijaństwa? Jakże dobitnym, bo przecież w sercu stolicy Francji, niegdyś zwanej pierwszą córą Kościoła.

Szukamy znaków: Notre Dame stanęła w płomieniach kilka dni przed świętami Wielkiejnocy; gdy nadeszły kolejne, świat był już sparaliżowany pandemią, a dwa lata później trwała już wojna na Ukrainie. W kwietniu ks. Patrick Chauvet mówił Radiu Watykańskiemu, że odbudowa katedry wchodzi w najbardziej delikatną fazę odbudowy sklepienia nad nawą główną, rekonstrukcji więźby dachowej i odbudowy iglicy. „Mamy nadzieję, że do końca 2024 r. katedra Notre Dame ponownie zostanie udostępniona wiernym i zwiedzającym" – zapowiadał kustosz świątyni. Niby tylko dwa lata, ale jaki świat będzie nas wtedy otaczał? Jaką grozę kryje najbliższa przyszłość?

Szukamy znaków: Czy to, co wydarzyło się w kwietniu 2019 r. w Paryżu, było zapowiedzią końca czy nowego początku? Tłum modlący się przed płonącą katedrą, amerykańscy turyści śpiewający nad brzegiem Sekwany „Amazing Grace", wpatrując się w odległy pożar – czy to przedstawiciele ginącego świata czy ci, którzy przeniosą wiarę nad płomienną przepaścią, tak jak ks. Jean Marc-Fournier wyniósł z pożogi cierniową koronę Chrystusa?

Wśród bohaterów filmu „Notre-Dame płonie" jest także mała dziewczynka, która przyszła z mamą na poranną mszę 15 kwietnia 2019 r. do katedry. I bardzo chciała zapalić świeczkę – choć nie wiemy w jakiej intencji. Zwróćcie na nią uwagę, zwłaszcza że pojawia się znów w finale filmu. Przesłanie Annauda jest jasne: jeśli coś jeszcze może uratować świat, to czysta, głęboka, po dziecięcemu prosta wiara.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X2)

eprasa.pl a9497fac0a

Wypchana sztuka

Instalacja „A Thousand Years" wycofana z eksponowanej do niedawna wystawy w Kunstmuseum Wolfsburg

FOT. OLI SCARFF/GETTY IMAGES

Radosław Wojtas

Damien Hirst to wzięty, zarabiający nieosiągalne dla większości zwykłych śmiertelników pieniądze brytyjski „artysta awangardowy". Bywa krytykowany za to, że w swej twórczości wykorzystuje zwierzęce zwłoki, że – jak wyliczono – użył ich już jakiś milion, a część z jego późniejszych eksponatów straciło życie wyłącznie w imię „sztuki". Przez lata krytycy sobie, artysta sobie. Ale świat się zmienia. Ostatnio jedna z prac Hirsta wyleciała z hukiem z niemieckiego muzeum. Poszło o muchy

Odłóżmy na bok oceny, nie mówmy o gustach. Bo gust, wiadomo, jak uroda – każdy jakiś ma, tylko że niektórzy może niekoniecznie najlepszy. Wnioski wyciągają się same, więc skupmy się na faktach. A są one takie, że działalnością pana Hirsta zachwycają się miłośnicy awangardy na całym świecie, kolekcjonerzy pompują stan jego konta do monstrualnych rozmiarów, a galerie i muzea z całego świata wystawiają chętnie jego – co tu kryć, często odpychające – prace.

Ale zdaje się, że łaska koneserów awangardy na pstrym koniu jeździ. Bo Damien Hirst jakby popadał ostatnio w tarapaty, a przynajmniej w niełaskę popadło jedno z jego najwybitniejszych „dzieł".

GDZIE Z TYMI MUCHAMI

Nie zachęcam, by robić to przy posiłku, ale niech sobie państwo spróbują wyobrazić głowę krowy. Odciętą, zakrwawioną, nadpsutą. A na niej stado much. Paprzą się w mięsie i krwi, żerują, składają jaja. Z jaj wylęgają się czerwie, które też intensywnie żerują na padlinie. Obrzydliwe? W środowisku naturalnym obrazek mogący budzić niesmak, zamknięty w szklanej witrynie (z pewnym dodatkowym elementem, o czym za chwilę) przez „uznanego artystę" – dzieło zasługujące na miejsce w galeriach sztuki.

Odcięty krowi łeb, muchy, ich jaja i larwy są częścią instalacji Damiena Hirsta nazwanej „A Hundred Years" („Sto lat"), stanowiącej część cyklu „A Thousand Years". Jeśli wrzucić tę nazwę i nazwisko Hirsta w Google, otrzyma się rozstrzygający opis: „»A Thousand Years«/Dzieło sztuki/Twórca: Damien Hirst/Data stworzenia: 1990/Gatunek: Sztuka site-specific/Okres: Sztuka konceptualna".

Czas wreszcie wyjaśnić, jak krowi łeb i muchy mogą stać się dziełem sztuki. Wszystko za sprawą wspomnianego dodatkowego elementu instalacji. A jest nim elektryczna pułapka, która wabi muchy intensywnym światłem, a owady, które zbliżą się do niego, giną porażone prądem. „Cykl życia zamknięty

eprasa.pl a9497fac0a

w pudełku" – wyjaśnia swoje intencje sam twórca.

Przez lata wożona z miejsca na miejsce gablota, w której muchy przechodziły cały cykl swojego życia – od jaja, poprzez larwę i poczwarkę aż po dorosłego, skrzydlatego osobnika unicestwianego na oczach widzów – nie budziła dużych kontrowersji. Ale nawet awangardziści mogą nie nadążyć za trendami i wrażliwością swoich odbiorców. Co było „odkrywcze" i „fascynujące" (dla niektórych) 1990, 2000, 2020 czy 2021 roku, dziś może być już (dla tych samych „niektórych") nie do przyjęcia.

„A Hundred Years" pojawiło się na eksponowanej do niedawna w Kunstmuseum Wolfsburg (muzeum, które „jest miejscem edukacji kulturalnej dla wszystkich", które „postrzega siebie jako krytycznego analityka globalnych wydarzeń") wystawie „Macht! Licht!". Ekspozycja w finansowanym przez Volkswagena muzeum była skupiona wokół światła, a jej przesłaniem było m.in. to, że z jednej strony sztuczne światło jest dobre, bo np. „umożliwia organizowanie wydarzeń kulturalnych", ale z drugiej „może być używane do monitorowania, manipulowania, wykluczania, a nawet niszczenia". Unaocznić to odkrycie chciano za pomocą 80 „dzieł sztuki świetlnej" autorstwa 60 „artystów o międzynarodowej renomie". I tak „po raz pierwszy zaoferowano spojrzenie w głąb fascynującego spektrum sztuki światła, która jest polityczna w najszerszym tego rozumieniu".

Niepolityczne za to okazało się dzieło, któremu poświęciliśmy tu już sporo miejsca. Oburzyła się część niemieckiej publiczności, oburzyli się obrońcy praw zwierząt. Nie poszło o to, że „A Hundred Years" to obrzydliwy obrazek, którego ludzie nie chcieli oglądać. Sprzeciw dotyczył publicznego uśmiercania much, nawet jeśli przyświecają temu najwznioślejsze idee modernistycznej sztuki.

„Zabijanie zwierząt nie ma nic wspólnego ze sztuką. Pokazuje jedynie arogancję ludzi, którzy dla własnego interesu nie cofną się przed niczym" – stwierdził nie bez racji na łamach „Braunschweiger Zeitung" Peter Höffken z PETA. Stojący za nim murem ekologiczni aktywiści, rozgłos, jaki w Niemczech i poza granicami RFN zdobyła ta sprawa, a przede wszystkim miejski inspektor weterynarii w Wolfsburgu, który zaapelował o zdjęcie ekspozycji, zmiękczyły serca ludzi odpowiedzialnych za powstanie „Macht! Licht!".

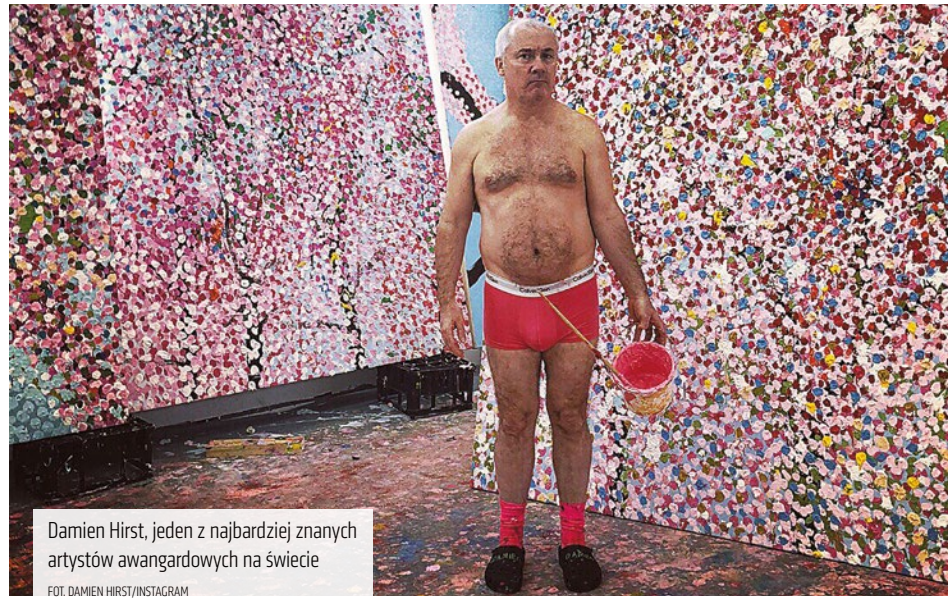

Damien Hirst, jeden z najbardziej znanych artystów awangardowych na świecie FOT. DAMIEN HIRST/INSTAGRAM

Spreparowane konie podwieszane pod sufitami albo na muzealnych i galeryjnych ścianach to specjalność Maurizia Cattelana FOT. AXEL SCHNEIDER

Dzieło zniknęło z wystawy kilka dni przed finisażem. Zauważyć należy, że zamknięcie całej ekspozycji nastąpiło 10 lipca, a otwierano ją uroczyście 12 marca. Muchy ginęły więc przez cztery miesiące. Jak odnotowują skrupulatnie zachodnie media, mucha domowa składa ok. pięciu–sześciu partii jaj w ciągu swojego życia, które trwa średnio (o ile ma szczęście) 28 dni. A zatem, teoretycznie, potomstwo każdej muchy z kilku partii jaj miałoby szansę zginąć w imię „sztuki", o ile mucha matka nie zginie, zanim nie złoży tych kilku partii jaj.

Ostatecznie jednak „A Hundred Years" nie dotrwało do końca eksponowania „Macht! Licht!", a szef Kunstmuseum Wolfsburg i jednocześnie jeden z kuratorów wystawy tłumaczył się – chyba na swoją zgubę – tak: „Myśleliśmy, że Światowa Deklaracja Praw Zwierząt nie obejmuje much".

Nie ustaliłem, czy muchy, które przetrwały do końca wystawy, zostały uwolnione. Wiadomo, że w Kunstmuseum Wolfsburg Damien Hirst już żadnej nie skrzywdzi. Muzeum skierowało do artysty zapytanie, czy w przyszłości żywe muchy mogłyby zostać zastąpione sztucznymi. No bo jeśli tak, to oni chętnie jeszcze nawiążą współpracę, ale jeśli nie, to dla takiej „sztuki" w Kunstmuseum Wolfsburg nie ma już miejsca.

MILIONER W CZERWONYCH GACIACH

Damien Hirst często w swej twórczości sięga po zwierzęce truchła. Czasem kupuje padlinę, czasem zwierzęta uśmiercane są specjalnie po to, by stać się częścią jego „sztuki", czasem – jak w przypadku much – giną w trakcie ekspozycji. Hirsta podliczono pięć lat temu i orzeknięto wtedy, że w swej „artystycznej" działalności wykorzystał zwłoki ok. miliona (!) zwierząt. Przy czym miażdżąca większość to owady – ok. 900 tys., z czego najznaczniejsza część to muchy, ale sporo jest też motyli. Reszta to m.in. krowy, świnie, owce. Na liście są też rekiny i niedźwiedź.

Jedną z najbardziej znanych prac Hirsta z udziałem zwierząt jest „Fizyczna niemożliwość śmierci w umyśle istoty żyjącej". W 1991 r. Hirst kupił zwłoki czterometrowego żarłacza błękitnego, zalał formaliną i obwieścił, że to „dzieło" mające „podważać tradycyjny sposób postrzegania życia". Nie wszyscy to kupili i uznali za sztukę, ale zrobiło się głośno, przetoczyły się debaty, a parę lat później przecięte na pół oraz zatopione w formalinie krowa i cielak przyniosły Hirstowi Nagrodę Turnera przyznawaną przez muzeum sztuki brytyjskiej w Londynie Tate Britain (wcześniej: Tate Gallery).

eprasa.pl a9497fac0a

Ile w tym wszystkim sztuki, a ile podlewanego dużymi pieniędzmi PR – nie wnikajmy. Odnotować należy, że Damien Hirst o pieniądze martwić się nie musi. Przynajmniej od momentu, kiedy jego mecenasem został Charles Saatchi – kolekcjoner sztuki, właściciel Saatchi Gallery, a także współtwórca potężnej, globalnej agencji reklamowej Saatchi & Saatchi. Kluczowa jest tu Saatchi Gallery, bo jest to galeria sztuki współczesnej uważana za jedno z najważniejszych na świecie miejsc promujących młodych artystów. Jeśli ktoś tu trafia ze swoimi pracami, to jego życie raczej na pewno nie będzie już takie samo.

Kiedy więc Saatchi wziął Hirsta pod swoje skrzydła, los wychowywanego przez matkę urzędniczkę i ojczyma mechanika chłopaka, który musiał zasuwać na budowie, by opłacić studia na Goldsmiths College of Art, mocno się odmienił. Taki mecenat ułatwiał tworzenie. Chłopak, który już od studenckich czasów lubił zatapiać w formalinie różne przedmioty, mógł sobie pozwolić na więcej. Kiedyś formaliną zalewał pety czy stoły, później coraz większe zwierzęta, aż wreszcie wypłynął na prawdziwy artystyczny ocean.

Stworzenie „Fizycznej niemożliwości śmierci…" tanie nie było. Rekin złowiony u wybrzeży Australii miał kosztować 6 tys. funtów, pozostałe koszty były jeszcze większe i na całość trzeba było wysupłać ok. 50 tys. funtów. Ale to i tak grosze w porównaniu z inwestycją poczynioną przez bogatego już wówczas Hirsta w „Skull Star Diamond". To platynowy odlew ludzkiej czaszki (Hirst kupił prawdziwą czaszkę człowieka żyjącego w XVIII w.), na którym umieszczono 8601 diamentów o masie 1106,18 karatów. Czoło odlewu ozdobił z kolei ornament z jednego, 52-karatowego diamentu. Same tylko kamienie kosztowały 12 mln funtów.

Damien Hirst zaprezentował „Skull Star Diamond" w czerwcu 2007 r. i wycenił na 50 mln funtów. Za tyle też ją sprzedał anonimowym nabywcom. A przynajmniej tak „sprzedał" wtedy światu informację o tej transakcji. Na początku tego roku Hirst stwierdził bowiem, że wciąż jest współwłaścicielem rzeźby. Nie do końca więc jest jasne, czy był on w grupie anonimowych inwestorów i sam ją od siebie współodkupił czy może cała transakcja była fikcją. Tak czy inaczej informacja o sprzedaży jego pracy za taką kwotę z pewnością nie zaszkodziła cenom innych tworzonych przez Hirsta przedmiotów.

HITLER NA KOLANACH

Zostawmy już Hirsta, bo przecież ani on jedyny, ani pierwszy, jeśli chodzi o wykorzystywanie padliny w sztuce. Poszukajmy bliżej. Może nazwisko Maurizia Cattelana niewielu osobom w Polsce cokolwiek powie, ale jego rzeźbę „La Nona Ora" z 1991 r. przedstawiającą Jana Pawła II przygniecionego przez meteoryt pamiętać się będzie w ojczyźnie Wojtyły jeszcze długo. Podobnie jak akcję dwojga posłów: Haliny Nowiny Konopki i Witolda Tomczaka. Parlamentarzyści postanowili wyrazić oburzenie dużej części Polaków i próbowali zdemontować fragment rzeźby (meteoryt przygniatający papieża). Uszkodzili jednak przy tym figurę i narazili się na prawne nieprzyjemności. Sprawa ciągnęła się latami, zajmowała się nią prokuratura, a nawet prezydent Andrzej Duda, który w 2017 r. ułaskawił byłego już wówczas posła. Od Tomczaka domagano się także wypłaty odszkodowania za uszkodzenia, ale najwyraźniej nie przeszkodziły one nabywcy, który zapłacił za „La Nona Ora" 886 tys. dol.

Maurizio Cattelan to także autor rzeźby przedstawiającej modlącego się Adolfa Hitlera („Him" z 2001 r.) oraz zapalonego taksydermika. Ponieważ dobrze już wiemy, że w świecie awangardowej sztuki wszystko jest możliwe, unikniemy zdziwienia z powodu informacji, że spreparowanie zwłok dwóch myszy i położenie ich na miniaturowych leżakach może być przepustką do kariery. Otóż oczywiście może. I było w przypadku Włocha, bo tę jego dziwaczną instalację najwyraźniej zrozumiała kolekcjonerka oraz właścicielka nowojorskiej galerii Marian Goodman i kupiła ją od mało znanego wówczas Italijczyka.

„Dyplom rzeźbiarza czy rakarza?" – pytano po prezentacji pracy dyplomowej Katarzyny Kozyry pt. „Piramida zwierząt" FOT. ZACHĘTA CC BY-NC-ND 3.0

Cattelan poszedł wtedy za ciosem, wziął się za preparowanie zwłok innych zwierząt i instalowanie ich w różnych miejscach oraz najróżniejszych pozycjach. W prawdziwy zachwyt wprowadzają publikę (niektórą) np. konie podwieszane pod sufitami albo na muzealnych i galeryjnych ścianach w ten sposób, że na podziwiających „spogląda" tylko tylna część konia, a przednia znajduje się gdzieś tam po drugiej stronie ściany.

Maurizio Cattelan bywał posądzany o popełnianie plagiatów. Kradzież pomysłu zarzucała mu m.in. Polka, Katarzyna Kozyra, która w 1993 r. w ramach dyplomu w warszawskiej ASP stworzyła „Piramidę zwierząt". Piramida w wykonaniu Polki składała się z czterech spreparowanych i ustawionych jeden na drugim zwierząt. Na dole koń, na koniu pies, na psie kot, na kocie kogut. Instalacja została zainspirowana baśnią braci Grimm „Muzykanci z Bremy", a dokładniej – pomnikiem Muzykantów według projektu Gerharda Marcksa. Cattelan stworzył coś bardzo podobnego, nie angażując jednak konia, lecz osła. Różnica była jeszcze jedna. Pracę Kozyry uzupełniał film pokazujący ubój konia (klaczy „Kasi) w rzeźni.

Oceniona na czwórkę praca dyplomowa Kozyry była krytykowana przez część środowiska artystycznego w Polsce. Projektantka mody i uznana twórczyni scenografii Xymena Zaniewska pytała retorycznie, czy to „dyplom rzeźbiarza czy rakarza". Zarząd Okręgu Warszawskiego Związku Polskich Artystów Plastyków stawiał inne, zdawać się wtedy mogło, że retoryczne, pytanie: „Czy na tej drodze mamy wkrótce doczekać się wystawy abażurów z tatuowanej ludzkiej skóry?".

Przypomnijmy, był rok 1993. Dwa lata później niemiecki patomorfolog Gunther von Hagens pokazał światu efekty plastynacji, czyli wymyślonej przez siebie skomplikowanej metody preparowania zwłok. Od tego czasu jego groteskowa wystawa ze spreparowanymi ludzkimi zwłokami (w każdej fazie życia – od poczęcia) pokazywana jest na całym świecie. Hagens ma już naśladowców. Wystawy z ludzkimi zwłokami regularnie odwiedzają Polskę. Czy to aby nie coraz bliżej do pokazywania „abażurów z tatuowanej ludzkiej skóry"?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Czerwone górą

★★★★☆
REŻ. DOMEE SHI „TO NIE WYPANDA" („TURNING RED") USA 2022, ANIMOWANY, DISNEY+ I DVD/BLU-RAY

Aż dziw, że nikt wcześniej nie wpadł na ten pomysł – „To nie wypanda" to animowana opowieść o dojrzewaniu, w której metaforą fizycznej przemiany dziewczynki w kobietę jest magiczne przeistaczanie się w wielkiego futrzanego zwierzaka z legend. Znamy ten chwyt z kultury popularnej, wszak „Nastoletni wilkołak" i inne tego typu historie były metaforą zamiany chłopców w mężczyzn (i to dość dosłowną; tak, przychodzi moment w życiu, gdy z dziecka zamieniamy się w porastającego włosiem dzikusa).

Trzynastoletnia Meilin mieszka w Toronto, jest wzorową uczennicą i wzorową córką (w hołdującej tradycyjnym wzorcom wychowania chińskiej rodzinie). Kiedy nadejdzie „ta chwila", emocje zaczną brać górę, a bunt okaże się nieunikniony. Pierwsze miłosne uniesienia, pierwsze niekontrolowane odruchy wściekłości i żalu. Domee Shi, reżyserka filmu, ma korzenie podobne do swej bohaterki – wychowała się w Kanadzie, w rodzinie chińskich imigrantów. Kilka lat temu zdobyła Oscara za krótkometrażowy film animowany „Bao" i jest jedną z nowych gwiazd studia Pixar (pracowała m.in. przy filmach „Iniemamocni 2", „W głowie się nie mieści" i „Toy Story 4"). Imponujące jest tempo i styl jej samodzielnego debiutu pełnometrażowego, mocno inspirowała się zarówno anime, jak i dorobkiem chińskich ilustratorów.

Film „To nie wypanda" wzbudził w USA kontrowersje, bo oto po raz pierwszy w animacjach Disneya mówi się o podpaskach i menstruacji. Martwi mnie to mniej niż przesłanie filmu, który wpisuje się w nową modę edukacyjną: rodzice przepraszają dzieci. U Domee Shi to rodzice są główną siłą stojącą dziecku na przeszkodzie do samorealizacji. Wolne żarty, 13-latki nie rozumieją jeszcze znaczenia tego słowa i nie mają pojęcia, kim chcą być. Ale taka teraz moda w animacjach, w filmie „Krudowie" rodzice zawsze się mylą, a dzieci zawsze mają rację, w „Wielkiej Stopie" dorośli to kłamcy.

Na koniec jeszcze dwa słowa o hipokryzji. Ciepło w scenariuszu potraktowano praktyki religijne państwa Lee, którzy opiekują się chińską świątynią w Toronto. Nie mam nic przeciwko temu. Przypomnijmy jednak, że Kanada to kraj, w którym za protesty i publiczne modły przeciw aborcji trafia się do pudła. O tym Disney kreskówki nie nakręci nigdy. ©℗

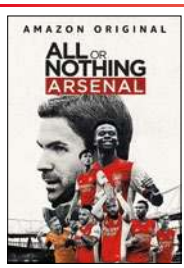

NOWE SERIALE: „WSZYSTKO ALBO NIC: ARSENAL"

Jak zastąpić legendę? Po 22 latach coach Arsène Wenger opuścił Arsenal w roku 2018 i przyszły burzliwe zmiany. Szczególny okres w dziejach klubu – czyli sezon 2021/2022 – próbują uchwycić autorzy serii dokumentalnej, której narratorem jest laureat Oscara Daniel Kaluuya (urodzony w Londynie, prywatnie wielki fan Arsenalu). Pasjonująca opowieść o futbolu na najwyższym poziomie i o tym, jak najmłodszy zespół Premier League, który na początku sezonu okupował 20. miejsce w tabeli, zdołał awansować do europejskich pucharów. ©℗

Piotr Gociek

- *sezon 1 „Wszystko albo nic: Arsenal", Wielka Brytania 2022*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 1 „Mecenas She-Hulk" („She-Hulk: Attorney at Law"), USA 2022*
- *sezon 5 „Upadek królestwa" („The Last Kingdom"), Wielka Brytania 2022*
- *sezon 1 „Ich własna liga" („A League of Their Own"), USA 2022*

eprasa.pl a9497fac0a

Seks w Owernii

KINO

Komputer, jak wiadomo, robi z mózgu papkę. Nie ma więc się co dziwić, że informatyk z Clermont-Ferrand zakochał się w podstarzałej ulicznicy, odrzucając awanse młodszej i bardziej atrakcyjnej pracodawczyni. Sąsiedzi jednak wiedzą swoje. Ich zdaniem Médéric jest erotycznie zainteresowany bezdomnym Arabem, nękanym przez ziomków handlujących ziołem. Tymczasem w mieście dochodzi do ataku terrorystycznego. Ludzie reagują różnie: jedni zioną nienawiścią do imigrantów („dżihadyści porywają nam kobiety"), inni bardziej współczują zamachowcom samobójcom niż ich ofiarom. Francuzi, trochę jak Polacy, na każdy temat mają odmienne zdanie i w dodatku łatwo je zmieniają. Film Guiraudiego stawia tezę, że czynnikiem spajającym społeczność nie są republikańskie poglądy, tolerancja, kulinarne upodobania, kultura wysoka czy niska, lecz chuć. Nigdzie indziej fraza „kochanek mojej kochanki chciałby zostać moim kochankiem" nie brzmi tak prawdziwie jak w ojczyźnie markiza de Sade. Wykonanie pozostawia jednak sporo do życzenia. Komedia omyłek rychło zamienia się w farsę, narracja się rozłazi. Już w połowie seansu masa krytyczna absurdu zostaje przekroczona i zaczynamy podejrzewać, że nie tylko jedna scena, lecz cały scenariusz jest zapisem snu sfrustrowanego nerda, trochę podobnego do Bogumiła Kobieli. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. ALAIN GUIRAUDIE
„BIEGACZ, DZIWKA, ARAB, MĄŻ" („VIENS JE T'EMMÈNE")
FRANCJA 2022

wyst. Jean-Charles Clichet, Noémie Lvovsky, Ilies Kadri

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ŚLEDŹ KONTRA MARCEPAN

VOD

Przepis na bestseller jest prosty. W książce „Życie codzienne w Holandii w wieku złotym" znajdź informacje o zarobkach, zwyczajach i przesądach dawnych mieszkańców Amsterdamu. Nafaszeruj nimi historię rezolutnej i zaradnej dziewczyny wydanej za bogatego kupca. Przyprawą niech będzie garść tajemnic. Nie bój się anachronizmów! Bohaterka musi myśleć, mówić i zachowywać się jak współczesna 18-latka, którą kapryśny los umieścił w epoce Vermeera. Na cenzurowanym ulokuj homofobię, rasizm, patriarchat oraz fanatyzm religijny. Jessie Burton tak zrobiła i teraz jest bogata. Film rządzi się trochę innymi prawami, malarskie kadry i drętwe dialogi nie wystarczą, by przykuć widzów do ekranu, ale i tak trzyodcinkowa „Miniaturzystka" jest lepsza od „Tulipanowej gorączki". Mąż Nelli miał problemy ze zbytem transportu cukru z kolonii. Zamiast tracić czas w Wenecji, powinien od razu popłynąć do Gdańska.

★★★☆☆☆

REŻ. GUILLEM MORALE
„MINIATURZYSTKA" („THE MINIATURIST")
WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Anya Taylor-Joy, Alex Hassell, Romola Garai

USŁYSZEĆ NEAPOL

NINATEKA

W tym mieście można się zakochać, nie będąc muzykalnym. John Turturro akurat jest, więc wyprawił się z Nowego Jorku do krainy przodków, aby tropić pieśni „szybujące nad dachami jak ptaki". Półtoragodzinny raport udowadnia, że mieszkańcom stolicy Mezzogiorno trochę przejadły się ckliwe ballady, a Enrico Caruso i Sergio Bruni mają zdolnych następców, którzy nie tylko z włoskich tradycji czerpią inspirację. Co w takim razie łączy utwory wykonywane na tle ruder, kiedyś będących pałacami, na zatłoczonych targowiskach i zaśmieconych plażach? Tytułowa „passione", czyli namiętność. Turturro jako narrator się nie wysila, w kadrze często pojawiają się mikrofony, brak też nici fabularnej, która spajałaby kolejne występy. Jedynym urozmaiceniem są archiwalia, głównie z roku 1944, gdy miasto wzięły w kleszcze dwie potęgi: Wezuwiusz i US Army. Na szczęście pieśń przetrwała inwazję. Forza Napoli! ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. JOHN TURTURRO
„PASSIONE"
WŁOCHY/USA 2010

GRA TYGODNIA: „XENOBLADE CHRONICLES 3"

★★★★★★

Panie i panowie, oto mamy grę roku na Nintendo Switch! Wiem, dość wcześnie na takie deklaracje, ale nie sądzę, by coś w najbliższych miesiącach mogło dorównać „Xenoblade Chronicles 3". A jeśli będę musiał odwołać te słowa, to będzie to tylko powód do zadowolenia. Epickie japońskie RPG, w które gra się fantastycznie, które fantastycznie, jak najlepsze anime, się ogląda (bo przerywniki filmowe są tu niezmiernie ważne). Wciągająca opowieść, dojrzalsza niż ta z dwójki, wyraziste postaci, doskonały klimat, budowany też odpowiednią muzyką. Majstersztyk z bardzo drobnymi skazami. Zdecydowanie jest to gra, w którą trzeba zagrać! ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *jRPG, TPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Monolith Soft, ConQuest Entertainment*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a9497fac0a

MOJA PÓŁKA

Milczenie Stanisława Rembeka

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Nakładem PIW ukazały się trzy kolejne tomy „Dzieł zebranych" Stanisława Rembeka, rozpoczętej w zeszłym roku pod redakcją prof. Macieja Urbanowskiego edycji utworów jednego z najlepszych i, niestety, najmniej znanych prozaików polskich zeszłego wieku. Po powieściach („Nagan", „W polu") i opowiadaniach o wojnie polsko-bolszewickiej uzupełnionych „Dziennikiem 1920" trzy kolejne tomy obejmują okupacyjną twórczość Rembeka – opowiadania i dziennik oraz „Wyrok na Franciszka Kłosa", opublikowany po drugiej wojnie, w 1947 r., bezpośrednio odnoszący się do wydarzeń z czasów niemieckiej okupacji, którą autor przeżył w podwarszawskim Milanówku. Ta ostatnia powieść, w 2000 r. przeniesiona na ekran telewizyjny przez Andrzeja Wajdę, to absolutnie wyjątkowe świadectwo literackie swego czasu, dotykające drażliwego problemu kolaboracji, a zarazem – jak powiada Maciej Urbanowski – „uniwersalne studium narodowego odstępstwa i jego strasznych skutków".

W „Dzienniku okupacyjnym" natrafiamy na zdania zapowiadające „Wyrok…", jak to przede wszystkim: „W Grodzisku zastrzelono policjanta Klosa, który szczególnie dał się we znaki pokątnym handlarzom". Trudno jednak traktować tę powieść jako literaturę faktu, nie tylko dlatego, że umiejscowił ją Rembek w fikcyjnej Brodni (w nazwie miejscowości brakuje tylko pierwszej litery „Z"), bohaterom pozmieniał nazwiska, a – jak stwierdził w niewydrukowanej ostatecznie przedmowie do wydania książki w roku 1956 – „zachodzące […] wypadki nie przebiegają dokładnie tak, jak to było w rzeczywistości". Już prędzej należałoby odczytywać „Wyrok na Franciszka Kłosa" jako moralitet i takie próby interpretowania utworu miały miejsce, choć nie brakowało także prostackiego deprecjonowania powieści jako „pijackiej plotki o okupacji" (Jacek Bocheński).

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

Czytając dziś zmarłego w 1985 r. Rembeka, pamiętać trzeba, że po wojnie wydał on zaledwie dwie książki (poza „Wyrokiem na Franciszka Kłosa" „Balladę o wzgardliwym wisielcu"). Przez 40 lat! A pewnie, gdyby nie Bolesław Piasecki, który umożliwił mu to w PAX, i to byłoby niemożliwe. Jako autor książek o wojnie z bolszewią, w której uczestniczył (!), był pisarzem z gruntu podejrzanym, a zakazanym stał się po tym, gdy zdesperowany wznowił przedwojenną powieść „W polu" u Jerzego Giedroycia. Władze zarzucały Rembekowi antyrosyjskość, salon też go odrzucił. Tymczasem naprawdę był człowiekiem lewicy, naturalnie antykomunistycznej, w czasie okupacji publikował w konspiracyjnym piśmie ugrupowania Polskich Socjalistów „Lewą Marsz". Z kolei po wydaniu w 2000 r. przez Oficynę Agawa „Dziennika okupacyjnego" doszukiwano się w tym, co pisał, antysemityzmu. W istocie jego ojciec zmienił nazwisko w 1926 r., wcześniej nazywał się Ehrenberg, jak głosiła legenda – pochodził z alzackich Francuzów, w co niekoniecznie trzeba wierzyć. Za to na pewno Stanisław Rembek w czasie okupacji ukrywał Żydów. A to, co tworzył, co drukował i czego drukować nie mógł, jego pisarstwo i jego milczenie, aż nadto dowodzi, że był – powtórzę to, co kiedyś napisałem – jednym z nielicznych żyjących w kraju pisarzy, którzy w czasie komuny uratowali honor literatury polskiej.

I w prowadzonym w czasie okupacji dzienniku, i w powstałych wtedy opowiadaniach przedstawia zwykłe życie zwykłych Polaków. Wyjątkowo w tamte dni trudne, wypełnione uporczywą walką o byt – w tym najbardziej dosłownym sensie – najeżone niebezpieczeństwami. Opowiada o swoich przeżyciach z września 1939 r., o okupacyjnej gehennie i o nadziei, którą było Powstanie Warszawskie. „Staję w oknie i patrzę nieruchomo – pisał w jednym z opowiadań – jak na wschodzie rozlewa się coraz szerzej i wyżej łuna ginącej Warszawy. Na usta cisną mi się również słowa jakiejś szaleńczej nieziszczalnej modlitwy do Boga, który jest przecie wszechmocny i pełen miłosierdzia, żeby wskrzesił poległych i umęczonych, żeby powrócił wygnańców, żeby odbudował poburzone domy i kościoły, żeby wreszcie cofnął będący w Jego ręku zegar czasu. Niech wszystko będzie jak dawniej". To była nadzieja ostatnia.

W przyszłym roku ukażą się pozostałe tomy (w sumie będzie ich dziewięć lub dziesięć) „Dzieł zebranych" Stanisława Rembeka. Znajdą się w nich m.in. „Ballada o wzgardliwym wisielcu oraz dwie gawędy styczniowe", na podstawie których Juliusz Machulski zrealizował film „Szwadron", i niepublikowana powieść o powstaniu listopadowym „Wianek Malwiny". ©℗

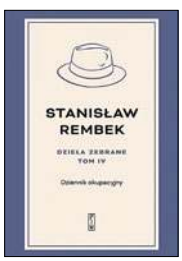

★★★★★☆

STANISŁAW REMBEK „DZIEŁA ZEBRANE T. IV–VI: »DZIENNIK OKUPACYJNY«, »OPOWIADANIA OKUPACYJNE«, »WYROK NA FRANCISZKA KŁOSA«"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2022

eprasa.pl a9497fac0a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Żadan raz jeszcze

W ciągu kilku tygodni po ataku Rosji na Ukrainę wczesne książki Serhija Żadana stały się białymi krukami. Ale są wreszcie wznowienia, w nowej szacie graficznej: „Depeche Mode", „Anarchy in the UKR" i „Hymn demokratycznej młodzieży" to jego pierwsze trzy powieści, oryginalnie wydane w latach 2004–2006. Kto zaczął przygodę z ukraińskim pisarzem od wstrząsającego „Internatu" (który miałem przyjemność zachwalać na łamach „Do Rzeczy"), ten będzie zaskoczony.

Żadan sprzed 20 lat oferuje nam prozę trochę chłopacką, bezczelną, liryczną niczym rockowa ballada, zabawną jak historie z czeskiego undergroundu. To zapis przemian, które nie do końca są przemianami (bo rodzi się niby nowe, ale to, co stare, komunistyczne, kwitnie w najlepsze), i dorastania, które nie jest do końca dorastaniem, bo często bohaterowie szukają ucieczki od świata smutnych kompromisów tej podobno „nowej Ukrainy". Choć jest to pisanie autobiograficzne (jest Żadan piewcą okolic, w których się wychował i mieszka, zatem Ługańsk czy Charków i to, co wokół), to wspomnienia nie są treścią, lecz jedynie inspiracją do tych opowieści. Będą kiedyś historycy szukali u Żadana sposobów na zrozumienie Ukrainy przełomu lat 80. i 90. XX stulecia. Ba, już powinni zacząć!

Ale na tym nie kończą się niespodzianki. Zanim Żadan zadebiutował jako prozaik (tomem opowiadań „Big Mac", który swoją drogą też warto wznowić), przez 10 lat zdobywał rozgłos jako poeta i śmiem twierdzić, że jest poetą wybitnym. Nie miałem w tej kwestii wątpliwości od chwili, kiedy przeczytałem w „Literaturze na Świecie" (5–6/2004) zwłaszcza „Elegię dla Urszuli". Dobra wiadomość: Biuro Literackie właśnie wydało obszerny wybór wierszy autora „Woroszyłowgradu" (kolejna powieść domagająca się wznowienia). „Historia kultury początku stulecia" to nie tylko powrót do tomiku znanego już z polskiej edycji w 2005 r., lecz także niemal 30 nowych przekładów, dzieło niestrudzonego Bohdana Zadury. Kto chce z rozumieć, skąd wziął się Żadan, musi tę książkę przeczytać. Kto chce ujrzeć, dokąd jako poeta dotarł, musi z kolei sięgnąć po tom „Drohobycz", który rok temu ukazał się nakładem PIW. „Po co mi tyle śmierci? Gdzie mam ją podziać?" – pyta w jednym z wierszy. ©℗

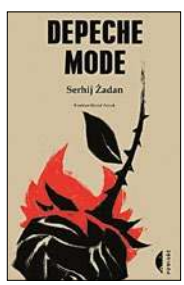

★★★★☆☆
SERHIJ ŻADAN „DEPECHE MODE" CZARNE 2022

★★★★★☆
SERHIJ ŻADAN „HISTORIA KULTURY POCZĄTKU STULECIA" BIURO LITERACKIE 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wznowienie głośnej pracy amerykańskiego analityka, nad Wisłą czytanego szczególnie chętnie, gdyż wedle jego prognoz w najbliższych dekadach Polska osiągnie w Europie pozycję mocarstwową, kosztem Niemiec i Rosji.

GEORGE FRIEDMAN „NASTĘPNE 100 LAT" ZYSK I S-KA

Wywiad rzeka, szczególnie ciekawy w tych partiach, gdzie profesor opowiada (po raz pierwszy tak obszernie) o rodzinie, korzeniach i życiu w PRL, czyli czasach, kiedy o dziejach Polski pisał w podziemiu jako Andrzej Albert.

WOJCIECH ROSZKOWSKI „JESZCZE NIC STRACONEGO" BIAŁY KRUK

Jedno z najsłynniejszych dzieł amerykańskiego noblisty, trzykrotnie ekranizowane. Nowela znana jest w Polsce z przekładów Jana Meysztowicza i Zbigniewa Batki. Niniejsze wznowienie przypomina wersję tego ostatniego.

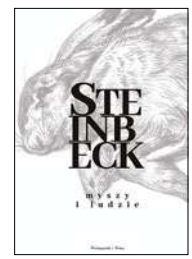

JOHN STEINBECK „MYSZY I LUDZIE" PRÓSZYŃSKI I S-KA

Nietypowa antologia SF – opowiadania, które były podstawą odcinków animowanego serialu pod tym samym tytułem. Na szczęście teksty były dobre, a nazwiska są zacne, m.in. Michael Swanwick, John Scalzi i Ken Liu. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

AUTORZY RÓŻNI „MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ I ROBOTY" NOWA BAŚŃ

KOMIKS TYGODNIA: „KAJKO I KOKOSZ"

Czwarty tom kolekcji gromadzącej całość opowieści o wojach z Mirmiłowa przynosi pełne wersje najlepszych i najbardziej popularnych albumów: „Szkoła latania", „Wielki turniej", „Na wczasach" i „Zamach na Milusia". Tradycyjnie ozdobą edycji są wielce ciekawe dodatki. Sławomir W. Malinowski, autor filmu dokumentalnego „Christa", wspomina legendarnego twórcę polskiego komiksu. A Krzysztof Janicz odsłania kulisy wielkich zmian w życiu zawodowym rysownika: przejścia do „Świata Młodych", a potem do magazynu „Relax". ©℗

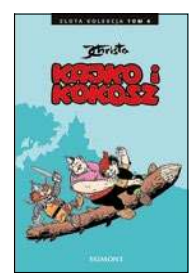

JANUSZ CHRISTA „KAJKO I KOKOSZ. ZŁOTA KOLEKCJA", TOM 4 EGMONT 2022

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl a9497fac0a

DO ZOBACZENIA

Nierozliczone ludobójstwo

RADOSŁAW WOJTAS

Między 5 a 7 sierpnia 1944 r. Niemcy – z rozkazu Adolfa Hitlera i Heinricha Himmlera – zamordowali na Woli od 15 do 60 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci. Masakry, opisywanej ostrożnie jako „zbrodnia o znamionach ludobójstwa", dokonali żołnierze i policjanci pod dowództwem Grupenführera SS Heinza Reinefartha. Zbrodniarz, który po wojnie powinien zostać rozliczony z całą surowością, uniknął kary. Pracował spokojnie w RFN jako adwokat, był burmistrzem Westerland na wyspie Sylt oraz deputowanym do Landtagu w Szlezwiku-Holsztynie.

Wystawa „Wola 1944: Wymazywanie. Ludobójstwo i sprawa Reinefartha", zorganizowana przez Instytut Pileckiego oraz Muzeum Powstania Warszawskiego, prezentuje przebieg wydarzeń na Woli w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego z perspektywy mieszkańców. Na wstrząsającą opowieść składają się świadectwa ocalonych pochodzące z telewizyjnych archiwów i z tworzonych współcześnie kolekcji historii mówionej, a także rzeczy osobiste ofiar. Pokazane są też niepublikowane dotąd dokumenty z akt śledztwa w sprawie Heinza Reinefartha. ©℗

FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

GDZIE? *Muzeum Powstania Warszawskiego*
KIEDY? *do 4 lipca 2023 r.*

FOT. MUZEUM BP W POZNANIU

ŚLAD PO BARBARZYŃCACH

Mający nieść śmierć i odbierać Ukraińcom wolność, a zniszczony i zdobyty przez nich rosyjski sprzęt wojskowy był już prezentowany w Warszawie i we Wrocławiu, teraz cztery pojazdy (w tym czołg T-72) pokazywane są w Poznaniu. Wystawa za „Wolność naszą i waszą" ma przypominać mieszkańcom europejskich miast o okrucieństwie barbarzyńskiej inwazji na Ukrainę. Miała przypominać o niej także berlińczykom, ale władze dzielnicy Mitte nie wyraziły zgody na ekspozycję, argumentując m.in., że „naruszałoby to interesy polityki zagranicznej Niemiec". ©℗

GDZIE? *Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu*
KIEDY? *do 20 sierpnia*

NA SŁUCH

Znak czasów

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

Po sześciu latach od wydania świetnego albumu „Lemonade" Beyoncé Knowles powraca z pierwszą częścią tanecznej trylogii.

Zdobywczyni największej liczby nagród Grammy wśród kobiet (28) oraz posiadaczka 11 rekordów w Księdze Guinnessa, poczynając od debiutu żeńskiego zespołu Destiny's Child w 1997 r., nie schodzi z popowego szczytu. To jej płyty, jej dom mody House of Deréon czy perfumy Heat wyznaczają trendy w kulturze popularnej.

Album „Renaissance" jest godzinnym, tanecznym trzęsieniem Ziemi, na którym gwiazda z nieukrywanym samouwielbieniem i radością śpiewa o sobie i kobiecym siostrzeństwie. Piosenki przechodzą jedna w drugą i niestety dość szybko stają się bezbarwną dyskotekową łupaniną. Wplecione w utwory cytaty z twórczości Giorgia Morodera, Patricka Cowleya, Teeny Marie czy zespołu Chic nie są w stanie rozbić tej agresywnej monotonii. Odmianę wprowadza dopiero dziewiąta w kolejności „Virgo's Groove", ale zrelaksowany charakter piosenki najlepiej pasuje jako muzyczne tło do zabaw na lodowiskach. Po 57 minutach dochodzimy do ekstatycznego finału. Na zmutowanym podkładzie z „Love to Love You Baby" Donny Summer Beyoncé, wzdychając, mrucząc, bełkocząc, plując jadem i przekleństwami, wzywa swojego mężczyznę do porządku.

Album jest znakiem dzisiejszych czasów – kostką pachnącego mydła, która się nie pieni. ©℗

★★★☆☆☆
BEYONCÉ „RENAISSANCE" COLUMBIA

★★★★★☆
HARISH RAGHAVAN „IN TENSE" WHIRLWIND

Wzięty nowojorski kontrabasista roztacza prawdziwie terapeutyczną jazzową atmosferę. Jest to zarówno chłodna, jak i uspokajająca muzyka z wybijającymi się na przemian gitarą elektryczną, wibrafonem i syntezatorem. ©℗

★★★★★☆
FLORIST „FLORIST" DOUBLE WHAMMY

Na tej intymnej płycie piosenki mieszają się z instrumentalami. Siłą jest uspokajająca atmosfera budowana przez saksofon, trzy akustyczne gitary i dronowe syntezatory oraz delikatny, kojący wokal Emily Sprague. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

Grzegorz Kondrasiuk

Dramaty Słobodzianka w sposób niezwykle trafny, niezależnie od konkretnych person, pokazują, o co im tam chodziło, tym artystom, w tzw. wysokim modernizmie, w kościele sztuki

FOT. TEATR DRAMATYCZNY M. ST. WARSZAWY

Bestiariusz artystyczny

Skąd Pan jest? – Z Krakowa? – A gdzie to? – W Polsce. – Komunista… – I tak, i nie. – Skomplikowane… – Po pierwsze: w Polsce nie ma komunizmu, tylko socjalizm. Po drugie: jest partia robotnicza, ale nie socjalistyczna, do której oczywiście należę, przyznaję, chociaż nie podzielam jej poglądów politycznych i ekonomicznych. Może na sztukę podzielam, na wszystko inne niekoniecznie. – Baardzo skomplikowane. – Co takiego? – Wypowiedzieliście wojnę własnemu narodowi. – Nie, nie, wybraliśmy mniejsze zło. – A co było większe? – Rosja. – Rozumiem. Żeby Rosja nie musiała brudzić rąk, Pana partia robotnicza kazała strzelać do robotników. – Ja nie strzelałem. – Pan ma czyste ręce? – Ja jestem intelektualistą!".

Tak sobie rozmawiają – francuski portier strzegący wejścia do Pompidou z polskim krytykiem teatralnym. Dialog ten pochodzi ze sztuki „Cerber z Beaubourg", rozgrywającej się w Paryżu na początku lat 80. „Cerber" to jeden z „Kwartetów otwockich" Tadeusza Słobodzianka. Ta seria sztuk wydanych ostatnio w książce w dużej części doczekała się już realizacji w teatrze. Warszawski Teatr Dramatyczny wystawił „Sztukę intonacji", a Laboratorium Dramatu „Helsinki" – wspominany „Cerber" (wszystkie trzy spektakle reżyserowała Anna Wieczur) i „Krzew gorejący" (reż. Aldona Figura).

Produkcje Laboratorium Dramatu można oglądać w Internecie, ponieważ z czytań scenicznych, w minimalistycznej scenerii, zrobiono dość przyzwoicie zrealizowany „teatr telewizji". I tak powstał specyficzny serial teatralny, w którym czołówka polskich aktorów wskrzesza rozmaite interesujące, legendarne, teatralne figury.

Słobodzianek w „Kwartetach…" postawił na formułę opisywania wyobrażonych spotkań słynnych artystów – Tadeusza Kantora, Jerzego Grotowskiego, Ludwika Flaszena, Konrada Swinarskiego, Kazimierza Dejmka. Nad taką twórczością, powiedzmy – biograficzną, wisi zagrożenie anegdotyzmu. Wielcy ludzie uchwyceni od kulis – czasem to chwyta, czasem nie. Tym razem chwyciło. Formuła dramaturgicznego kwartetu, zakładającego ograniczenie akcji do czterech postaci, okazała się wyzwalająca. A aktorzy rozsmakowali się w swoich postaciach, dostroili do jakiejś dziwnej, niezwykłej tonacji. Imitacja, pastisz, groteska – jest tu po trochu wszystkiego. Efekt: ożywienie na chwilkę powikłanej historii teatru polskiego, teatru reżyserów w jego ówczesnej wielkości. Artysta, obdarzony przez Boga geniuszem, wolną wolą, któremu wolno więcej, to dziś figura, być może, historyczna. Dramaty Słobodzianka w sposób niezwykle trafny, niezależnie od konkretnych person, pokazują, o co im tam chodziło, tym artystom, w tzw. wysokim modernizmie, w kościele sztuki.

Zatrzymajmy się jeszcze przy „Cerberze z Beaubourg", spektaklu przekazującym w lekkiej, komediowej formie kwestie esencjonalne. Tak się teraz nie pisze i nie wystawia, wszak patos (nieobcy tamtym pokoleniom) to dziś grzech największy. A tymczasem w „Cerberze" mamy migawkę z francuskich peregrynacji Tadeusza Kantora (Modest Ruciński), gdzie punktem wyjścia jest zabawna anegdota o portierze cerberze (Adam Ferency), który nie chce wpuścić słynnego artysty na własną wystawę, ponieważ ten nie ma przy sobie identyfikatora. Świadkami są nadworny krytyk Kantora (Łukasz Lewandowski) i jego asystentka (Katarzyna Głogowska). Sytuacja ta oferuje wiele możliwości, skrzy się intensywny dialog, przetykany pieniackimi tyradami Kantora (Ruciński objawia tu niemal mediumiczne właściwości). Cerber (którego imienia nie poznamy) daje wspaniałą (na miarę możliwości Ferencego) przeciwwagę dla skrajnego egocentryzmu Kantora. Sceptycznie, lecz także z ciekawością obserwuje tę bestię, miotającą się w urażonej dumie, wywrzaskującą obelgi skierowane do świata, który artysty nie rozumie i nie docenia. Zadaje przy tym przybyszom z ogarniętej stanem wojennym Polski trafne pytania, idąc do esencji. Komu i do czego dziś właściwie potrzebna jest sztuka? Dlaczego nie potrafi ukazywać piękna? I tak dalej. Dramaturg nie przegapia też okazji do przyłożenia lustereczka, aby mogło się w nim przejrzeć jego własne środowisko. Dlatego nie omija elementu obyczajowego, ploteczek obficie domieszanych do tekstu (widać, że Słobodzianek miał na biurku m.in. skrajnie niedyskretną książkę braci Janickich). Także i tło polityczne, choć nie mówi się o nim dużo, służy do pokazania całej wielkości i małości artystów w PRL grających wyłącznie na siebie, odpowiedzialnych we własnym mniemaniu jedynie wobec Boga i historii. Gorzki, prawdziwy to obrazek. ©℗

LABORATORIUM DRAMATU
TADEUSZ SŁOBODZIANEK
„CERBER Z BEAUBOURG"
REŻ. ANNA WIECZUR
SPEKTAKL DOSTĘPNY NA PROFILACH INTERNETOWYCH TEATRU DRAMATYCZNEGO

eprasa.pl a9497fac0a

Andrzej Szpociński

Przez całe powojenne dziesięciolecia próbowano nam wmówić, że Kościół, religie, w tym chrześcijaństwo, to epifenomeny, które za chwilę znikną i nie ma co się nimi zajmować, a ci, którzy głoszą coś innego, są nieedukowalnymi prymitywami. Profesor Roszkowski miał odwagę temu się przeciwstawić. Nie zaskakuje, że wielu atakuje za to jego książkę „Historia i teraźniejszość"

Minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek podczas konferencji dla nauczycieli dotyczącej przedmiotu historia i teraźniejszość

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Podręcznik pod ostrzałem

W mediach, zwłaszcza na popularnych portalach internetowych (Onet, Wirtualna Polska), o książce Wojciecha Roszkowskiego „Historia i teraźniejszość" pisze się dużo, źle i kłamliwie. Nie będę mimo to polemizował z opiniami oskarżycieli nie tylko dlatego, że jakiekolwiek polemiki nie mają sensu, nic nie wniosą. Polemika z oskarżycielami autora „Historii i teraźniejszości" musiałaby być krytyką całego systemu medialnego, który umożliwia zorganizowanie w jednej chwili nagonki płynącej niby to z wielu źródeł, w istocie reprezentujących przecież jedną agendę. System ten stanowi olbrzymie zagrożenie dla demokracji, ze względu na swą wagę jest to temat na osobny cykl publikacji. Tu chciałbym podzielić się z czytelnikami informacjami na temat treści podręcznika. Pozwoli to zrozumieć powody zbiorowej nienawiści wobec tak zasłużonego dla polskiej kultury historyka.

PODRĘCZNIK CZY ESEJ?

Kwestia pierwsza: podręcznik czy esej? Jednym z poważniejszych zarzutów wysuwanych pod adresem książki Wojciecha Roszkowskiego jest ten, że nie jest to podręcznik, ale esej. W moim odczuciu jest to zarzut najpoważniejszy, bo do pewnego stopnia uzasadniony merytorycznie, formułowany nie tylko przez zacietrzewionych opluwaczy, lecz także zwolenników książki. Ci ostatni zdają się sugerować, że dostajemy do ręki wartościową publikację. Ale czy jest to równie dobry podręcznik szkolny?

Chciałbym polemizować z taką oceną. Podręcznik Roszkowskiego ma charakter eseistyczny (jeżeli przez esej rozumieć formułowanie ocen opisywanych zdarzeń). Ale czy można inaczej? Można, tyle tylko że wówczas oceny przemycane są tylnymi drzwiami. Posłużmy się przykładem: można napisać, że poddanie Polski kurateli sowieckiej zostało przesądzone na konferencjach trzech mocarstw, i tyle. Można też – i tak czyni Roszkowski – pisać w tym kontekście o zdradzie zachodnich aliantów. Ocena jest sformułowana jednoznacznie. Inaczej w pierwszym wypadku: tam mamy do czynienia z pozornie „obiektywnym" stwierdzeniem pewnego stanu rzeczy. Ale czy tylko? Oceny faktów są tu pominięte, ponieważ są niewygodne dla autora wypowiedzi. Ale czy w takim razie nie jest to kłamstwo, tyle tylko że kłamstwo przez przemilczenie?

Kwestii formułowania ocen poświęcone są w tej książce całe ustępy. Chodzi o oceny moralne. Roszkowski zauważa, że racje moralne nie pokrywają się z racjami politycznymi, a tym samym podejmuje ważny w kręgu kultury europejskiej problem relacji polityki i moralności. Próbując rozumieć rzeczywistość, historyk, jeżeli chce być uczciwy, musi uwzględniać porządki moralne, w których kwestią fundamentalną jest odróżnianie dobra i zła, prawdy i fałszu od porządków polityki, których istotą są skuteczność i pragmatyzm.

Opowiada się za tym pierwszym, za prymatem moralności nad polityką. Będąc konsekwentnym, idzie dalej i podejmuje także inną kluczową dla kultury europejskiej kwestię – podstaw moralności. Jeżeli bowiem mamy wyrokować o moralnych czynach innych, to powinniśmy opierać się

eprasa.pl a9497fac0a

na jakichś trwałych zasadach. Czy mamy takie zasady? Owszem, mamy – powiada Roszkowski. – Stanowi je Dekalog leżący u podstaw europejskiej kultury. Akceptacja Dekalogu jest aktem wiary, ale ci, którzy go odrzucają i próbują zastąpić czymś innym, również dokonują aktu wiary w coś innego. Czy ich argumenty mogą mieć zatem większą moc przekonywującą?

Oto w największym skrócie i uproszczeniu credo autora „Historii i teraźniejszości". Stanowi ono świadectwo intelektualnej uczciwości wobec siebie i wobec czytelnika. Nie zaskakuje, że nie zostało to docenione przez wielu wypowiadających się na temat tej książki. Wydaje się, że oponenci zostali zaskoczeni otwartością wyznania. W powojennych podręcznikach nikt tego w ten sposób nie robił, stąd te oskarżenia o ideologię, w dodatku niepostępową. Można się domyślać, że u podłoża tak niesprawiedliwej krytyki leży także brak argumentów – niechęć czy też niemożność podjęcia dyskusji na płaszczyźnie zaproponowanej przez Roszkowskiego: wiary w istnienie Boga, prawomocności Dekalogu i znaczenia kultury europejskiej ukształtowanej przez chrześcijaństwo.

Credo filozoficzno-metodologiczne sformułowane w „Historii i teraźniejszości" w zupełności wystarcza, by liczne rzesze zwolenników postępowej kultury – liberałowie, postkomuniści i postmarksiści – znienawidziły autora książki i odsądzały go od czci i wiary, a to przecież nie wszystko. W książce Roszkowskiego mamy do czynienia nie tylko z wyjawieniem credo, lecz także – jest to konsekwencja jego przyjęcia – z odczarowaniem rzeczywistości. Przez całe powojenne dziesięciolecia próbowano nam wmówić, że Kościół, religie, w tym chrześcijaństwo, to epifenomeny, które za chwilę znikną i nie ma co się nimi zajmować, a ci, którzy głoszą coś innego, są nieedukowalnymi prymitywami. Profesor Roszkowski miał odwagę temu się przeciwstawić. Pokazał nie tylko, że są one ważnym fenomenem współczesnego świata. Wielką zaletą tej książki jest to, że zostały w niej wyłożone zasady, na których opiera się kultura chrześcijańska. Wyniesiona z lektury „Historii i teraźniejszości" wiedza przyda się krytykom, bo przecież oprócz dobrej woli bardzo brak jej krytykom Roszkowskiego.

W omawianej książce jest wiele innych odkrywczych momentów, które z całą pewnością nie przypadną do gustu „postępowcom". Przede wszystkim wskazanie na obcość władzy komunistycznej w Polsce podporządkowanej władcom Kremla i realizującej jego politykę. Dokonujące się zmiany w obrębie tej władzy, jak np. „cudowne" przemienienie stalinowskich zamordystów w liberalizujących rewizjonistów (Zambrowski i późniejsza grupa puławska) i toczone walki frakcyjne (grupa puławska vs. grupa natolińska), prowadzone były wyłącznie we własnych partykularnych celach tych grup, nie w imię dobra wspólnego. Również nagonka antysemicka po Marcu '68 stanowiła element walki o władzę. W kręgach ludzi walczących o władzę walka z semityzmem była poręcznym narzędziem, by jakoś się urządzić, ale to dotyczyło przede wszystkim tej grupy. Takie naświetlenie z pewnością nie spodoba się tym, którzy przekonani są, że Polacy antysemityzm mają we krwi.

ZNAKOMITY WYKŁAD HISTORYCZNY

Mniej więcej połowa podręcznika Roszkowskiego poświęcona jest sprawom międzynarodowym. Na dwie rzeczy warto zwrócić tu uwagę. Pierwsza to niezwykła umiejętność autora do zwięzłego kreślenia panoramicznego obrazu świata. Na przykład czytając o rewolucji węgierskiej 1956 r., dowiadujemy się także o tym, co w tym samym czasie działo się na Bliskim Wschodzie (kryzys sueski), w Kongu, na Kubie, w Chinach. Na globalnie zarysowanym obrazie świata – i to jest druga sprawa, która przykuwa moją uwagę – widać jak na dłoni agresywność komunizmu (przede wszystkim rosyjskiego), agresywność wielowątkową, prowadzoną różnymi metodami, wykorzystującą każdą nadarzającą się okazję, gdzie się da i kiedy się da.

Podręcznik Roszkowskiego ma jeszcze inną wielką zaletę: umiejętnie łączy materię historyczną z wiedzą z zakresu socjologii i politologii. Omawianie pojęć z obszaru tych dwóch dziedzin – zarówno z podstawowego repertuaru (państwo, naród, suwerenność, wolność itp.), jak i tych niemających bogatej literatury teoretycznej (pożyteczni idioci, dobro wspólne) – wplecione jest w narrację historyczną. Efekt jest znakomity. Po pierwsze, czytelnik od razu nabiera przekonania, że nie jest to wiedza teoretyczna, ale wiedza potrzebna do rozumienia rzeczywistości. Po drugie, omawiając znaczenia poszczególnych pojęć, autor wybiega, jeśli jest to konieczne, w tył i w przód, by pokazać, jak się one zmieniały.

Przykład: socjalizm omawiany jest w części poświęconej latom 1945–1953, a sam termin pojawia się w kontekście uwagi dotyczącej coraz wyraźniejszego upodabniania się lewicowych partii Zachodu do partii bolszewików, ale autor nie ogranicza się tylko do tego momentu. W kilku zdaniach przypomina, kiedy zrodził się socjalizm (początek XIX w.) i co stanowiło jego istotę (sprawiedliwość społeczna), a następnie pisze o współczesnych ruchach lewicowych, które zagubiły te wartości, a w centrum swej ideologii postawiły hasła libertyńskie (wszystko jest dozwolone) i propagandę genderową. Taka praktyka pisarska jest znakomitym, bo poglądowym, a nie czysto teoretycznym wykładem historycznego, a więc zmiennego w czasie charakteru rzeczywistości społecznej.

UCZCIWA KSIĄŻKA

Na zakończenie o jeszcze jednej ważnej, a zapewne bardzo irytującej kręgi „postępowe" sprawie. W publicystyce lansuje się tezę, że historie wszystkich narodów pod względem moralnym powinny być w zasadzie oceniane podobnie, bo wszyscy popełniali jakieś czyny godne potępienia. Chociaż teza ta jest idiotyczna, to zyskała popularność. Oczywiście autor „Historii i teraźniejszości" w najmniejszym nawet stopniu nie ulega tej modzie (trudno byłoby go nawet o to podejrzewać). Kreśląc obraz powojennego świata, ukazuje szczególnie tragiczne losy Polski i Polaków, które ze względu na odmienne doświadczenia wyniesione z czasów wojny (doskonały i bardzo potrzebny rozdział „Pamięć" otwierający książkę) nie zostały nigdy zrozumiane przez innych, co nie znaczy, że mamy wyrzec się własnego zdania na ten temat. I nie ma tu nic z epatowania cierpiętnictwem, takie po prostu są fakty.

Nie wiem, jakie będą dalsze losy podręcznika prof. Roszkowskiego. Wszystkim Polakom, Europejczykom i sobie samemu życzę, by stanowił on lekturę jak najszerszych rzesz, nie tylko uczniów. To jest nie tylko mądra i uczciwa książka, adresowana do każdego. To się naprawdę świetnie czyta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Andrzej Szpociński *– profesor zwyczajny, socjolog i kulturoznawca, specjalizuje się w badaniach nad pamięcią społeczną, tradycją, mediami.*

eprasa.pl a9497fac0a

Rewolucyjny kurs Kościoła we Włoszech

FOT. ANDREAS SOLARO/AFP/EAST NEWS

Paweł Chmielewski

Pod okiem metropolity Bolonii kard. Matteo Zuppiego, którego watykaniści uważają za jednego z czołowych papabile, doszło do ekscesu, który włoska prasa uznała za pierwszy w kraju homoseksualny „ślub" kościelny. W Kościele katolickim we Włoszech dzieje się coraz gorzej – i ma to znaczący wpływ na sytuację Kościoła powszechnego. Czy katolicyzm w Italii da się jeszcze uratować?

Na początku czerwca cywilny związek zawarli w urzędzie w Budrio w pobliżu Bolonii dwaj homoseksualiści, Pietro Morotti i Giacomo Spagnoli. Następnie w eleganckich garniturach, otoczeni przez wielu gości i w asyście fotografów, przeszli do pobliskiego kościoła św. Wawrzyńca, gdzie proboszczem jest ks. Gabriele Davalli. Morotti i Spagnoli zajęli miejsca z przodu pięknie na tę okazję przyozdobionej świątyni; znajdowali się w centrum ceremonii. Rozpoczęła się dziękczynna Msza Święta, w czasie której homoseksualiści, stanąwszy u progu prezbiterium, otrzymali od celebransa specjalne podziękowanie za ich długoletnią aktywność w lokalnej tęczowej grupie duszpasterskiej; namacalnym wyrazem podzięki był wręczony im fartuch.

Do jawnego pozorowania sakramentu małżeństwa wprawdzie nie doszło, nie próbowano też homoseksualistów pobłogosławić (zakazuje tego dokument Kongregacji Nauki Wiary z 2021 r.). Włoskie media piszą mimo wszystko bez ogródek o „homoseksualnym ślubie" – i trudno im się dziwić. Ceremonia zorganizowana we włoskim kościele jako żywo przypomina heretyckie ekscesy, które dotąd kojarzyły się nam raczej z Kościołem katolickim w Niemczech, Austrii i Szwajcarii. Włochy uchodziły w powszechnej świadomości za kraj wciąż bardziej ortodoksyjny.

Trudno jest wydawać ogólne sądy o prawowierności całej Italii, a to choćby ze względu na wyjątkowe rozdrobnienie włoskiego Kościoła, podzielonego na ponad 220 diecezji (w Polsce 41) i ponad 25 tys. parafii (w Polsce ok. 10 tys.). Ortodoksji niewątpliwie próżno będzie jednak szukać tam, gdzie znajduje się Budrio – a więc na terenie archidiecezji Bolonii, w której od 2015 r. sprawuje władzę metropolitalną Matteo Zuppi, kreowany przez Franciszka kardynałem w roku 2019, a w roku bieżącym uczyniony przez papieża przewodniczącym Konferencji Episkopatu Włoch.

TĘCZOWY ZUPPI

Organizator homoseksualnej hucpy w Budrio, ks. Davalli, nie działał samowolnie; w rozmowie z włoską prasą wyjaśnił, że o swoich zamiarach zorganizowania quasi-ślubu dla dwóch gejów osobiście poinformował kard. Zuppiego. To informacja najpewniej prawdziwa, bo służby prasowe archidiecezji bolońskiej dopytywane o sprawę przez media odparły tylko, że nie widzą żadnego problemu, jako że Msza Święta była „dziękczynna".

Poparcie Zuppiego dla tego rodzaju skandalu doskonale wpisuje się w jego dotychczasową działalność na polu rewolucji seksualnej. Urodzony w 1955 r. w Rzymie hierarcha dał się już wielokrotnie poznać jako zagorzały przyjaciel środowisk LGBT. W 2016 r. wypowiadał się przeciwko homofobii, którą stawiał na równi z problemem przemocy wobec kobiet. W 2018 r. ukazała się w Italii włoskojęzyczna edycja książki znanego koryfeusza tęczowej ofensywy zza oceanu, ks. Jamesa Martina SJ. Praca została opatrzona przedmową Zuppiego. Krytyka, która spadła nań z tego powodu, nie powstrzymała go przed dokonaniem kolejnego wyskoku tego rodzaju: w roku 2020 napisał wstęp do progejowskiej pracy Luciana Moia. Do szerokiej

eprasa.pl a9497fac0a

publiczności przebiły się zwłaszcza słowa Zuppiego, zgodnie z którymi „nikt nie może wybrać swojej orientacji seksualnej". Gdy Franciszek mianował Zuppiego przewodniczącym Episkopatu Italii, radości nie krył polityk włoskiej Partii Demokratycznej, lewicowiec Alessandro Zan, wieloletni działacz LGBT. Zuppi może liczyć również na poparcie masonerii: wyboru gratulował mu Gioele Magaldi, wielki mistrz Wielkiego Wschodu Demokratycznego Włoch.

NIEBEZPIECZNA „DYPLOMACJA"

Zuppi uchodzi obecnie za jednego z czołowych papabile. Nie chodzi wyłącznie o jego liberalne poglądy ani nawet o manifestacyjne „ubóstwo" – chodzenie z wysłużoną teczką, jazda na rowerze i bliskość wobec bezdomnych czy imigrantów po wyborze na papieża Jorgego Maria Bergoglia nie są już niczym szczególnym. Zuppi ma wszelako jedną zaletę, której nie posiada żaden inny kardynał. Jest nieformalnym kapelanem wpływowej kościelnej grupy, Wspólnoty św. Idziego (Sant'Egidio). Wspólnotę założył w 1968 r. 18-letni wówczas Andrea Riccardi, przekształcając ją z czasem w niezwykle aktywną na kilku kontynentach organizację charytatywną, która angażuje się też w wielką politykę. Riccardi, profesor i były polityk, jest dobrze znany ze swojej niechęci do Polaków. Poświadczają to w prywatnych rozmowach ci, którzy mieli wątpliwą przyjemność spotkać się z nim osobiście, mówiąc o częstych szyderczych uwagach kierowanych do naszych rodaków; o polakożerstwie Riccardiego świadczą też jego publiczne słowa. W ogłoszonej w ubiegłym roku książce „Kościół płonie" Riccardi przedstawił Polaków jako zażartych antysemitów, powielając najgorsze kłamstwa znane nam ze zjadliwych żydowskich, rosyjskich czy niemieckich antypolskich filipik prasowych.

Szef Sant'Egidio ma wysokie mniemanie o swoich możliwościach: krótko po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji na Ukrainę proponował zaangażowanie swojej wspólnoty w działania mediacyjne. Proponował budowanie z Rosją nowej „architektury bezpieczeństwa" na drodze „kooperacyjnego dialogu", bo – jak zaznaczał – choć nie jest obrońcą Władimira Putina, to „imperialna reakcja" Rosji jest odpowiedzią na jej „upokorzenie i okrążenie przez NATO". Antypolskie i sprzyjające Moskwie poglądy Riccardiego niewątpliwie nie pozostają bez wpływu na postawę kard. Zuppiego. Swego czasu najwybitniejszy włoski watykanista Sandro Magister pisał zgryźliwie, że gdyby Zuppi zastąpił Franciszka, to tak naprawdę papieżem byłby właśnie Andrea Riccardi.

KRYZYS WŁOSKIEGO KOŚCIOŁA

Nie jest przypadkiem, że czołową rolę w Kościele katolickim we Włoszech odgrywa dziś ktoś taki jak Zuppi – przyjaciel lewicy, środowisk LGBT i masonerii oraz „kapelan" Sant'Egidio. Katolicyzm we Włoszech przeżywa współcześnie niezwykle poważny kryzys. Widoczne jest to na płaszczyźnie życia społecznego i politycznego: od 2016 r. w Italii legalne są homoseksualne związki cywilne, mimo wyraźnie krytycznego wobec takich rozwiązań prawnych stanowiska Kościoła katolickiego. Od 1978 r. legalne jest we Włoszech zabijanie dzieci nienarodzonych do końca trzeciego miesiąca ciąży, bez żadnej przyczyny, co przez lata skutkowało zabijaniem rokrocznie ponad 100 tys. dzieci. Ten tragiczny stan rzeczy nie wzbudza większej dyskusji pomimo faktu, że kryzys demograficzny w Italii jest jednym z najpoważniejszych na świecie. Choć prawie w żadnym państwie na świecie dzietność nie jest tak niska jak w Polsce, to Włochom udało się przebić nawet nas: w 2021 r. urodziło się we Włoszech niespełna 400 tys. dzieci, podczas gdy zmarło ponad 700 tys. osób.

Tak źle nie było jeszcze nigdy we włoskiej historii, a wszystko wskazuje na to, że będzie jeszcze gorzej. Italii grozi biologiczna zagłada, a Kościół nie jest zdolny do tego, by wydobyć z siebie wyraźny głos w tej sprawie. Już choćby to obrazuje fatalny stan intelektualny włoskiego katolicyzmu.

NOWA RELIGIJNOŚĆ

Zapaść zobrazowało też zachowanie Kościoła w Italii w czasie pandemii COVID-19. Włoskie władze nakładały na społeczeństwo obostrzenia o wiele poważniejsze niż np. polskie, co przyjmowano bez większych protestów. Katolicy pozwolili ogarnąć się panice i poświęcić życie religijne na ołtarzu sanitaryzmu. W wielu diecezjach, zwłaszcza na początku pandemii, całkowicie zamykano kościoły. Na covidowe szaleństwo we Włoszech wpływała oczywiście postawa samej Stolicy Apostolskiej; państwo watykańskie jako jedno z ostatnich na świecie zniosło w 2022 r. rygorystyczne wymogi, związane zwłaszcza z koniecznością okazywania certyfikatu zaszczepienia przeciwko COVID-19.

Tradycyjna religijność zanikała zresztą już wcześniej. Typowa dla Włochów zabobonność jest od kilkudziesięciu lat podgrzewana przez nowomodne prądy ideologiczne spod znaku New Age. W Italii bardzo poszukiwani są egzorcyści, co wiąże się w dużej mierze z dużą popularnością wróżbiarstwa, czarów czy nawet satanizmu wśród części społeczeństwa.

Podobnie jak w Polsce relatywnie słaby jest we Włoszech ruch na rzecz tradycyjnej liturgii, a w siłę rosną wspólnoty neocharyzmatyczne, które w miejsce rozumnej wiary wprowadzają religijność emocjonalną o zacięciu szamanistycznym. Temu wszystkiemu towarzyszy naturalnie kryzys powołań: w ciągu ostatnich 30 lat liczba włoskich kapłanów zmniejszyła się o prawie 30 proc. A to dopiero początek katastrofy, bo prawie 20 proc. włoskich duchownych ma ok. 80 lat.

POTRZEBA ŚWIĘTYCH

Ojczyzna niezliczonych świętych stała się dziś przestrzenią nieskrępowanych działań antychrześcijańskiej rewolucji. Włoski Kościół jawi się jako całkowicie bezsilny wobec tendencji, które niszczą katolicyzm. Działalność arcybiskupa Bolonii w tym kontekście nie dziwi: Matteo Zuppi jawi się jako idealny przewodniczący episkopatu, który od lat coraz bardziej płynie z prądem, nie potrafiąc już nawet ukryć swojej podatności na ideologię neomarksistowską. Wielu watykanistów sądzi, że Franciszek powierzył Zuppiemu nową funkcję, aby przetestować go przed ewentualnym papiestwem.

Można mieć nadzieję, że kardynałowie uznają, iż test ten się nie powiódł. Zuppi jako nowy papież zwiastowałby najpewniej poważne pogłębienie wszystkich fundamentalnych problemów, które nękają dziś Kościół: słabości intelektualnej, miękkości w dialogu ze światem, podatności na wpływy polityki. Zamiast takich ludzi jak obecny metropolita Bolonii Kościół w Italii, a wraz z nim Kościół powszechny, potrzebuje raczej nowych świętych, takich jak św. Franciszek z Asyżu, św. Tomasz z Akwinu, św. Katarzyna ze Sieny czy św. Robert Bellarmin: słowem, ludzi, którzy swoim radykalnym oddaniem Bogu potrafili w minionych stuleciach podźwignąć Kościół z głębokiego upadku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl a9497fac0a

Zapomniana wojna

Lestka i Siemomysła

Jacek Komuda

Król Popiel i jego potomkowie być może zostali zabici w Bonikowie, zdobytym przez drużyny Piastów. Ich lud wybito, wysiedlono lub sprzedano w niewolę. Dziś tylko puste pola i resztki wałów wskazują miejsce, gdzie mogła powstać druga stolica Królestwa Polskiego

Archeologia pokazuje, że zdobycie władzy przez Piastów przypominało bardziej brutalne sceny z serialu historycznego niż legendy Galla Anonima. Potwierdzają to prace oraz tezy czołowych polskich specjalistów: prof. Andrzeja Buki, prof. Zofii Kurnatowskiej, prof. Michała Kary i wielu innych.

W czasach mitycznego Piasta nie istniały Gniezno ani Kruszwica, nie było plemienia Polan ani utożsamianych z nim Goplan, wymienianych jedynie przez Geografa Bawarskiego. Gniezno zbudowano po 940 r. w miejscu świątyni pogańskiej, a Kruszwica została założona dopiero pod koniec X w. Jak zatem wyglądała Wielkopolska przed 920 r.? Silne i zwarte osadnictwo występowało w południowo-zachodniej części – od środkowego biegu Warty, poprzez tereny nad Obrą, do środkowego biegu Odry. Po wschodniej stronie Warty znajdowało się niewiele ośrodków – Kalisz, Giecz, świątynia na Górze Lecha pod późniejszym Gnieznem, Mietlica i kilka pomniejszych grodów. Okolice dzisiejszego Poznania i Gniezna były pustką osadniczą.

Kolejne ćwierćwiecza przynoszą katastrofalne zjawiska, które dają się wytłumaczyć jedynie krwawym konfliktem, paleniem plemiennych grodów i wznoszeniem innych, jako fortyfikacji blokujących przeciwnika. Z ok. 90 gródków okresu plemiennego przetrwało tylko 13. Równocześnie rozpoczyna się budowa ogromnych grodów w pustych dotąd częściach regionu; w większości z nich pojawiają się symbole władzy – kamienne palatia, rotundy i kościoły. Masowy wypał i wyrąb puszczy, budowa przesiek, bron, zasieków – tak oto dziad i ojciec Mieszka – Lestek i Siemomysł – tworzą państwo zwane Civitas Schinesghe, zlepiając je z gliny, drewna, kamienia i krwi poddanych. Nie opierają się na żadnych tradycjach, gdyż ich nie ma, jedynie na brutalnej sile i wspólnocie

eprasa.pl a9497fac0a

Grodzisko Bonikowo znajduje się ok. 2 km na zachód od wsi Bonikowo
FOT. GOOGLE EARTH

praw – korzyściach, które płyną dla jego mieszkańców.

WEJŚCIE PIASTÓW

Dziś nie ma już żadnych wątpliwości, że nie byli żadnymi wikingami, a jeśli nawet przybyszami, to ich stolicami stały się Kalisz i Giecz. Z prac prof. Andrzeja Buki i Zofii Kurnatowskiej wynika, że po pierwsze, grody te były jedynymi, które przetrwały okrutny konflikt w X w., po drugie, przeżyły niezwykły rozwój, gdyż zwycięski ród Piastów szczodrze w nie inwestował. Kontrowersje wzbudzało tylko to, który z dwóch grodów mógł być pierwotną siedzibą władców. Profesor Zofia Kurnatowska uważała, że Giecz, gdyż powstał po 860 r. i otoczony był wieloma otwartymi osadami i wioskami. Rozbudowano go od 883 do 925 r., dobudowując podgrodzie od południa i dodając wał oblicowany kamieniem. Pod koniec X w. rozpoczęto wznoszenie kamiennego palatium, a w kolejnym stuleciu zbudowano kamienny kościół pw. św. Jana Chrzciciela.

Jednak Andrzej Buko wskazuje m.in. na brak w Gieczu znalezisk zaliczanych do sfery tzw. kultury elitarnej, czyli biżuterii, zdobień, ostróg i broni, które pokazywałyby, że mieściło się tutaj centrum sprawowania władzy. Tymczasem Kalisz ma niesamowitą historię. Pierwsze wały wzniesiono w drugiej połowie IX w., a wcześniej funkcjonowało pogańskie cmentarzysko. W X w. nie tylko powiększono osadę, budując otoczony wałami gród o średnicy do 100 m, lecz także rozbudowano wały do wysokości 6 m. Jednocześnie w okolicy osadzono ogromną liczbę ludności – zapewne wziętej w niewolę w czasie wojen Mieszka i jego ojca. W Kaliszu odkryto pozostałości najstarszego drewnianego kościoła z XI w., zaciekłe walki o gród stoczyli Bolesław Krzywousty i Zbigniew.

W czasach mitycznego Piasta nie istniały Gniezno ani Kruszwica, nie było plemienia Polan ani utożsamianych z nim Goplan

I najciekawsze – właśnie w Kaliszu odkryto pozostałości kamiennego kurhanu wzniesionego ok. połowy IX w., który nie tylko był miejscem kultu, lecz także mógł mieć związek ze sprawowaniem władzy. Być może to na nim obwoływano władcami Siemowita, Lestka i Siemomysła, organizowano wiece, oddawano cześć bogom i przodkom. Podobne struktury odnaleziono w Wielkopolsce jeszcze tylko w dwóch miejscach: na Górze Lecha w Gnieźnie, przejętej przez Piastów. Trzecia znajdowała się w Bonikowie – hipotetycznej stolicy największych wrogów twórców Polski – być może mitycznych Popielidów. Podobnego kurhanu nie ma w Gieczu. Michał Kara i Leszek Słupecki uważają, że były to kamienne ołtarze pogańskie typu hörg zapożyczone z religii dawnych Skandynawów, a jednocześnie miejsca centralne wspólnot terytorialnych.

Jest jeszcze sprawa najważniejsza. Nie wiemy, jak nazywali się mieszkańcy regionu Giecz – Kalisz, a także ich zaciekli wrogowie. Nazwa „Polanie" jeszcze nie funkcjonowała. Nie były to części żadnego z rozpoznanych plemion – Wiślanie i Mazowszanie nie sięgali wpływami tak daleko. Jest tylko jedna wskazówka – u Widukinda z Korbei w „Dziejach saskich" poddani Mieszka z ok. 963 r. opisani są jako „Licikaviki", co można tłumaczyć jako Lestkowicze – ludzie jego dziada Lestka, być może zatem Lechici. Tak przynajmniej interpretował ten zapis nestor polskiej historiografii prof. Henryk Łowmiański.

Na początku X w. pochodzący z Kalisza Piastowie objęli władzę lub tylko utrwalili panowanie nad Gieczem. Terytorium, które pozostawało pod ich władzą, było zadziwiające – oddzielone od siebie o prawie 90 km grody, rozciągnięte i przedzielone Wartą, po drodze znajdował się gródek Ląd, który zresztą Piastowie zdobyli i spalili, a potem odbudowali. Z punktu widzenia historyka wojskowości tereny nie do obrony, w dodatku przejęcie Giecza naruszało kruchą plemienną równowagę polityczną. Wywołało to konflikt i krwawą wojnę z rywalizującym z Piastami potężnym związkiem plemiennym.

OBRZANIE, RYWALE PIASTÓW

„W dziejach budownictwa grodowego rysują się dwie wyraźne strefy Wielkopolski – pisze prof. Andrzej Buko – część wschodnia, gdzie mamy niewielkie ślady zniszczeń i gdzie zlokalizowana została większość inwestycji grodowych pierwszych Piastów, oraz strefa zachodnia, której cechą charakterystyczną jest krajobraz zniszczonych (lub opuszczonych) grodów okresu przedpaństwowego". Rezultaty badań dzielą Wielkopolskę nie tylko na dwa obszary osadnicze, lecz także faktycznie na dwie kultury: wschodnią Piastów oraz zachodnią – skupioną nad Obrą, z ośrodkiem władzy zlokalizowanym w Bonikowie. W trakcie długoletnich wojen przodkowie Mieszka zniszczyli tę unikalną wspólnotę, paląc większość grodów i przesiedlając ludność w inne miejsca. Kim byli jej mieszkańcy?

Nie zachowały się źródła ich opisujące. Geograficznie ich nazwa powinna

eprasa.pl a9497fac0a

brzmieć Poobrzanie, od rzeki Obry, nad którą znajdowała się większość ich osad otwartych i grodów. Nazwa taka pojawia się w „Dokumencie praskim" – „Pobarane", problem w tym, że jest on z 1086 r., kiedy popioły po mieszkańcach nadodrzańskich grodów rozwiał wiatr historii. Według Sławomira Moździocha tak naprawdę być może były tam dwa plemiona – Obrzanie nad środkową Obrą, a nad górną – Poobrzanie. Archeolodzy używają czasem tej pierwszej nazwy, jednak jest to współczesne określenie historycznej grupy plemiennej. Najczęściej uważają, że należeli do strefy Tornow – Klenica, od miejscowości, w których odkryto należące do niej grody tego ludu. Obrzanie byli bowiem częścią związku plemiennego Dolnych Łużyc – wraz z Miliczanami, Łużyczanami, Głomaczami, Serbami i innymi. Od Lestkowiców różniło ich wszystko. Budowali charakterystyczne grody, jak pisze Marek Dulinicz: „umocnienia nizinne, często usytuowane w miejscach podmokłych, z reguły okrągłe, o średnicy nieprzekraczającej kilkudziesięciu metrów. Wyróżniała je niewspółmierność między niewielką powierzchnią majdanu a solidnością

Prawdopodobnie w latach 40. X w. Piastowie wzmocnili się tak bardzo, że przeszli do ofensywy

fortyfikacji. Wewnątrz często znajdowała się studnia oraz dookolna zabudowa przywałowa". Archeolodzy nazywają je grodami w typie tornowskim. Z dzisiejszego punktu widzenia wyglądały jak twierdze – mniejsze od piastowskich, ale chronione przez wysokie wały, z zabudową tworzącą wewnętrzny krąg przytykających do tychże wałów. Ich konstrukcja była hakowa, nieznana Piastom.

Obrzanie bywali okrutni. W Klenicy znaleziono ofiarę zakładzinową z kobiety. Jednak nie byli tępymi poganami. Świadectwem tego jest ich piękna ceramika – do wytwarzania zdobionych naczyń używali koła garncarskiego, nieznanego na terenach nad Wartą.

Do dziś przynależność Obrzan do terenów Dolnych Łużyc budzi kontrowersje, bo nie wiadomo, gdzie umieścić

Siemomysł FOT. BN

ich pośród graczy politycznych: Połabian, Czech i Niemiec. Tymczasem znaleziska pokazują, że była to osobna wspólnota w ramach kultury dolnołużyckiej, rządzona przez władców z Bonikowa. Tutaj bowiem znajdował się trzeci z tajemniczych kamiennych kurhanów, będących być może uświęconym miejscem do wynoszenia wodzów i władców słowiańskich. Możemy tylko domniemywać, czy władał nim ród Popielidów, utrwalony w legendach przez kronikarzy, i czy Bonikowo było mityczną… Kruszwicą.

OBRZANIE KONTRA LESTKOWICE

Trudno opisać wszystkie etapy konfliktu; z powodu braku źródeł rękopiśmiennych skazani jesteśmy na archeologiczne, gdzie miejsca zdarzeń wyznaczają rejony wykopalisk, a datowanie radiowęglowe i dendrochronologiczne nie zawsze daje idealny wiek obiektu. Spoglądając na mapę działalności Piastów okiem historyka wojskowości, widać kilka faz konfliktu. W pierwszej, być może rozpoczętej w latach 20. X w., Piastowie zabezpieczyli Kalisz i Giecz poprzez opanowanie wschodniej Warty – zdobycie gródku w Lądzie. Doszło w ten sposób do „wojny na grody", gdzie budowa nowych punktów umocnionych odcinała i osłabiała przeciwników. Piastowie zdobyli i zniszczyli kilka ważnych ośrodków – takich jak leżące w sąsiedztwie Giecza Spławie, Bruszczewo czy Daleszyn – najazdy były tak brutalne, że ludność uciekała, porzucając przedmioty codziennego użytku. Następnie rozpoczęli „operację gnieźnieńską" w celu przejęcia ośrodka kultu pogańskiego na Górze Lecha. Wybudowali w okolicy Moraczewo, Grzybowo i Ostrów Lednicki. Kulminacją tej części konfliktu było założenie Gniezna i Poznania oraz kilku otaczających ich grodów.

W tej fazie konfliktu Obrzanie mieli przewagę nad Piastami, wspierając lokalne ośrodki plemienne. Cechą charakterystyczną nowo powstałych grodów przodków Mieszka jest bowiem – jak podają Andrzej Buko i Michał Brzostowicz – to, że tworzyły kilka obronnych linii, z których najważniejsza przebiegała od Żnina, przez Ostrów Lednicki, Moraczewo, Bnin, Śrem, do Sudowela. Kolejna, tyle że krótsza, biegła przez Mogilno i Grzybowo, osłaniając wschód piastowskiego państwa. Pomiędzy nimi znajdowało się Gniezno, nieco bardziej na południe Giecz. Dodatkowo na zachód od Kalisza pojawiła się strefa licznych, założonych przez Piastów gródków, zabezpieczających przed atakiem… ze strony Bonikowa. Tylko ktoś obawiający się silniejszego przeciwnika buduje linie umocnień. Świadczy to, że Piastowie lękali się konkurencyjnego ośrodka nad Obrą i zapewne odpierali liczne najazdy. Miejscem zaś wyznaczającym swoistą linię demarkacyjną był Poznań. Na zachód od niego nie powstało prawie żadne nowe osiedle.

Taki układ grodów świadczy o kolejnej kwestii – że w pewnym momencie nastąpił na kilka–kilkanaście lat tymczasowy podział władzy na terenach nad Wartą, rozejm, który podzielił Wielkopolskę na dwa państwa – Obrzan i Lestkowiców. Był niezwykłym osiągnięciem Siemomysła lub Lestka, gdyż dawał chwilę wytchnienia na zbudowanie własnej potęgi. Jak czas pokazał, Popielidzi srogo tego pożałowali.

SOJUSZ HENRYK PTASZNIK-SIEMOMYSŁ?

Prawdopodobnie w latach 40. Piastowie wzmocnili się tak bardzo, że przeszli do ofensywy, rozpoczynając systematyczną akcję niszczenia grodów typu Tornow. Prawdopodobnie do lat 60. spalono i unicestwiono ośrodki pomiędzy Poznaniem a środkową Odrą, w tym wszystkie grody położone nad Obrą. Ta krwawa wojna nosi znamiona akcji pacyfikacyjnej, w której zdobywano i palono kolejne gródki, a ludność przesiedlano na wschód kraju, pozostawiając być może tylko wiejskie

eprasa.pl a9497fac0a

osady. Jednocześnie na terenie domeny Piastów, na zachód od Kalisza i w okolicach Poznania, znajdują się zupełnie nowe skupiska grodów; zwiastują ogromną migrację ludności, która trwa jeszcze w drugiej połowie wieku.

Piastowie niszczą przeciwnika z zaciekłością, w wielu grodach odkryto kości ludzkie i inne pozostałości walk. Jednocześnie teren Obrzan nie zostaje odbudowany, aby nigdy nie powstało tutaj nowe ognisko oporu. Piastowie obawiają się Popielidów, a może ich sojuszników, do tego stopnia, że nawet zakładane w drugiej połowie X w. grody wokół Kalisza budowane są tak, aby bronić ośrodek przed agresją z zachodu. Na pogorzeliskach odbudowywane są tylko te grody, które mają strategiczne znaczenie – jak Santok, Międzyrzec czy Krosno, wzdłuż Warty powstają kolejne – Nakło i Ujście.

Osobiście uważam, że uderzenie Piastów rozpoczęło się najpóźniej pod koniec lat 40. Być może po wybudowaniu Poznania, który stanowił naturalną twierdzę wspomagającą wyprawy wojenne. Co więcej, zaistniała wówczas korzystna sytuacja polityczna. W 932 r. król Niemiec Henryk Ptasznik narzucił trybut Łużyczanom należącym do tej samej kultury co Obrzanie. Być może ograniczyło to możliwości uzyskania od nich pomocy przez Popielidów. Być może nawet istniał układ pomiędzy Siemomysłem a królem Niemiec. Kronikarze o nim nie wspominają, pamiętajmy jednak, że władca Lestkowiców był poganinem, zbyt mało znaczącym, aby znaleźć się na kartach historii.

Podbój ziemi Obrzan zakończył się przed rokiem 965, gdyż wcześniej Mieszko zajął ziemię Lubuszan leżącą po zachodniej stronie Odry. Wątpliwe, czy byłby w stanie to uczynić, gdyby nad Obrą istniały pozostałości państewka Popielidów. Zapewne więc ok. 950 r. padł główny punkt oporu – Bonikowo – zdobyty przez Piastów, a następnie zrujnowany i opuszczony. Już tylko literacka fantazja podsuwa myśl, że ród Popielidów został tutaj wymordowany lub zagłodzony, kiedy szukał schronienia w drewnianej wieży gdzieś na pełnym jezior terenie dzisiejszego Przemęckiego Parku Krajobrazowego.

REAKCJA POGAŃSKA CZY BUNT OBRZAN?

Co się stało z podbitymi i złamanymi Obrzanami, a także innymi mieszkańcami plemiennych wspólnot podbitych przez Piastów? W publicystyce historycznej pojawiają się czasem tezy, że Mieszko i jego poprzednicy utrzymywali się z handlu niewolnikami. Jednak rozmach budowlanych inwestycji każe temu przeczyć. Piastowie potrzebowali ludności służebnej i niewolnej do wznoszenia grodów, palacjów, kościołów. Ktoś musiał wytwarzać tarcze, groty oszczepów i strzały dla książęcej drużyny, rąbać przesieki, pracować na daniny, strzec grodów, przepraw. Dlatego w niewolę sprzedawano najbardziej buntownicze elementy, pozostałych zsyłając do wielkiej budowy.

Król Niemiec Henryk I Ptasznik

FOT. BN

Chociaż Piastowie chcieli doszczętnie wykorzenić pamięć o Obrzanach, to nie udało im się to całkowicie. Przemieszczenia ludności doprowadziły do niepokojów. Symbolem ich stał się gród w Moraczewie, jeden ze starszych, który niespodziewanie został zniszczony w połowie X w., choć położony był w samym centrum państwa. Jedynym racjonalnym wytłumaczeniem jest bunt osadzonej w grodzie ludności stłumiony, być może już przez Mieszka. Drugim grodem jest Grzybowo, które zostało opuszczone w pierwszej połowie stulecia. Archeolodzy przyjmują, że być może nie spełniało swojej funkcji jako forteca blokująca Górę Lecha. Innym wytłumaczeniem jest bunt, zakończony porzuceniem grodu i masową ucieczką mieszkańców. Gdzie? Być może na słowiańskie Dzikie Pola, czyli na Mazowsze.

Tak czy owak Obrzanie, przedstawiciele ludów łużyckich, stali się częścią Wielkopolski i przodkami dzisiejszych Polaków. Jednak Piastowie nie ze szczętem wykorzenili ich pamięć o przodkach. W 1038 r., kiedy wybuchło powstanie ludowe, bunt objął te części Królestwa, które zostały wcześniej podbite przez Piastów, a także te, na których osadzono przesiedloną ludność. Porównanie map piastowskiego budownictwa z prac prof. Andrzeja Buki z mapą zasięgu powstania z 1038 r. z monografii Janusza Bieniaka „Państwo Miecława" pokazuje, że największy zasięg reakcji miał miejsce tam, gdzie wcześniej zlikwidowano państwo Obrzan, a także na zachód od Kalisza i w okolicach Poznania, Giecza, Ostrowa Lednickiego, gdzie osadzano podbitą ludność słowiańską.

Jednak bunt ludowy z 1038 r. nie zniszczył Królestwa Polskiego. Wcześniej bowiem, jak pisze Michał Kara, nastąpiło uformowanie jego historycznej wspólnoty. W przekazie Ibrahima ibn Jakuba z 962 r. określana była ona jako „państwo Mieszka", w 992 r. w dokumencie „Dagome iudex" jako „Civitas Schinesghe", od ok. 1000 r. jako Polonia, kraj Palanów, Polianów, Poleni i Polan.

Pierwszym w kolejności fundamentem Królestwa stały się podbój i budowa nowego systemu grodów. Drugim przyjęcie chrześcijaństwa i stworzenie hierarchii kościelnej. Trzecim – i może najważniejszym – była, jak pisze Michał Kara, umowa społeczna: „Patrymonialna domena Piastów – zalążek późniejszej monarchii polskiej – powstała w wyniku konsolidacji wspólnot lokalnych, w czym kluczową rolę odegrała umowa polityczna między rodem (klanem) Piastów a wspomnianymi społecznościami". Wspólne państwo bowiem dawało zwykłym mieszkańcom spokój od najazdów, pewność, że nie zostaną zabici, obrabowani ani schwytani w niewolę. Elicie możnych oferowało awans, władzę i godności, których nie dałoby im plemię. Dlatego zbuntowanym potomkom Obrzan i może Popielidów nie pozostało nic innego, jak czekać na wracającego do kraju Kazimierza Odnowiciela, gdyż nawet po wywołaniu powstania nie było dla nich powrotu do dawnego, plemiennego życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Modelka w lnianej sukni wieczorowej z bolerkiem, Katowice 1938 r.

FOT. CZESŁAW DATKA/NAC

Z Magdaleną Idem, reporterką i redaktorką *rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert*

Dyktatorzy mody w II RP

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Wełnianym centrum II RP był Leszczków?

MAGDALENA IDEM: Raczej Bielsko i Łódź. W Leszczkowie, mimo że działała tam fabryka z prawdziwego zdarzenia, produkowano samodziały wełniane na o wiele mniejszą skalę. Po pierwsze dlatego, że właściciele mieli do dyspozycji niemal wyłącznie przędzę skupowaną od lokalnych chłopów, po drugie każdy wzór tych samodziałów był projektowany osobno przez żonę właściciela, Romana Żurowskiego, Karolinę. Nie miało to wiele wspólnego z produkcją masową. Wyroby leszczkowskie przewyższały ceną tradycyjne materiały wełniane i powstawały z myślą o wykorzystaniu w projektowanej odzieży w stylu angielskim.

Andrychowska bawełna miała rodowód czeski?

Rzeczywiście bracia Czeczowiczka, którzy założyli w Andrychowie mechaniczną tkalnię bawełny, pochodzili z czeskiej rodziny żydowskiej. Natomiast bawełnę tkano tam o wiele wcześniej, bo już od końca XIX w. Stanowiło to naturalne następstwo spadku popularności lnu, który w naturalnym ciągu produkcyjnym pojawił się w tamtych okolicach już w XVII stuleciu.

Dlaczego w popularyzację lnu zaangażował się gen. Lucjan Żeligowski?

Trudno jednoznacznie stwierdzić. Wielu uważało, że to jego emerycki kaprys. Goście, których zapraszał do swojego dworku w Andrzejowie, pisali wprost, że miał na punkcie lnu obsesję. Nosił wyłącznie ubrania z tej tkaniny, służbie nakazał to samo. Spał pod lnianą pościelą, używał lnianych serwet, obrusów, ręczników itd. Dziennikarze i działacze, którzy podobnie jak on angażowali się w promocję tego materiału, starali się tłumaczyć generała, oddawali mu łamy w gazetach, by mógł wyjaśnić, czemu swoją emeryturę zorganizował wokół sprawy lnu. Opowiadał wtedy, że przede wszystkim chciał wspierać interesy lokalne. Wileńszczyzna słynęła wtedy z uprawy lnu, lecz chłopi mieli poważne kłopoty, żeby sprzedać w kraju swoje surowce. Żeligowski poza tym głosił śmiałą tezę, że gdyby Polacy masowo kupowali i produkowali len, udałoby się nam uniknąć kryzysu gospodarczego. Możemy więc wnioskować, że uznawał swoją inicjatywę za sprawę patriotyczną.

O prymat w kuśnierstwie Arpad Chowańczak rywalizował z Maksymilianem Apfelbaumem?

eprasa.pl a9497fac0a

Nie sądzę, żeby konkurowali. To dwie kompletnie różne firmy, o innej skali funkcjonowania. Futra Chowańczaka były znacznie droższe i bardziej nowoczesne. Jako jeden z pierwszych warszawskich właścicieli luksusowych butików zdecydował się na modernizację wnętrz sklepowych. Powstało w stylu bauhausowskim, maksymalnie uproszczone, z chromowanymi meblami, ukrytymi szafami, lustrami zajmującymi całe ściany. Zaprojektował je Zbigniew Puget. Apfelbaum zwlekał z unowocześnianiem swojego salonu i kiedy w tym celu zatrudnił Tadeusza Gronowskiego, było już za późno, by ubiegać się o prymat. Poza tym Chowańczak prowadził biznes w odmienny sposób niż reszta warszawskich kuśnierzy. Poza sprzedażą i komisem oferował też inwestycję w futra, nazywał to „giełdą futrzarską". Bogacze lokowali kapitał w modele, które on potem eksportował za granicę.

Jeśli już mówimy o rywalizacji, to raczej z jednym i z drugim konkurował Czesław Sznajdrowicz. Prowadził kilka sklepów w Polsce, chwalił się, że ukończył „studia futrzarskie" w Paryżu, choć nigdzie nie znalazłam potwierdzenia tych słów. Udało mu się jednak nakłonić Jadwigę Smosarską do reklam na wyłączność. Oferował też osobliwe modele futer, np. tygrysy połączone ze skunksami, gazele, świstaki. Miał jednak pecha, bo dwa razy okradziono jego salony i popadł w kłopoty finansowe.

Gustaw Żmigryder przeinwestował?

Z pewnością. Większość zysków wypracowanych przez salon mód, który odziedziczył po ojcu, inwestował w luksusowe pismo „Pani". Tylko że sposób, w jaki wymarzył sobie, by wydawano ten tytuł, nie mógł się opłacać. Każda reklama była tam osobno, redakcyjnie projektowana – tak, aby pasowała do layoutu. Okładki projektowali rozchwytywani plastycy, artykuły ilustrowali cenieni graficy, teksty publikowali znani literaci. Proszę dołożyć do tego własne korespondencje z Paryża i Londynu, imprezy firmowe organizowane z wielkim rozmachem, podróże zagraniczne redakcji. Nie wydaje się możliwe, żeby jeden salon mody mógł utrzymać tak kosztowne przedsięwzięcie.

Modelki prezentują sukienki z lnu dla dziewcząt, Katowice 1938 r.
FOT. CZESŁAW DATKA/NAC

Czym zajmował się Boguchwał Myszkorowski?

Jak wielu właścicieli salonów mód był kupcem i organizatorem pokazów po trosze. Z tym że w tej drugiej profesji sprawdzał się znacznie lepiej – jego imprezy były zawsze oparte na jakimś niespodziewanym koncepcie. Myślę, że sporą przesadą byłoby nazwanie go projektantem. U Myszkorowskiego sprzedawało się modele paryskie i wiedeńskie albo ich kopie. W latach 30. to trochę się zmieniło, pewnie z tego względu, że kryzys gospodarczy nie pozwalał na tak częste sprowadzanie modeli z zagranicy. Działała u niego wtedy znana pracownia krawiecka z tzw. pierwszą, czyli krawcową projektującą nowe modele, czuwającą nad procesem ich wykańczania. Z tamtego okresu pochodzą jego tzw. suknie ochrzczone, wpisane w kontekst aktualnych wydarzeń w Polsce i na świecie. Wtedy powstały takie kreacje jak „Abisynia", „Gdynia" czy „Silesia". Dwie ostatnie miały wspierać wizję nowoczesnego Pomorza i Górnego Śląska, uchodzących za filary rozwoju II RP.

Pokaz mody w restauracji Adria w Warszawie. Suknia z Domu Modelowego Boguchwał Myszkorowski FOT. NAC

Tytuł „królowej piękna" należał się Zoi Wasilewskiej czy Julii Świtalskiej?

Zależy to od tego, co rozumiemy przez owo sformułowanie. Na pewno większą popularnością cieszyła się Świtalska. Głównie ze względu na liczne plotki, podchwytywane przez pisma bulwarowe, co wpływało na sprzedaż jej kosmetyków. Była kilkukrotnie zamężna, drugim wybrankiem był Kazimierz Świtalski, trzecim – dyrektor Orbisu, Fularski. W obu tych związkach prowadziła bogate życie towarzyskie, często podróżowała, angażowała się politycznie. U jednych taki styl budził podziw, u innych zawiść. Prowadziła swoje przedsiębiorstwo na skalę daleko wykraczającą poza warszawskie rogatki. Zorganizowała sieć konsultantek terenowych, oferujących kosmetyki w rozsądnych cenach na prowincji, które urządzały pogadanki popularyzujące te specyfiki. Ponadto firmowała działalność wydawniczą, założyła biuro prasowe, była felietonistką kilkunastu pism (również regionalnych). W jednej z wielkopolskich gazet zachowała się informacja, że Świtalska pewnej spółdzielni kobiet ofiarowała – gratis! – partię książek o higienie i kosmetyce. Jej działalność przypominała w wielu przypadkach pracę u podstaw. Poza tym wszystkim fakt, że kobieta zarządzała imperium kosmetyczno-wydawniczym, budził ogólną sensację.

Wasilewska to z kolei kosmetyczne guru aktorek, zarówno polskich, jak i zagranicznych. Do niej przychodziły tzw. lansjerki (dzisiaj powiedzielibyśmy influencerki). Jeżeli już porównujemy obydwie panie, to trzeba wyjaśnić, że zajmowały się trochę innymi segmentami rynku. Świtalska była przede wszystkim lekarzem, koncentrowała się na rozwijaniu kosmetyki leczniczej, zwiększaniu świadomości higieny, rozwijała medycynę estetyczną. Wasilewska w Gracji prowadziła coś na kształt rozbudowanego salonu urody: można się tam było odchudzić, opalać, masować, zrobić trwałą ondulację i makijaż.

eprasa.pl a9497fac0a

Modelka w lisich futrach (peleryna i mufka) z magazynu Maksymiliana Apfelbauma w Warszawie, 1935 r. FOT. NAC

Dla Ireny Pokrzywnickiej moda stanowiła jedynie dopełnienie plastyki?

Dobrą odpowiedzią na to pytanie będzie przywołanie historii pawilonu polskiego z Wystawy Światowej w Nowym Jorku w roku 1939. Pokrzywnicka została poproszona wtedy o zaprojektowanie ekspozycji w sali tkanin, która pokazywałaby osiągnięcia polskiej mody. I chociaż zdawała sobie sprawę, że hasłem tej wystawy jest „The World of Tomorrow" („Świat jutra"), zdecydowała się pokazać 12 sylwetek damskich i męskich inspirowanych dziejami Polski. Podeszła do tematu maksymalistycznie. Ubrała manekiny w żupany, kontusze, długie suknie inspirowane dawnymi szlacheckimi strojami balowymi, na dwie z nich narzuciła dosyć staroświeckie futra od Apfelbauma. Wywołało to dużą krytykę. Wydaje się jednak, że Pokrzywnicka nie przejmowała się tym zanadto, bo tuż obok tych 12 manekinów powiesiła cztery swoje obrazy, które odwróciły uwagę od ubrań i pozwoliły jej rozprawiać w wywiadach o tym, że moda to projekt ściśle związany ze sztuką i historią narodową. Zapewne więc uważała, że moda i plastyka się przenikają.

Jak w międzywojennej Polsce wyglądał rynek periodyków modowych?

Na jego rozwój rzutowało czasopiśmiennictwo zachodnie. Największe triumfy zaczął święcić wtedy magazyn ilustrowany „Life". W Polsce coraz większa była świadomość takich magazynów jak „Vogue" czy „Harper's Bazaar". Poza tym powszechna stała się praktyka sprowadzania niemieckich, francuskich lub angielskich makiet pism modowych, które wypełniano jedynie polskim tekstem. Rozwinęła się profesja komiwojażerstwa prasowego, docierano z pismami i wykrojami ubrań do miejscowości słabiej zaopatrzonych w gazety. To wszystko wpłynęło na fakt, że prasa modowa w Polsce mogła rozwijać się równolegle dwoma torami: mieliśmy kilka tytułów luksusowych, kunsztownych formalnie, które usiłowały upodabniać się wizualnie do wzorców zachodnich, i sporo czasopism gorszej jakości, opartych na dużej liczbie zdjęć i sensacyjnych tekstach.

Należy wspomnieć o Alfredzie i Annie Krzyckich – wydawcach „Mojej Przyjaciółki". Ten magazyn nie był wprawdzie żurnalem, ale miał rozbudowany dział mody, do którego pisały korespondentki z całej Polski. Reprezentował interesy nowoczesnych kobiet z prowincji – redakcja uznawała, że postępowe bohaterki nie muszą legitymować się elitarystycznym statusem. Krzyccy wydawali pismo wysokonakładowe, dość tanie, przy tym nastawione bardzo demokratycznie nie tylko, jeśli chodzi o treści, lecz także reklamę. Zamawiając prenumeratę, miało się gwarancję otrzymania nagrody – czasami książki, innym razem np. jedwabnych pończoch albo wełny na sweter.

Gdzie odbywały się pokazy nowych kolekcji?

Głównie na scenie teatralnej. Ale też w hotelach i restauracjach typu warszawska Adria. To, gdzie organizowano dany pokaz, zależało od rodzaju prezentacji, bo były pokazy tzw. łączone, podczas których prezentowało się kilka marek, pokazy w formie występu rewiowego oraz indywidualne – przygotowywane w salonach mód właścicieli. Odbywały się też prywatne prezentacje u ziemian i arystokracji, np. w ogrodzie pałacu Brühla u ministrowej Beckowej. Nie zapominajmy też o imprezach plenerowych, np. w Dolinie Szwajcarskiej. Mieliśmy też sporo pokazów organizowanych w zawodowych szkołach żeńskich, najsłynniejsze to chyba te przygotowywane przez absolwentki szkoły w Siedlcach.

Do reklamy tekstyliów, obuwia czy kosmetyków wykorzystywano artystów?

Takie praktyki znajdziemy już w XIX-wiecznym „Bluszczu" albo „Tygodniku Ilustrowanym" – nie jest to jakaś innowacja międzywojenna. Wtedy taki rodzaj promocji znacznie się rozwinął, zwłaszcza w latach 30. Wynikało to ze zmiany nastawienia marek do prasy, które zaczęły traktować pisma niczym wizytówki swoich produktów, a nie tylko słup ogłoszeniowy. A ponieważ w latach 30. dominujący stał się w gazetach ilustrowanych dyskurs filmowy, do takiej reklamy wykorzystywano przeważnie aktorów. Hanka Ordonówna reklamowała pepegi, Fryderyk Jarossy zabiegi odchudzające w słynnym Parafineum…

Czy kluczowi bohaterowie pani książki przeżyli drugą wojnę światową?

Irena Pokrzywnicka i Zofia Raczyńska-Arciszewska – właścicielka modnego pośród warszawskiej bohemy lokalu Sztuka i Moda – pozostały na emigracji. Wojny nie przeżył Roman Żurowski, założyciel fabryki w Leszczkowie. Jego żona Karolina, okrutnie doświadczona obozową gehenną, nie poddawała się jednak i w 1945 r. rozkręciła kolejny biznes wełniany, tym razem w Bielsku. Udało jej się tam sprowadzić część pracowników z Leszczkowa i przetransportować maszyny z przedwojennej fabryki. W 1950 r. tę działalność upaństwowiono i włączono do Cepelii. Alfred i Anna Krzyccy, założyciele żnińskiego koncernu prasowego, pozostali w Polsce. Ich drukarnię i wydawnictwo również znacjonalizowano, odebrano im właściwie wszystko, akcesoria drukarskie wywieziono do Warszawy. Córki żnińskich edytorów opowiadały mi, że tata nie mógł się z tym pogodzić do końca życia. Tyle że dla niego straszniejsze niż utrata majątku było to, że nie pozwolono mu już pracować w wykonywanym wcześniej zawodzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Magdalena Idem – reporterka i redaktorka, doktorantka w Instytucie Dziennikarstwa, Mediów i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka książki „Manekin w peniuarze. Moda w II RP". Finalistka kilku nagród dziennikarskich.

eprasa.pl a9497fac0a

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Koszmar Ponar

Jaka szkoda, że mogę dać książce tylko sześć gwiazdek! „Zbrodnia ponarska" zasługuje bowiem na dziesięć. Za pośrednictwem tych łamów chciałbym wyrazić wielkie uznanie i wdzięczność dla autorki, pani Moniki Tomkiewicz. Raz, że upamiętnienie zbrodni ponarskiej – ze względów rodzinnych – szczególnie leży mi na sercu. Dwa, że jest to perfekcyjna historyczna robota.

Pani Tomkiewicz swoje badania oparła na kolosalnej kwerendzie źródłowej przeprowadzonej w kilku krajach. Warto dodać, że są to badania niezwykle obiektywne, rzetelne i drobiazgowe. W pierwszym wydaniu „Zbrodni ponarskiej" – które ukazało się 14 lat temu – znalazła się imienna lista polskich ofiar, na której były 353 nazwiska. Później autorce udało się zidentyfikować kolejne 53 osoby.

Liczba 406 nie zamyka pełnego bilansu ofiar. Według pani Tomkiewicz na Ponarach Niemcy i ich litewscy kolaboranci mogli zgładzić nawet 1,5–2 tys. Polaków. A także 72 tys. Żydów, 5 tys. jeńców sowieckich oraz 1 tys. Litwinów i Białorusinów. W sumie zbrodnia pochłonęła 80 tys. istnień ludzkich.

Najbardziej wstrząsający rozdział poświęcony jest egzekucjom. Oprawcy gromadzili ofiary nad krawędziami kolosalnych dołów. Ludzie prowadzeni na śmierć w ostatnich chwilach życia widzieli u swoich nóg stosy ciał poprzedników… Na Ponarach zabijano mężczyzn, a także kobiety i dzieci. Relacje świadków mrożą krew w żyłach.

Autorka dotarła także do akt procesowych sprawców. Na przykład Witolda Gilwińskiego, członka ponarskiego komanda śmierci, który po wojnie był sądzony w Olsztynie. W efekcie możemy spojrzeć na egzekucje również z perspektywy oprawców.

„Nie mogłem strzelać do ludzi – zeznawał Gilwiński. – Wyszedłem z szeregu. Powiedziałem podporucznikowi Balysowi Norwaiszy, że nie mogę strzelać. Na to on podniósł pistolet, którego lufę skierował w moją stronę, mówiąc: „Stawaj do szeregu, bo znajdziesz się w dole razem z Żydami". Padłem na kolana i powiedziałem: „Przecież ja nie jestem Żydem". Wówczas podporucznik powiedział: „Stawaj na miejsce do szeregu i strzelaj". Podniosłem się więc i stanąłem ponownie w szeregu. Zacząłem strzelać". ©℗

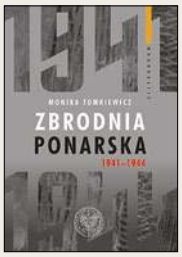

★★★★★★

MONIKA TOMKIEWICZ
„ZBRODNIA PONARSKA 1941–1944"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Problemy twierdzy Warszawa

Chociaż upadek powstania styczniowego przyniósł fale rosyjskich represji, to paradoksalnie był to okres szybkiego rozwoju Warszawy. Klęska nie spowodowała spadku liczby ludności, gdyż w 1864 r. stolica liczyła 244 tys. mieszkańców, a po niespełna 30 latach liczba ta uległa podwojeniu. W chwili wybuchu powstania miasto zajmowało 17. miejsce w Europie pod względem liczby ludności, a przez kolejne pół wieku prześcignęło: Neapol, Mediolan, Rzym, Madryt, Lizbonę, Edynburg, Hamburg, Marsylię, Amsterdam i Brukselę, plasując się na ósmej pozycji. Biorąc pod uwagę to, że Warszawa nie była stolicą kraju niepodległego, można to uznać za ewenement w skali europejskiej.

Natomiast bardzo nieznacznie zwiększyła się w tym okresie powierzchnia miasta. Przyłączeniu okolicznych terenów stały na przeszkodzie względy wojskowe – Warszawa miała być bowiem twierdzą broniącą Rosję od zachodu. To z kolei oznaczało, że władze carskie odmawiały powiększenia jej terytorium oraz zgody na zabudowę i tylko w wyjątkowych okolicznościach decydowano się na inkorporacje małych obszarów. W latach 1850–1889 przybyła stolicy niewielka liczba posesji za rogatkami wolskimi i jerozolimskimi oraz tereny Kolei Petersburskiej i Terespolskiej. W efekcie Warszawa stała się jednym z najbardziej zaludnionych miast Europy.

Nie mogło być inaczej, skoro do budowy nowych domów wykorzystywano niemal każdą wolną parcelę. Z tego też powodu pod koniec lat 60. koniecznością stało się wprowadzenie numeracji domów, gdyż dotychczasowa numeracja hipoteczna powodowała ogromny zamęt. Inna sprawa, że szybki rozwój budownictwa miejskiego doprowadził jeszcze do kilkukrotnego przenumerowania niektórych ulic, np. Marszałkowskiej.

Podstawową wadą rozwoju urbanistycznego Warszawy tamtych lat był brak jednolitej koncepcji rozbudowy miasta. Wytyczając nowe linie kolejowe biegnące przez stolicę, władze rosyjskie nie liczyły się z interesami mieszkańców, nie dbano też o tereny rekreacyjne. Miasto wzbogaciło się wówczas zaledwie o jeden park, Aleksandrowski (Praski), a ofiarą gorączki budowlanej padły liczne ogrody prywatne, głównie w południowej i zachodniej części miasta.

Nowa epoka miała zacząć się w dziejach stolicy, gdy 16 sierpnia 1911 r., car Mikołaj II zatwierdził zarządzenie o likwidacji twierdzy Warszawa. Cofnięto zakaz budowy na obszarach przed fortyfikacjami (co miało umożliwić ostrzał), a miasto miało zacząć się swobodnie rozwijać. Cztery lata później Rosjanie jednak opuścili Warszawę i nic nie było już takie jak wcześniej. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

Łabędzi śpiew Pelosi

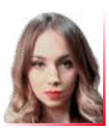

Maria Kądzielska

Przez lata żaden amerykański urzędnik wysokiej rangi nie odwiedził Tajpej, choć oczywiście amerykańskie polityczne i militarne wsparcie dla Tajwanu pozostawało niezmienne. Nancy Pelosi, będąc trzecią osobą w państwie i publicznie ściskając się z prezydent Tajwanu, złamała niejako tę grę pozorów, na co zarówno Waszyngton, jak i Pekin nie do końca wiedzą, jak zareagować. To pogwałcenie utrzymywanego przez ostatnie 25 lat status quo

Demokratka z Kalifornii jest pierwszym od 25 lat przewodniczącym Izby Reprezentantów USA, który odwiedził niepodległą chińską wyspę, a wizyta ta wywołała niezwykle agresywną odpowiedź Pekinu. Czas pokaże, jaki będzie rzeczywisty wpływ podróży Pelosi na Tajwan, która umocniła jej pozycję w Waszyngtonie, a także dostarczyła Pekinowi pretekstu do zwiększenia ćwiczeń wojskowych w pobliżu Republiki.

W obliczu najbardziej napiętych stosunków amerykańsko-chińskich w historii podróż Pelosi budziła kontrowersje od momentu, gdy w lipcu pojawiły się informacje o jej planach. Prezydent Joe Biden ostrzegł wtedy, że „w opinii amerykańskiego wojska nie jest to obecnie dobry pomysł". Natomiast chiński rząd od początku głośno się temu sprzeciwiał, twierdząc, że wizyta naruszyłaby politykę USA wobec Tajwanu, który Chiny uważają za część swojego suwerennego terytorium. Argument, że członek Kongresu może zorganizować taką podróż bez aprobaty Białego Domu, przepadł lub został zignorowany. Chiński przywódca Xi Jinping ostrzegł, że Stany Zjednoczone „igrają z ogniem".

Ze strony USA sekretarz stanu Antony Blinken w lipcu podczas spotkania w Indonezji poinformował swojego chińskiego odpowiednika Wang Yi o możliwej podróży Pelosi. Tym samym komunikacja między oboma krajami na temat wyjazdu była otwarta. Zapowiedź tej wizyty nie przerwała również rozmów na temat potencjalnego szczytu przywódców, który ma się odbyć jeszcze w listopadzie tego roku. Jak dotąd niewiele wskazuje na to, że Chiny zrezygnują z tych starań z powodu działań Pelosi. Fakt, że prezydent Xi Jinping przeprowadził rozmowę telefoniczną z prezydentem USA Joe Bidenem cztery dni przed podróżą pani marszałek, wiedząc, że najprawdopodobniej do niej dojdzie, jest kolejnym wyraźnym sygnałem, że Chiny

eprasa.pl a9497fac0a

Spiker Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych Nancy Pelosi i prezydent Republiki Chińskiej Tsai Ing-wen

FOT. HANDOUT/GETTY IMAGES

nie chcą, aby to zdarzenie wpłynęło negatywnie na stosunki dwustronne.

Pomimo ostrzeżeń i kontrowersji spiker Izby Reprezentantów postawiła na swoim i uwzględniła Tajpej jako trzecie po Singapurze i Malezji miejsce przystanku podczas swojej oficjalnej podróży po Azji. Szczegóły jej wizyty były ściśle strzeżoną tajemnicą niemal do momentu wylądowania na Tajwanie. Przy czym pomimo histerii chińskich mediów, które niemal zagroziły wybuchem trzeciej wojny światowej, sama podróż przebiegła dość gładko; nie było interwencji chińskich sił powietrznych ani innych jawnych działań, które mogłyby zakłócić wizytę. Można oczywiście dyskutować, w jakim stopniu chińskie ćwiczenia wojskowe zmieniły status quo w regionie. Jednak USA i Chiny zdołały uniknąć otwartej konfrontacji wojskowej.

W efekcie Pelosi została ciepło przyjęta przez tajwańskie władze. Podczas wspólnego wywiadu telewizyjnego prezydent Tsai Ing-wen nazwała przewodniczącą Izby „jedną z najbardziej oddanych przyjaciół Tajwanu". Natomiast ze swojej strony amerykańska polityk potwierdziła, że poparcie Stanów Zjednoczonych dla Tajpej jest „żelazne", jednocześnie zapewniając, że polityka USA wobec wyspy nie uległa zmianie. Podczas tej krótkiej wizyty marszałek spotkała się także z ustawodawcami i aktywistami, w tym z jednym z nich, który uciekł z Hongkongu i obecnie osiedlił się na Tajwanie.

POLITYKA JEDNYCH CHIN

Jeśli właściwie nic się nie stało, to czemu świat na kilka dni wstrzymał oddech, wpatrując się w wody Cieśniny Tajwańskiej? Nie ma obecnie bardziej drażliwego tematu dla Pekinu niż niepodległość rządu w Tajpej. Nie od dziś wiadomo, że celem prezydentury Xi Jingpinga jest zjednoczenie wszystkich chińskich ziem i wcielenie ich do ChRL. Już kilkakrotnie zapowiadał on, że nie cofnie się przed działaniami militarnymi, aby osiągnąć to zamierzenie. Z pewnością, gdyby nie obecność amerykańskiej floty na Pacyfiku, inwazja na Tajwan już dawno zakończyłaby się sukcesem. Jednakże dopóki uderzenie na wyspę grozi odwetem amerykańskich rakiet, znajdujących się w bazach Dowództwa Stanów Zjednoczonych na Indo-Pacyfiku, dopóty Pekin jedynie pręży muskuły.

Takim pokazem sił były czterodniowe manewry wojskowe, które nastąpiły w odpowiedzi na wizytę Pelosi w Tajpej. Tajwańskie ministerstwo obrony podało, że wykryto łącznie 66 samolotów i 14 okrętów wojennych prowadzących ćwiczenia morskie i powietrzne. Wyspa odpowiedziała postawieniem swojego wojska w stan gotowości i rozmieszczeniem statków, samolotów oraz innych zasobów w celu monitorowania chińskich obiektów wojskowych, które „symulują ataki na wyspę Tajwan i nasze statki na morzu" – czytamy w komunikacie. Natomiast chiński minister spraw zagranicznych Wang Yi ponownie kilka razy publicznie ogłosił, że Tajwan jest integralną częścią Państwa Środka. Przy czym nie można odmówić Wangowi racji, gdyż obydwie strony konfliktu twierdzą to samo, tylko przyjmują inną interpretację. Zarówno Pekin, jak i Tajpej deklarują koncepcję jednych Chin, traktując przeciwnika jako zbuntowaną prowincję.

Problem Republiki Chińskiej na Tajwanie sięga początku ubiegłego wieku i pozostaje związany z wojną domową, która przetoczyła się przez Chiny. W 1911 r. zniesiono w Chinach cesarstwo i proklamowano powstanie Republiki Chińskiej, a rok później ostatni cesarz Aisin Gioro Puyi został zmuszony do abdykacji. Państwo Środka pogrążyło się w wojnie domowej, która trwała aż do października 1949 r., kiedy ostatecznie władzę zdobyli komuniści z Mao Zedongiem na czele, ogłaszając powstanie ChRL. Rządząca wcześniej i walcząca z komunistami Partia Narodowa (Kuomintang) dowodzona przez Czang Kaj-szeka nie uznała komunistycznych władz i, zmuszona opuścić kontynent, uciekła na pobliską wyspę Tajwan, której rdzennymi mieszkańcami byli Aborygeni, należący do ludności austronezyjskiej (do dziś ich mniejszość liczy 530 tys. osób). Tam Kuomintang nadal uznawał się za partię rządzącą Republiką Chińską, z oficjalną stolicą w Nankinie. Oba państwa nie uznawały wzajemnie swych praw i dążyły do zjednoczenia dwóch terytoriów, początkowo przy użyciu siły.

Zarówno Pekin, jak i Tajpej niezależnie przyjęły politykę jednych Chin, czyli zasadę zakładającą istnienie tylko jednego państwa chińskiego, składającego się z Chin kontynentalnych, Hongkongu, Makau i Tajwanu. W stosunkach międzynarodowych wyklucza ona jednoczesne uznawanie dwóch państw chińskich. W praktyce, po przeniesieniu uznania z jednego państwa na drugie, to pierwsze zrywa stosunki dyplomatyczne z państwem uznającym. Jednakże początkowo to Tajpej, a nie Pekin stanowił głównego partnera politycznego dla państw Zachodu. Do 1971 r. Republika Chińska była jednym z członków założycieli Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jednak rewolucyjna polityka Henry'ego Kissingera oraz jego potajemna wizyta w Pekinie w czasie podróży do Pakistanu doprowadziły do zbliżenia Chin Ludowych z USA na początku lat 70. XX w.

Przełomowy rok 1972 wraz z wizytą prezydenta Richarda Nixona w Pekinie stał się początkiem osłabienia międzynarodowej pozycji politycznej Tajwanu. Stany Zjednoczone i ChRL wydały wspólny komunikat szanghajski, w którym władze ChRL uznały się za jedyne legalne władze chińskie i stwierdziły, że wyzwolenie Tajwanu jest ich wewnętrzną sprawą. USA natomiast „przyjęły do wiadomości", że Chińczycy po obu stronach Cieśniny Tajwańskiej uznają, że istnieją

eprasa.pl a9497fac0a

tylko jedne Chiny, a ich częścią jest Tajwan. Gdy w 1979 r. Stany Zjednoczone oficjalnie nawiązały stosunki dyplomatyczne z Chinami kontynentalnymi, tym samym automatycznie przestały uznawać niepodległość Republiki Chińskiej, co pociągnęło za sobą podobną decyzję innych podmiotów politycznych. Obecnie oficjalnie Tajwan uznawany jest jedynie przez 14 państw.

Obydwa chińskie państwa trwały w bardzo napiętych relacjach aż do 1975 r., kiedy na Tajwanie zmarł prezydent Czang Kaj-szek, a rok później na kontynencie Mao Zedong. Dopiero wtedy nastąpiło stopniowe ocieplenie wzajemnych relacji, które swój szczyt osiągnęły w latach 90., kiedy obie strony powołały dwie nieoficjalne instytucje pozarządowe do prowadzenia wzajemnych rozmów (ARATS w ChRL oraz SEF na Tajwanie). W efekcie w 1992 r. doszło do historycznego spotkania, podczas którego przywódcy obydwu instytucji spotkali się na terenie Hongkongu i zawarli wzajemny konsensus, na którego podstawie obie strony Cieśniny Tajwańskiej uznały istnienie tylko „jednych Chin" złożonych z Chin kontynentalnych oraz Tajwanu, lecz pozostały przy odmiennych interpretacjach tej zasady. Ten konsensus w sposób formalny obowiązuje do dziś.

Istotne jest, że w interesie obydwu stolic pozostaje brak oficjalnego podziału na dwa państwa. Ważne dla zrozumienia sytuacji jest zdanie sobie sprawy, że de facto obydwa podmioty polityczne pragną stworzenia jednych, silnych, zintegrowanych Chin, tylko że żadna ze stron nie chce zgodzić się na warunki zbuntowanego brata. Jak śpiewa popularny tajwański wokalista Da Zhuang: „Nie jesteśmy tacy sami, każdy z nas znajduje się w innej sytuacji, ale jesteśmy tutaj, czekając na siebie nawzajem". Należy zatem uzmysłowić sobie, że elity tajwańskie nie są antychińskie, tylko antykomunistyczne, a większość z nich pozostaje bardzo wielkomocarstwowa.

ZŁAMANIE DOKTRYNY BRZEZIŃSKIEGO

Działania Pelosi pozostają na tyle kontrowersyjne, że stanowią pogwałcenie utrzymywanego przez ostatnie 25 lat status quo, który polegał na oficjalnym dyplomatycznym uścisku rąk ambasadorów amerykańskiego i chińskiego, przy jednoczesnym dokarmianiu tajwańskiego partnera. Choć architektem normalizacji stosunków amerykańsko-chińskich bez wątpienia pozostaje Henry Kissinger, to wykonawcą tego zamierzenia stał się Zbigniew Brzeziński, który założył, że uda się znaleźć sposób na rozwiązanie kwestii relacji USA z Tajwanem, jednocześnie akceptując politykę jednych Chin. Współpraca z Tajpej od tamtej pory była prowadzona w sposób nieformalny – Waszyngton nie utrzymuje oficjalnej amerykańskiej ambasady w tym kraju, a jedynie placówkę kulturalną o nazwie Amerykański Instytut w Tajwanie. Było to możliwe do utrzymania dzięki brakowi oficjalnych spotkań dyplomatycznych na wysokim szczeblu pomiędzy dwoma państwami. Przez lata żaden urzędnik wysokiej rangi nie odwiedził Tajpej, choć oczywiście amerykańskie polityczne i militarne wsparcie dla wyspy pozostawało niezmienne. Pelosi, będąc trzecią osobą w państwie i publicznie ściskając się z prezydent Tajwanu, złamała niejako tę grę pozorów, na co zarówno Waszyngton, jak i Pekin nie do końca wiedzą, jak zareagować.

To nie pierwszy raz, kiedy ta ambitna polityk samodzielnie podejmuje próbę rozdrażnienia chińskiego smoka. Pelosi wielokrotnie w ciągu swojej długiej kariery dokonywała działań mających na celu ukaranie Pekinu za łamanie praw człowieka i nieprzestrzeganie standardów demokratycznych. Jako młodsza kongresmenka zaledwie dwa lata po rozpoczęciu kariery bardzo głośno mówiła o stłumieniu 4 czerwca 1989 r. na placu Tiananmen prodemokratycznych demonstrantów w Pekinie. Nazwała to szokującą „masakrą" i oskarżyła chińskie służby bezpieczeństwa o prowadzenie „tajnych egzekucji". „Prawa człowieka w Chinach nie są sprawą wewnętrzną. Są przedmiotem troski ludzi na całym świecie" – komentowała tamte wydarzenia.

Od tego czasu Pelosi regularnie prowokowała przywódców Pekinu – często spotykała się z dysydentami politycznymi i religijnymi, jak również z Dalajlamą, a traktowanie mniejszości muzułmańskich w regionie Xinjiang określiła mianem „ludobójstwa". Dwa lata po stłumieniu protestów na Tiananmen przyleciała do Chin z dwoma innymi członkami Kongresu na oficjalne zaproszenie. Zirytowała swoich gospodarzy, odwiedzając słynny plac i składając kwiaty pod pomnikiem męczenników z transparentem, na którym było napisane: „Tym, którzy zginęli za demokrację w Chinach". Po tym, jak chińska policja na krótko zatrzymała amerykańskich ustawodawców, powiedziała reporterom: „Od dwóch dni mówi się nam, że w Chinach jest wolność słowa. To nie jest zgodne z tym, co nam powiedziano". Warto dodać, że Pelosi reprezentuje San Francisco, gdzie mieszka duża populacja Chińczyków, która w latach 80. była zdominowana przez osoby, które uciekły z komunistycznych Chin lub miały korzenie na Tajwanie i w Hongkongu.

W ciągu 35 lat kariery politycznej Pelosi konsekwentnie sprzeciwiała się organizacji olimpiady przez Chiny i dążyła do ograniczenia wzajemnej wymiany handlowej. W 2010 r. pojechała do Oslo na wręczenie Pokojowej Nagrody Nobla uwięzionemu chińskiemu dysydentowi Liu Xiaobo. Dodatkowo co roku w Kongresie regularnie zwraca uwagę na incydent z Tiananmen, podkreślając przemoc stosowaną wobec Chińczyków przez Armię Ludowo-Wyzwoleńczą i długie więzienie dysydentów. „Chcemy, żeby wiedzieli, że w Kongresie Stanów Zjednoczonych wiemy o nich, zależy nam na nich" – powiedziała w 2009 r., w 20. rocznicę masakry.

Obecnie 82-letnia Nancy Pelosi, grając trzecie skrzypce w administracji Bidena, swoją oficjalną wizytą na Tajwanie złamała strategię Brzezińskiego, dając sygnał opinii publicznej na całym świecie, że głównym partnerem Stanów Zjednoczonych pozostaje Tajpej. Bez wątpienia prezydent sam nie zdecydowałby się na podobny ruch. Ta wręcz arogancka i bezkompromisowa decyzja z pewnością przyniosła Pelosi międzynarodową sławę oraz umocniła jej pozycję w kraju; postawiła również tajwańskie elity w politycznym szachu, zmuszając je do ponownego proamerykańskiego skrętu. Stany Zjednoczone bowiem potrzebują współpracy z Tajpej w celu utrzymania swojej dominacji na Pacyfiku. Bliskość wyspy stanowi kluczowe zaplecze strategiczne dla prowadzenia jakichkolwiek działań militarnych w regionie. Pytanie jedynie, czy ta wizyta była w rzeczywistym interesie obydwu chińskich braci, którzy chociaż drą ze sobą koty, to obydwaj wiedzą, że kiedyś będą musieli się pogodzić. Czy nie jest tak, że obydwaj coraz bardziej zaczynają zdawać sobie sprawę, iż nie potrzebują nad sobą tej starej amerykańskiej nauczycielki, która próbuje nimi rządzić, przekładając im zabawki z rąk do rąk? W dodatku zabawki z wyraźnie widoczną etykietką „Made in China".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Już za tydzień

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI"

Ministerstwo Edukacji i Nauki

eprasa.pl a9497fac0a

Brudna wojna sprawiedliwa

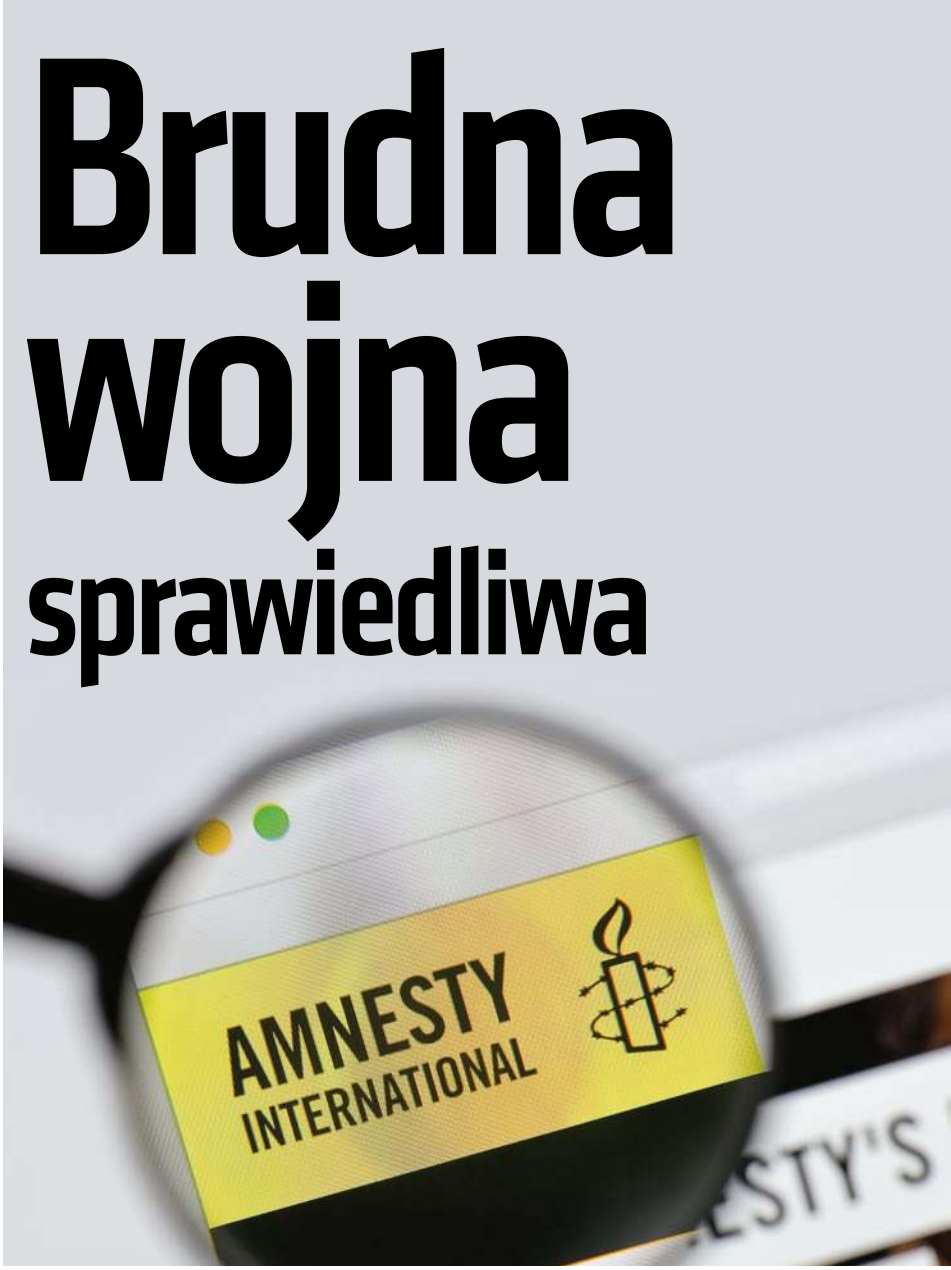

FOT. ADOBE STOCK

Maciej Pieczyński

Według Amnesty International ukraińska taktyka wojskowa stanowi zagrożenie dla ludności cywilnej. Nawet jeśli to prawda, to nie można zapominać, że Kijów prowadzi wojnę sprawiedliwą. A wojna – sprawiedliwa czy nie – musi być brudna i brutalna

Od razu trzeba zaznaczyć, że obiektywizm i wiarygodność Amnesty International stoją pod wielkim znakiem zapytania. Ta międzynarodowa organizacja pozarządowa broni przestrzegania praw człowieka. W przeszłości angażowała się w wiele ważnych akcji przeciwko prześladowaniom, torturom czy zabójstwom politycznym w krajach totalitarnych i autorytarnych. Jednak w ostatnich latach kompromituje się, m.in. nazywając prawem człowieka zabijanie dzieci nienarodzonych. Według AI dostęp do aborcji na życzenie powinien być powszechny. Ponadto po wybuchu kryzysu migracyjnego na granicy Białorusi z Unią Europejską aktywiści organizacji często odgrywali rolę pożytecznych idiotów Łukaszenki, domagając się od Polski czy Litwy przyjęcia współpracujących ze służbami Mińska „uchodźców".

Jeszcze w czasach, gdy wojna na Ukrainie miała charakter hybrydowy, Amnesty International informowała o zbrodniach wojennych po obu stronach frontu. W 2015 r. organizacja przedstawiła „nowe dowody na »zabójstwa o charakterze egzekucji« przeprowadzone przez prorosyjskie grupy zbrojne w Donbasie we wschodniej Ukrainie". Rok wcześniej sekretarz generalny AI wezwał rząd w Kijowie do „powstrzymania nadużyć i zbrodni wojennych popełnianych przez bataliony ochotnicze działające obok ukraińskich sił zbrojnych". Wtedy jednak światowa opinia publiczna nie była tak zdecydowana w moralnej ocenie konfliktu. Wojna toczyła się o region, którego część mieszkańców naprawdę chciała do Rosji. Ale pełnowymiarowa inwazja rozwiązała wątpliwości co do tego, kto w tej wojnie ma rację.

WINNA OFIARA CZY AGRESOR?

Dlatego uderzający w Kijów raport AI wywołał falę oburzenia. Zdaniem lewicowych obrońców praw człowieka „podczas rosyjskiej inwazji wojska ukraińskie naraziły ludność cywilną na niebezpieczeństwo, zakładając bazy wojskowe w zaludnionych obszarach mieszkalnych, takich jak szkoły i szpitale, a także obsługując w tych miejscach systemy broni". Jak zauważa AI, taka taktyka narusza prawo międzynarodowe oraz humanitarne, z którego przestrzegania obrońcy nie są zwolnieni. „Wynikające z tego rosyjskie uderzenia w zaludnione obszary zabiły cywilów i zniszczyły cywilną infrastrukturę" – czytamy w raporcie. Dokument jest wynikiem badań – wywiadów z ocalałymi oraz ze świadkami i z krewnymi ofiar, a także analiz broni przy wykorzystaniu teledetekcji. Zdaniem aktywistów żołnierze, zamiast w obiektach cywilnych, powinni byli stacjonować w bazach wojskowych lub w lasach. Raport nie był konsultowany z ukraińskim oddziałem Amnesty International. Jego szefowa Oksana Pokalczuk nazwała dokument „podarunkiem propagandowym dla Rosji" i zrezygnowała ze stanowiska. Wołodymyr Zełenski oświadczył, że AI próbuje przerzucić odpowiedzialność z agresora na ofiarę. Zarzucił Amnesty International, że „próbuje objąć amnestią państwo terrorystyczne". „Okupanci niejedno-

eprasa.pl a9497fac0a

krotnie świadomie uderzali z artylerii i moździerzy w kolejki ludzi, w autobusy ewakuacyjne, przystanki transportu publicznego. Rosyjska armia nie powstrzymywała się nawet przed atakami na miejsca pamięci ofiar Holokaustu, na cmentarze, obóz z jeńcami wojennymi w Ołeniwce. I z jakiegoś powodu nie ma raportu na ten temat" – komentował prezydent Ukrainy. Jego zdaniem ustalenia AI „sztucznie tworzą taki kontekst informacyjny, że jakieś uderzenia terrorystów są rzekomo usprawiedliwione albo zrozumiałe". Zełenski obarczył wręcz organizację o współodpowiedzialność za rosyjskie zbrodnie. Jednak autorzy raportu podkreślają, że naruszenia strony ukraińskiej „nie usprawiedliwiają bezprawnych ataków wojsk rosyjskich".

Zarzuty Kijowa nie ograniczają się jednak wyłącznie do „kontekstu informacyjnego". Dotyczą również metodologii. Ukraińskie Centrum Komunikacji Strategicznej zarzuciło AI, że w większości raport swój oparła na wypowiedziach osób ewakuowanych na tereny kontrolowane przez Rosjan. Osoby te były więc pod presją okupanta. Krytyka pod adresem Kijowa była dla nich szansą na przejście przez obóz filtracyjny i opuszczenie terenów okupowanych. Ponadto, jak twierdzi Centrum, „materiały […] były sprawdzane także przez administracje instytucji, a w niektórych przypadkach także przez pracowników FSB".

BEZ KOMENTARZA

W raporcie nie znalazł się komentarz ukraińskiego MON. AI wysłała pytania do resortu, ale odpowiedzi się nie doczekała. To jednak nie usprawiedliwia organizacji. W sprawach tak delikatnych jak ta, mając świadomość, jak dokument zostanie wykorzystany przez rosyjską propagandę, aktywiści powinni poczekać z publikacją. Ponadto autorzy raportu wezwali Kijów do ewakuacji ludności cywilnej, którą to ewakuację Kijów… zdążył już zarządzić przed publikacją apelu. Władze ukraińskie nieustannie nawołują mieszkańców do opuszczania zarówno terenów okupowanych, jak i tych, na których toczą się walki. Nie wszyscy się na to godzą, ale to jest już ich problem i ich odpowiedzialność. Celem państwa jest obrona przed najazdem i zachowanie niepodległości oraz – na tyle, na ile to realne – integralności terytorialnej. Nie ma tu miejsca na sentymenty wobec tych, którym brakuje wyobraźni. To oczywiście trudny wybór – opuścić dom rodzinny w imię własnego bezpieczeństwa czy ryzykować i w nim pozostać. Ale państwo nie może się nad tą trudnością rozczulać. Wreszcie oczekiwanie, by oddziały ukraińskie chowały się w bazach wojskowych, czyli tam, gdzie spodziewają się tego Rosjanie, to absurd. Wystawianie na pewną śmierć żołnierzy kraju broniącego się przed inwazją ze strony armii dokonującej masowych zbrodni jest osłabianiem potencjału obronnego i w efekcie może prowadzić tylko do większej liczby ofiar po stronie ludności cywilnej.

Obrońcy praw człowieka zdają się nie rozumieć, że wojna rządzi się innymi prawami niż czasy pokoju. Nie oznacza to zgody na mordowanie jeńców czy cywilów – ale tego Ukraińcom po 24 lutego (wcześniej bywało różnie) AI nie zarzuca. Oznaczać to jednak powinno świadomość faktu, że obrona kraju polega na twardej walce z wrogiem. Nawet proukraińscy eksperci wojskowi, pytani przez media o raport AI, przyznawali, że wiele w nim prawdy, jeśli chodzi o ryzykowną taktykę Kijowa. Nawet zestrzelenie rosyjskiej rakiety może być niebezpieczne, bo jej odłamki spadają na domy cywilów. Jednak gdyby ukraińska obrona przeciwlotnicza wspaniałomyślnie, z pobudek humanitarnych, nie podejmowała tego ryzyka, ostrzał rakietowy zebrałby o wiele bardziej krwawe żniwo. Ustalenia AI, niezależnie od ich rzetelności, należy więc rozpatrywać w szerszym kontekście.

Również ukraińskie organizacje obrony praw człowieka stosują czasem pokojowe standardy do warunków wojennych. Rząd forsuje rozwiązania pozwalające karać Ukraińców, którzy przyjmują rosyjskie paszporty. Centrum Praw Człowieka „Zmina" (ukr. Zmiana) skrytykowało ten pomysł. Zdaniem aktywistów penalizacja w tym wypadku byłaby wymierzona tak naprawdę w ofiary okupacji. Problem w tym, że polityka Moskwy nie jest konsekwentna. Paszportyzacja nie zawsze i nie wszędzie jest przymusowa. Ukraińcy często są namawiani bądź po prostu przekupywani. A to już najzwyklejsza zdrada. Kijów nie może sobie pozwolić na jej akceptację. Mieszkańcy terenów okupowanych muszą mieć świadomość, że za dobrowolną współpracę z wrogiem poniosą karę. Tak jak przedstawiciele kolaboracyjnych władz, na których od czasu do czasu organizowane są zamachy. Nikt przecież w warunkach wojennych nie będzie rozczulał się nad losem człowieka, który otwarcie poparł wroga. Zełenski zapowiedział, że ci spośród mieszkańców terenów okupowanych, którzy będą pomagać w przygotowaniu pseudoreferendum o włączeniu tych ziem do Rosji, „odpowiedzą za to przed Ukrainą". Mer Melitopola Iwan Fedorow wprost zapowiedział „polowanie" na organizatorów głosowania. Czyli fizyczną likwidację tych, którzy współpracują z wrogiem. Karani są również maruderzy. Nieprzychylni Ukrainie internauci swego czasu chętnie rozpowszechniali zdjęcia i filmy, na których widać było ludzi przywiązanych taśmą do słupów telegraficznych, czasem z opuszczonymi spodniami. Taka kara spotykała tych, którzy, korzystając z wojennego zamieszania, okradali sklepy czy domy. Brutalna, barbarzyńska, ale zrozumiała.

„ANTY-BUCZA"

Kremlowska propaganda próbowała wykorzystać przeciwko Ukrainie ataki na bazy wojskowe czy składy paliwa na terenie Rosji. Według informacji SBU Rosjanie ostrzelali też wieś Klimowo w obwodzie briańskim (a więc na własnym terytorium), aby zrzucić winę na Ukrainę. Ciekawy jest też przykład więzienia w Ołeniwce na okupowanych terenach Donbasu. W wyniku wybuchu zginęło tam kilkudziesięciu jeńców z pułku „Azow". Rosjanie od razu ogłosili, że to sami Ukraińcy postanowili zlikwidować niewygodnych neonazistów. Wszystko wskazuje jednak na to, że mordu dokonali sami okupanci, aby wykreować „anty-Buczę" i pokazać ukraińskie zbrodnie.

Jednak prawdziwa Bucza to zbrodnia wojenna Rosjan, nie Ukraińców. Nawet jeśli Kijów narażał cywilów na niebezpieczeństwo, to największym dla nich niebezpieczeństwem jest okupacja rosyjska. Ukraina się broni przed niczym niesprowokowaną inwazją. Rosja atakuje, od pierwszych dni wojny bombardując obiekty zarówno wojskowe, jak i cywilne. Nie ma żadnych wątpliwości, że Ukraina prowadzi wojnę sprawiedliwą. Każda tragedia, która wydarzyła się na froncie rosyjsko-ukraińskim po 24 lutego, jest wyłączną odpowiedzialnością Moskwy. Również każdy zabity Rosjanin i każdy ukraiński cywil, narażony na ryzyko przez własne władze czy też zabity z powodu błędów popełnionych przez Kijów – to wszystko wina agresora, nie ofiary. Niby banał, ale chyba nie dla wszystkich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Czy były prezydent Donald Trump będzie mógł jeszcze walczyć o Biały Dom? FOT. JULIA NIKHINSON/AP/EAST NEWS

FBI u Trumpa

Piotr Włoczyk

Coraz czarniejsze chmury gromadzą się nad Donaldem Trumpem. Czy spełnią się marzenia demokratów i były republikański prezydent rzeczywiście trafi za kratki lub co najmniej zostanie pozbawiony możliwości ubiegania się o drugą kadencję?

Ta sytuacja nie ma precedensu w historii USA. Nigdy jeszcze dom byłego prezydenta nie został przeszukany przez agentów federalnych. „Taki atak mógłby mieć miejsce jedynie w kartonowym państwie Trzeciego Świata. Niestety, Ameryka stała się teraz takim krajem, w którym korupcja wystrzeliła do poziomu nigdy wcześniej niewidzianego" – ogłosił Donald Trump, informując swoich zwolenników o nalocie FBI, który wstrząsnął amerykańską sceną polityczną.

Do przeszukania doszło w ostatni poniedziałek, gdy w słynnej florydzkiej rezydencji Trumpa Mar-a-Lago pojawiło się ok. 40 funkcjonariuszy FBI wraz z dużym vanem, który miał wywieźć stamtąd poszukiwane przez Departament Sprawiedliwości pudła z dokumentami. Zdaniem Trumpa cała sprawa jest jednak całkowicie polityczna i jej jedynym celem jest powstrzymanie go przed ubieganiem się o prezydenturę w 2024 r. Patrząc po reakcjach przedstawicieli elit sympatyzujących z Partią Demokratyczną, pojawienie się w Mar-a-Lago agentów federalnych to jeden z najwspanialszych dni amerykańskiej demokracji. Czołowi przedstawiciele partii obecnie rządzącej Waszyngtonem zupełnie otwarcie, przed wydaniem ostatecznego wyroku w tej sprawie, wyrażają nadzieję, że Trump zostanie w ten sposób pozbawiony w przyszłości możliwości kandydowania.

O co chodzi w całej sprawie? Jak ujawniła prawniczka Trumpa, z nakazu przeszukania, którego kopię zostawili w Mar-a-Lago funkcjonariusze FBI, wynika, że Departament Sprawiedliwości poszukuje rządowych, tajnych dokumentów, które Trump miał wziąć ze sobą po zakończeniu urzędowania w Białym Domu. Oficjalnie FBI i Departament Sprawiedliwości nie skomentowały jeszcze postępowania, którego elementem było przeszukanie rezydencji Trumpa, ale – jak nieoficjalnie przekazały amerykańskim mediom źródła w FBI – faktycznie chodzi o kilkadziesiąt pudeł pełnych dokumentów, których nie mogły się doliczyć Archiwa Narodowe USA, gdzie zawsze trafiają dokumenty opracowane przez ustępującą administrację. Byłaby to dalsza część historii, która zaczęła

eprasa.pl a9497fac0a

się w styczniu tego roku, gdy Trump dobrowolnie przekazał Archiwom Narodowym USA 15 pudeł dokumentów z okresu swojej administracji, które zabrał do Mar-a-Lago. Wiadomo, że był wśród nich m.in. list od Kim Dzong Una. Kilka tygodni później ówczesny dyrektor tej instytucji David Ferriero powiedział przed Kongresem, że pudła zawierały „tajne informacje na temat bezpieczeństwa narodowego".

Biały Dom twierdzi, że o przeszukaniu rezydencji Trumpa dowiedział się z mediów. Nie trzeba być zwolennikiem Trumpa, by sceptycznie podchodzić do takiej informacji. Tak głośną sprawę siłą rzeczy musiał nadzorować sam dyrektor FBI, więc ciężko uwierzyć, że administracja Joe Bidena nie została o tym zawczasu poinformowana.

2024 NA HORYZONCIE

W długim oświadczeniu Trump porównywał przeszukanie przez agentów FBI do afery Watergate i oskarżał „radykalnych lewicowych demokratów" o bezprecedensowy atak na byłego prezydenta. „Oni desperacko nie chcą, żebym wystartował w wyborach prezydenckich w 2024 r., i zrobią wszystko, by zatrzymać też republikanów i konserwatystów w listopadowych wyborach do Kongresu" – grzmiał Trump.

Najbardziej zajadli przeciwnicy 45. prezydenta USA liczą, że jeżeli sąd uzna, że Trump pogwałcił ustawę o prezydenckich archiwach, to mógłby wysłać go do więzienia nawet na kilka lat (maksymalnie grozi za to trzyletnia odsiadka), a także mogłoby mu zostać odebrane bierne prawo wyborcze.

W tej wojnie z Departamentem Sprawiedliwości swojego byłego szefa wsparł Mike Pence, który nie rozstał się z Trumpem w najlepszej atmosferze (prezydent nie mógł mu darować tego, że Pence nie próbował w ostatniej chwili zablokować w Senacie, którego obradom przewodniczył, uznania wyborów za wygrane przez Bidena). Również część republikańskich gubernatorów stanęła w tej sytuacji za Trumpem. Najbardziej znaczącym nazwiskiem jest tu na pewno Ron DeSantis z Florydy, który uznawany jest w Partii Republikańskiej za największego konkurenta Trumpa, jeżeli chodzi o ewentualny start w wyborach prezydenckich w 2024 r.

„Najazd na Mar-a-Lago to kolejny krok eskalacyjny i następny przykład używania agencji federalnych jako narzędzia wobec przeciwników politycznych tego reżimu, i to jeszcze w momencie, gdy Hunter Biden traktowany jest tak pobłażliwie" – napisał na Twitterze DeSantis, nawiązując tym samym do nierozliczonych afer, które ciągną się za synem obecnego prezydenta.

„Ścigali go już jako kandydata, potem jako prezydenta, a dziś jako byłego prezydenta. Wykorzystywanie w ten sposób wymiaru sprawiedliwości jest nieamerykańskie" – grzmiała z kolei na Twitterze gubernator Dakoty Południowej Kristi Noem.

Dużo bardziej powściągliwie zachował się Mitch McConnell, kierujący republikańską mniejszością w Senacie. McConnell wezwał Departament Sprawiedliwości, by wyjaśnił dokładnie Amerykanom, czego chce od byłego prezydenta. Na razie jednak obie instytucje milczą w tej sprawie.

Z jednej strony po lewej stronie słychać głosy zadowolenia, że oto wreszcie wymiar sprawiedliwości bierze się za Trumpa, ale z drugiej strony widać też obawę, czy taka prawna eskalacja nie skończy się przypadkiem wyjątkową mobilizacją republikańskich wyborców i czy w końcowym efekcie nie zaszkodzi demokratom.

Ta sytuacja nie ma precedensu w historii USA. Nigdy jeszcze dom byłego prezydenta nie został przeszukany przez agentów federalnych

„Zdolność Trumpa do wychodzenia z podobnych sytuacji i wręcz korzystania na nich nie ma precedensu. Nawet gdy ujawniano niekorzystne dowody, Trump nie tracił w oczach swojej bazy, choć samo państwo amerykańskie traciło na takich sytuacjach. Trump wciąż nie poniósł żadnych konsekwencji prawnych za swoje czyny dokonane w trakcie pełnienia urzędu" – napisała w komentarzu ewidentnie zaniepokojona redakcja „The Guardian".

KOLEJNY PRECEDENS

To z pewnością nie był udany tydzień z perspektywy Trumpa. W poniedziałek jego rezydencję odwiedziło FBI, a we wtorek Sąd Apelacyjny w Nowym Jorku uznał, że były prezydent musi przekazać komisji Izby Reprezentantów swoje PIT-y z kilku ostatnich lat, przed czym były prezydent od dawna bardzo się wzbraniał. Jakby tego było mało, w środę Trump stanął przed prokurator generalną stanu Nowy Jork, która prowadzi śledztwo w sprawie należącej do niego Trump Organization (zarzuca firmie dokonywanie oszustw). Były prezydent stawił się w siedzibie prokurator generalnej, ale od razu powołał się na piątą poprawkę do konstytucji (dającą prawo do odmowy zeznań, jeżeli mogłyby one zaszkodzić danej osobie). Jego przeciwnicy polityczni mieli dzięki temu ułatwione zadanie, bo były prezydent sam powiedział kiedyś: „Jeżeli jesteś niewinny, to po co powołujesz się na piątką poprawkę?". Trump szybko jednak przeszedł do kontrataku, publikując oświadczenie: „Teraz już znam odpowiedź na to pytanie. Jeżeli twoja rodzina, twoja firma i wszyscy ludzie wokół ciebie stają się celami dla bezpodstawnego, motywowanego politycznie polowania na czarownice prowadzonego przez prawników, prokuratorów i zakłamane media, to nie masz po prostu innego wyboru".

Do listy nowych zarzutów, które przyniósł zeszły tydzień, Trump może dopisać też „aferę klozetową". W Internecie pojawiły się bowiem zdjęcia dwóch zwyczajnie wyglądających toalet (w wąskich kadrach), w których widać niespłukane kawałki papieru. Sprawę nagłośniła Maggie Haberman, reporterka „The New York Timesa", która napisała właśnie książkę na temat Trumpa. Jej zdaniem przedstawiają one tajne notatki, które własnoręcznie podarł Trump i wyrzucił następnie do klozetu. Haberman twierdzi, że zdjęcia dostała od swoich kontaktów w Białym Domu i bez wątpienia przedstawiają one muszle klozetowe, z których korzystał 45. prezydent USA. Według reporterki „NYT" pracownicy Białego Domu wielokrotnie musieli przepychać klozety, z których Trump miał próbować robić niszczarki do dokumentów. Lewa strona amerykańskiej sceny politycznej ochoczo podchwyciła ten temat i np. na antenie CNN na poważnie analizowano zdjęcia obu toalet, załamując ręce nad kondycją amerykańskiej demokracji. Z kolei amerykańska prawica dosyć zgodnie uznała, że „afera klozetowa" to jedna z najbardziej desperackich próba nagłośnienia premiery kolejnej książki o grzechach Trumpa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

ŁUKASZENKA CZEKA NA POLAKÓW

Prezydent Białorusi jest tak przekonany o tym, że jego kraj jest potężny i rozwija się najlepiej na świecie, iż chce też innym dać możliwość uczestniczenia w tym raju. Dlatego zapowiedział, że wprowadzona zostanie niebawem uproszczona procedura uzyskiwania obywatelstwa w jego kraju dla Polaków, Litwinów i Łotyszów. Dla Polaków wprowadza wjazd bezwizowy. Łukaszenka powiedział, że zaprasza każdego, kto „chce żyć i pracować po białorusku".

FOT. PRESIDENT.GOV.BY

NIEMCY MYŚLĄ O MASECZKACH

Za Odrą szykują się na prognozowany wzrost zakażeń koronawirusem. W związku z tym niemiecki rząd ma już gotowy projekt specjalnej ustawy. „Spiegel" ujawnił, że zawiera on m.in. nakaz noszenia maseczek. Ma on obowiązywać u naszego zachodniego sąsiada od 1 października do 7 kwietnia 2023 r. Maseczki trzeba będzie zakładać w transporcie publicznym, w szkołach, świetlicach, a także w barach i restauracjach.

ZAWSTYDZAJĄCA PROMOCJA

Sieć brytyjskich supermarketów ASDA postanowiła wypuścić na rynek tańszy asortyment spożywczy. Gama produktów Just Essentials (m.in. mięso, ryby, drób czy wypieki) pakowana jest w wyróżniające się żółte opakowania. No i jest problem. Klienci piszą skargi do brytyjskiej prasy. Według nich opakowania są tak charakterystyczne, że od razu widać, iż ktoś kupuje tańsze rzeczy, więc widać, że „jest biedny". Rzecznik sieci odpowiedział, że nie rozumie, dlaczego ktoś miałby się wstydzić oszczędzania pieniędzy.

ŻÓŁW SPARALIŻOWAŁ LONDYN

Ważący 50 kg żółw afrykański przechadzał się po torach kolejowych w pobliżu londyńskiego lotniska Stansted. Został potrącony przez pociąg w pobliżu przystanku Harling Road. Po zwierzę – które przeżyło i odniosło tylko niewielkie obrażenia – przyjechać musieli specjaliści. To sparaliżowało ruch pociągów w pobliżu Londynu na blisko dwie godziny. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Przyczajony Trump, ukryty Joe

Poniedziałek był smutnym dniem dla demokracji w USA. Tego dnia ok. 30 agentów FBI wtargnęło do rezydencji byłego prezydenta.

Ocena tego wydarzenia, niezależnie od tego, czy jest się zwolennikiem czy przeciwnikiem Donalda Trumpa, musi być negatywna. Używanie rządowych służb specjalnych w celach brudnej walki politycznej jest bowiem typowe dla autokracji, dyktatur etc. W demokracji nie powinno mieć miejsca, o czym świadczy fakt, że przeszukiwanie u Trumpa było pierwszym tego typu przypadkiem w historii Ameryki.

Informacje Białego Domu mówiące o tym, że prezydent o całej akcji dowiedział się z mediów brzmią jeszcze mniej wiarygodnie niż zapewnienia, że Joe Biden jest w dobrej formie psychofizycznej. Polityczny cel przeszukania przez agentów FBI, a także innych akcji podjętych przez służby (w tym podatkowe) przeciwko byłemu prezydentowi jest oczywisty: skazać Trumpa za cokolwiek, by pozbawić go biernego prawa wyborczego i uniemożliwić walkę o Biały Dom.

Na pierwszy rzut oka to próba z góry skazana na klęskę. Im bardziej Trump jest bowiem atakowany, tym więcej ma zwolenników, również wśród partyjnych elit. Z drugiej strony akurat Trump w 2024 r. wcale nie musi wygrać z kandydatem/kandydatką Partii Demokratycznej. Historia zna bowiem tylko jeden przypadek prezydenta USA, który po przegranej walce o reelekcję zdobył urząd jeszcze raz. Był to Grover Cleveland (urzędujący w latach 1885–1889 i 1893– 1897). Wiedzą to świetnie partyjni stratedzy, wie też sam Donald Trump, który nie ogłosił jeszcze oficjalnie decyzji o kandydowaniu.

Polityka to brutalna gra, to jasne. Szef FBI za polityczne dziwkarstwo powinien dostać jednak dożywotni zakaz pełnienia funkcji publicznych.

eprasa.pl a9497fac0a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

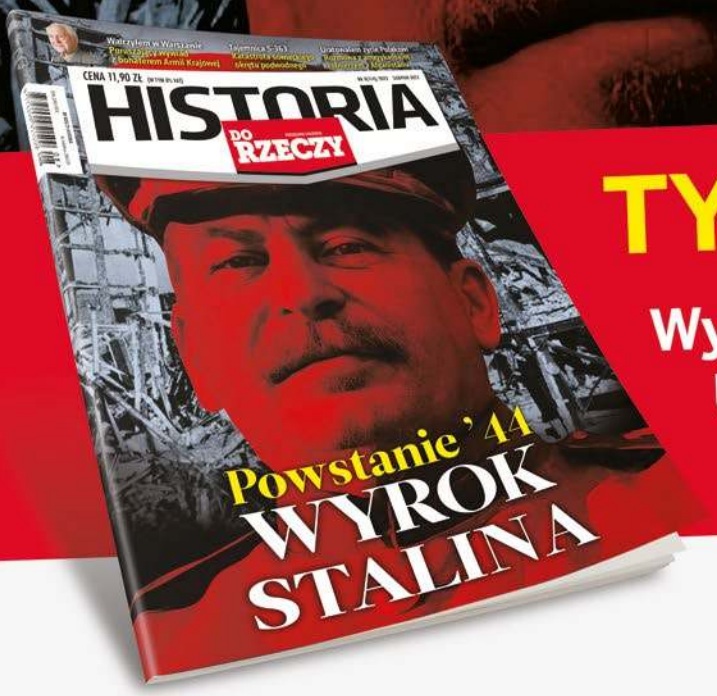

TYLKO U NAS!

Wywiad z żołnierzem US Army, który uratował Polaka w Afganistanie!

Mikołaj Iwanow – **Zbrodnia Stalina '44**
Zbigniew S. Siemaszko – **Operacja „Berling"**
Maciej Rosalak – **Jak powstańcy zdobywali czołgi**
Zbigniew Rylski – **Walczyłem w Warszawie**
Jakub Ostromęcki – **Tajemnica okrętu podwodnego S-363**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Odbrązowić Piłsudskiego!**
Sławomir Koper – **Koniec świata Niemców bałtyckich**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a9497fac0a

FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

Tusk jako gorliwy socjalista

Łukasz Warzecha

Co oznacza obecny głęboki zwrot Platformy w lewo? Czy Donald Tusk faktycznie chce zacząć eksperymentować z rozwiązaniami z katalogu Partii Razem? Czy to może jedynie manewr taktyczny, który ma służyć zaatakowaniu Lewicy z jednej strony, a odebraniu motywacji wyborcom PiS z drugiej?

Gdyby postawić obok siebie Tuska z roku 2007 czy 2008 oraz obecnego, ten pierwszy po krótkiej wymianie zdań z tym drugim musiałby dojść do wniosku, że ma do czynienia z jakimś podstawionym sobowtórem faktycznie pracującym dla PiS. Z dawnego Tuska, który przynajmniej na poziomie retorycznym był czempionem liberalizmu, niewiele dzisiaj zostało. Przeciwnie – można odnieść wrażenie, że lider Platformy Obywatelskiej idzie w zawody z Jarosławem Kaczyński, gdy chodzi o socjalną stronę swojej politycznej oferty.

Jeszcze w 2007 r. ówczesny świeżo upieczony premier zapowiadał z sejmowej mównicy, że osobiście wyrzuci z rządu każdego, kto wspomni o podwyżce podatków. Później powinien był wyrzucić właściwie sam siebie, bo to rząd Platformy zaczął wymyślać nowe opłaty i podnosić podatki, tłumacząc się światowym kryzysem. O tym momencie swojej politycznej kariery Tusk zresztą stara się nie wspominać. Aczkolwiek i tak PO pozostawała pod tym względem w tyle wobec obecnej władzy.

Przeskakujemy o 15 lat naprzód i widzimy Tuska, który kaja się za podniesienie wieku emerytalnego – co akurat było jedną z jego względnie sensownych decyzji – a „500+" uważa za świętość. Żeby tylko to, ale zwrot jest w zasadzie o 180 stopni.

EKONOMIA, CZYLI „GŁUPOTY"

Poseł PO Tomasz Lenz stwierdził w TVP Info: „Zastanówmy się, czy okresowo nie ograniczyć wypływu pieniądza na rynek. Czyli może jednak zawiesić »czternastkę«, »piętnastkę«. […] Jeżeli obiecujemy »czternastkę«, »piętnastkę«, ludzie te pieniądze otrzymują, biegną do sklepu, te pieniądze wydają i znowu nakręcają inflację". Lenz nie powiedział niczego odkrywczego ani kontrowersyjnego: spadek siły nabywczej pieniądza (bo na tym polega inflacja) jest ściśle powiązany z napływem pieniądza na rynek. Przyznaje to już nawet sam Jarosław Kaczyński, zarazem stwierdzając jednak, że PiS nie może przestać ludziom rozdawać pieniędzy, nawet jeżeli napędza to inflację. Ba, Lenz nie postawił nawet sprawy na ostrzu noża. Mówił w trybie warunkowym i nie wspominał o skasowaniu tych dodatkowych przecież świadczeń (koszt samej 14. emerytury to 12 mld zł rocznie), a jedynie o ich zawieszeniu.

Reakcja Donalda Tuska była jednak natychmiastowa: oznajmił, że Lenz nie prezentuje w tej sprawie stanowiska PO. I dodał: „Gwarantuję, jeśli wygramy wybory, nie tylko utrzymane będą »500+«, »trzynastka«, »czternastka«, ale będą też bezpieczne, bo inflacja nie będzie zżerała ich wartości z miesiąca na miesiąc. […] Skoro poseł Tomasz Lenz tego nie akceptuje albo nie rozumie, to nie będzie się już wypowiadał w mediach w imieniu Platformy i w przyszłej kadencji nie będzie reprezentował Platformy w Sejmie". Przewodniczący klubu PO Borys Budka

eprasa.pl a9497fac0a

dodawał zaś: „Jeżeli się mówi głupoty, jeśli się mówi rzeczy, które nie przystoją, nie chodzi się do mediów, to jest oczywista oczywistość". Przypominam: wszystko to jest komentarzem do oczywistego stwierdzenia posła Lenza, że ograniczenie inflacji wymaga ograniczenia napływu pieniędzy na rynek. Ten oczywisty dla każdego ekonomisty mechanizm Borys Budka określił jako „głupoty".

Jak w takim razie Donald Tusk zamierza ograniczyć inflację, tak aby świadczenia socjalne stworzone przez PiS były „bezpieczne"? O tym mogliśmy posłuchać m.in. podczas konwencji Platformy w Radomiu na początku lipca.

„Z drożyzną można walczyć" – opowiadał wtedy przewodniczący PO – są tylko dwa warunki. Trzeba mieć elementarne kompetencje i elementarną przyzwoitość. I wtedy można skutecznie walczyć z drożyzną". Walka z inflacją za pomocą „elementarnej przyzwoitości" to nowatorska metoda. Tego nie proponował nawet Piketty i jest to autorski wkład Donalda Tuska w ekonomię. Lecz to nie koniec.

„Skończy się PiS, skończy się drożyzna!" – oznajmiał Donald Tusk, niestety nie precyzując, w jaki sposób jedno powiązane jest z drugim, skoro on sam jako potencjalny następca chce z inflacją walczyć przyzwoitością, a nie zabieraniem pieniędzy z rynku czy podnoszeniem stóp procentowych. Następnie zaś wywodził, że Adam Glapiński nielegalnie zajmuje stanowisko prezesa NBP i natychmiast po przejęciu władzy przez największą partię opozycyjną zostanie z Narodowego Banku Polskiego „wyprowadzony". To także ma pomóc w walce z inflacją. I znów – nie bardzo wiadomo, w jaki sposób, bo przecież czasu nie da się cofnąć.

Można się zgodzić, że RPP zareagowała zbyt późno na narastającą inflację i za późno rozpoczęła podnoszenie stóp procentowych. Lecz, po pierwsze, RPP to nie sam Glapiński, choć z urzędu radzie przewodniczy, lecz także dziewięciu innych członków, powoływanych przez prezydenta, Sejm oraz Senat, gdzie większość ma teraz opozycja. Po drugie – to się już stało, inflacja się już rozpędziła i teraz pozostaje jedynie pytanie, jak bardzo rada podniesie jeszcze stopy procentowe, co ma przecież także swoje negatywne konsekwencje. Skoro Tusk oznajmia, że Adama Glapińskiego z NBP wyrzuci, to można spytać, co zrobi prezes, którego chciałby tam zainstalować. Jeżeli to w ogóle mu się uda, bo przecież prezesa NBP powołuje Sejm na wniosek prezydenta RP, a tę funkcję Andrzej Duda będzie sprawował do 2025 r. Załóżmy jednak, że na czele NBP staje ktoś bliski Tuskowi. I co? Inflacja się przestraszy i spadnie? Czy taki ktoś będzie naciskał na NBP, aby stopy dalej podwyższać? Co wtedy powie Tusk kredytobiorcom, o których sytuacji także wypowiadał się z tak dojmującym współczuciem? Czy też stóp już nie ruszy, dając możliwość dalszego rozwoju inflacji? Na te pytania Tusk w ogóle nie odpowiada.

LEWICOWE FETYSZE

Oprócz zaakceptowania wszelkich socjalnych przywilejów, utworzonych przez PiS, Tusk posuwa się znacznie dalej, kopiując już wprost radykalnie lewicowe postulaty. Tak było, gdy na spotkaniu z młodymi ludźmi w Szczecinie przedstawiał pomysł rozpoczęcia pilotażu czterodniowego tygodnia pracy. Pilotaż teoretycznie nie oznacza wprowadzenia pomysłu w życie, a jedynie jego przetestowanie, ale przecież testowanie odbywa się wówczas, gdy jakiś pomysł wstępnie uznaje się za sensowny.

Ten sensowny nie jest w najmniejszym stopniu, za to – podobnie jak dochód gwarantowany – jest jednym z lewicowych fetyszy. „To jest niebywała populistyczna brednia, która oznaczałaby z jednej strony ograniczenie produkcji, a z drugiej podbicie inflacji, czyli spotęgowanie stagflacji w sytuacji, w której Polsce i tak ona grozi. To byłoby dolewanie benzyny do ognia" – skomentował wynurzenia Tuska prof. Leszek Balcerowicz. Tuskowy czterodniowy tydzień pracy nie tylko byłby jednak przyczyną ograniczenia produkcji czy wzrostu inflacji, lecz także stanowiłby gigantyczne wyzwanie finansowe dla przedsiębiorców. Aby takie rozwiązanie wprowadzić, trzeba by zmienić podstawowy wymiar czasu pracy w Kodeksie pracy, a to z kolei oznacza, że praca powyżej czterech dni wymagałaby od przedsiębiorcy opłacenia pracownikowi ogromnej liczby nadgodzin. Trudno zaś sobie wyobrazić, aby z przynajmniej pięciu dni pracy dało się zrezygnować, chcąc utrzymać podobną wydajność jak obecnie. Inaczej mówiąc – czterodniowy tydzień pracy byłby dla polskich firm zabójczo kosztowny. W zapowiedziach Tuska nic się więc nie spina, a słowo „populizm" pasuje do nich idealnie.

MANEWR TAKTYCZNY?

To wszystko jednak to tylko warstwa retoryczna i coś w stylu programu. W stylu – bo opowieści na takim poziomie ogólności trudno za program sensu stricto w ogóle uznać. Podczas prawie dwóch kadencji swoich rządów Donald Tusk nie dał się poznać jako czempion wolnego rynku – raczej jako w dużej mierze bierny administrator systemu, niespecjalnie dbający o zapewnienie przedsiębiorcom – czy w ogóle obywatelom – wolności i swobody działania, o której tak pięknie opowiadał w 2007 r. Owszem, była to różnica względem obecnej władzy, która postawiła na głęboki etatyzm, paternalizm i otwarcie wysławia państwo jako najlepszego przedsiębiorcę oraz pracodawcę. Z liberalnego punktu widzenia Tuskowa bierność była nieco lepszym rozwiązaniem.

Pytanie brzmi: Co oznacza obecny głęboki zwrot Platformy w lewo? Czy faktycznie Tusk chce zacząć eksperymentować z rozwiązaniami z katalogu Partii Razem? Czy to może jedynie manewr taktyczny, który ma służyć zaatakowaniu Lewicy z jednej strony, a odebraniu motywacji wyborcom PiS z drugiej? To ostatnie wydaje się szczególnie prawdopodobne i może być trafną kalkulacją. Prawdopodobnie Tusk oczekuje, że wielu wyborców partii rządzącej jest już na tyle zniechęconych, że co prawda swoich głosów nie przerzucą na inne ugrupowanie, ale bardzo poważnie rozważają niegłosowanie w najbliższych wyborach. Mogłaby na to wskazywać regularnie pojawiająca się w sondażach spora grupa niezdecydowanych. W tej sytuacji uspokojenie roszczeniowo i wciąż prosocjalnie nastawionego elektoratu poprzez przejęcie etatystycznej retoryki może skłonić sympatyków PiS do pozostania w domach. Skoro ewentualni następcy niczego nie zabiorą, lecz może coś się zmieni w innych irytujących kwestiach, to po co ponownie dawać głos zużytej władzy?

Jeżeli jednak Tusk planuje powtórzyć swój sposób działania z pierwszego okresu rządów, czyli zamierza po prostu zachować bierność i niczego specjalnie nie zmieniać – to byłaby najbardziej dla niego typowa postawa – to będzie to oznaczało pozostawienie wszystkich mechanizmów, które są współwinne galopującej inflacji i lawinowo rosnącym wydatkom, a więc i zadłużeniu państwa. Przyzwoitość nie wystarczy do zmiany tego stanu rzeczy. Inna sprawa, że nawet i przyzwoitości najpewniej nie będzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

Z Wojciechem Jakóbikiem, analitykiem sektora energetycznego, redaktorem naczelnym BiznesAlert.pl
rozmawia Tomasz Cukiernik

Będziemy mieli zimno w domach

TOMASZ CUKIERNIK: Czy zimą wystarczy ciepłowniom, elektrociepłowniom i gospodarstwom domowym węgla do ogrzewania?

WOJCIECH JAKÓBIK: Rynek jest zasobny w węgiel, więc nie zabraknie go pod warunkiem przezwyciężenia wąskich gardeł infrastruktury w portach oraz na kolei. Przyda się współpraca z sąsiadami, na czele z Niemcami, by skuteczniej używać wspólnej infrastruktury europejskiej, by zmaksymalizować dostawy węgla spoza Rosji. Cena może być wysoka ze względu na rosnące zapotrzebowanie w sezonie grzewczym.

Jak poważny jest problem tych wąskich gardeł? Według szacunków Izby Gospodarczej Sprzedawców Polskiego Węgla właśnie z ich powodu zabraknie w Polsce od 9 do 11 mln ton węgla.

Zagrożenie jest realne. Trudno wróżyć z fusów. Należy natomiast do niezbędnego minimum ograniczyć pobór, żeby przygotować się na najgorszy scenariusz, i tak rozumiem ograniczenia zużycia węgla w elektrociepłowniach w Polsce. Narzucony jest plan zmniejszenia temperatury w systemach ciepłowniczych o kilka stopni po to, aby utrzymać ogrzewanie w podpiętych gospodarstwach domowych, ale na niższym poziomie.

Czy rządowy program dopłacania do węgla to dobre rozwiązanie?

Dopłaty do trzech ton węgla to rozwiązanie doraźne, które nie usuwa źródeł problemu. To kolejny element polityki społecznej, która będzie prawdopodobnie intensyfikowana wraz z pogłębianiem się kryzysu energetycznego. Rozwiązanie długofalowe to wymiana źródeł ogrzewania i termomodernizacja możliwa dzięki kolejnym programom rządowym oraz unijnym.

Czy należy się spodziewać braków gazu?

Skrajny scenariusz całkowitego odcięcia Europy od gazu z Rosji zakłada niedobory gazu na kontynencie. W najgorszym wypadku Polska także będzie musiała ograniczyć pobór gazu w przemyśle, chroniąc dostawy do gospodarstw domowych. Jednak nawet niedobory poza Polską podniosą cenę na rynku, a więc i koszty ponoszone przez Polaków. Jesteśmy w systemie naczyń połączonych i dlatego należy sobie pomagać w zgodzie z przepisami europejskimi. Można sobie wyobrazić, że polskie LNG dociera także do Niemiec z pożytkiem dla wszystkich oraz przy zastrzeżeniu ochrony odbiorców wrażliwych w zgodzie z rozporządzeniem unijnym SOS.

Z gazem jest taki problem, że nawet gdy w terminie ruszy Baltic Pipe, to może na rynku zwyczajnie zabraknąć norweskiego surowca. Jak pan to widzi?

Autostrada do dostaw gazu norweskiego będzie dostępna. Pozwoli sprowadzić nawet 10 mld m sześc. gazu rocznie, natomiast należy zapewnić na niej ruch. To już zależy od poziomu wydobycia gazu z koncesji PGNiG w Norwegii, które może zbliżyć się do 4 mld m sześc., dostaw z kontraktów, które już zostały zawarte na ok. 2 mld m sześc., a resztę trzeba jeszcze dokontraktować. Niestety, dotychczas się to nie stało. Wyzwaniem nie będzie dostępność gazu, który prawdopodobnie tam się pojawi, ale cena, ponieważ ten gaz będziemy kupować na górce.

Ciepłownie informują, że ceny ciepła sieciowego wzrosną od kilkudziesięciu do nawet kilkuset procent. Komu najbardziej wzrosną koszty ogrzewania najbliższej zimy: tym, którzy ogrzewają mieszkania ciepłem sieciowym, węglem, gazem, olejem opałowym, czy tym, którzy robią to za pomocą energii elektrycznej?

Ciepło sieciowe regulowane taryfą będzie najtańsze. Taryfy będą rosły o kilkadziesiąt procent, choć na giełdach surowców notowane są wzrosty kilkusetprocentowe. Należy się spodziewać pojawienia kolejnych mechanizmów ochrony klientów przed drożyzną z reglamentacją z jednej strony i ceną regulowaną z drugiej, w tym ceną maksymalną wprowadzoną w niektórych krajach unijnych.

Czy wysokie ceny energii, gazu i ciepła nie uderzą za bardzo w przedsiębiorców, którzy nie są w żaden sposób chronieni przed drożyzną? Polskie cementownie już mówią, że z braku węgla i jego wysokich cen będą zamykać produkcję.

Kryzys energetyczny już teraz podkopuje rentowność polskiej gospodarki. Sytuacja może ulec pogorszeniu. Ponadto pojawiają się kolejne mechanizmy pomocowe na poziomie krajowym i unijnym i jest możliwość, że zapisy prawa pomocy publicznej dopuszczą tę pomoc także przedsiębiorcom. Na razie nie jest to możliwe, dlatego przedsiębiorcy otrzymują wysokie ceny energii i gazu, nie mogąc liczyć na ochronę taryfową, jak np. gospodarstwa domowe. Należy się liczyć z tym, że kryzys energetyczny uprawdopodobni jeszcze bardziej recesję, która jest zapowiadana przez ekonomistów.

Ceny energii elektrycznej biją rekordy. Wkrótce problemem może się jednak okazać nie cena, a braki energii. Czy i kiedy należy się spodziewać racjonowania energii i pierwszych blackoutów w Polsce?

Należy oszczędzać energię już teraz w zgodzie z zaleceniami Międzynarodowej Agencji Energii, Komisji Europejskiej i Urzędu Regulacji Energetyki. Polska za wolno budowała nowe elektrownie wszelkiego rodzaju i już teraz coraz bardziej widoczna jest luka wytwórcza.

eprasa.pl a9497fac0a

Różne zjawiska losowe wyłączają z sieci istniejące bloki, a nowe pojawiają się za wolno. Pomogą ograniczenie poboru energii z jednej strony, utrzymanie w dobrej kondycji istniejących elektrowni i budowa nowych z drugiej.

Budowę jakich nowych elektrowni ma pan na myśli?

Należy utrzymać przy życiu te elektrownie węglowe, które da się zmodernizować – stare bloki typu 200 MW. Ponadto należy budować nowe źródła odnawialne: fotowoltaika, lądowa czy morska energetyka wiatrowa, a w latach 30. w końcu uruchomić pierwszy reaktor elektrowni jądrowej w Polsce i budować kolejne. Nie ma lepszego rozwiązania. Należy wywiązać się z deklaracji, które były wielokrotnie składane.

Jednak nadal 70 proc. energii w Polsce generuje energetyka węglowa, a od 2025 r. będziemy mieli unijny zakaz publicznego wsparcia dla elektrowni węglowych. Również inne unijne regulacje uderzają w całą energetykę węglową, podnosząc jej koszty. Czy więc nie okaże się, że będzie problem z energią elektryczną?

Atak Rosji na Ukrainę spowodował, że Komisja Europejska dała taryfę ulgową węglowi. Oficjele unijni przyznają, że państwa członkowskie dłużej zostaną przy paliwach kopalnych, żeby nie uzależniać się od gazu rosyjskiego, a potem przejść ku OZE zabezpieczonym np. przez energetykę jądrową. Te deklaracje zostaną przekute na konkretną rewizję przepisów. Widać już takie sygnały.

Jest jeszcze drugi problem z energetyką węglową pochodzący z Brukseli. Od 2025 r. będzie trzeba zamknąć większość górnośląskich kopalni węgla kamiennego, ponieważ ma zostać wprowadzony unijny zakaz emisji metanu do atmosfery.

Jest za wcześnie, by przesądzać o regulacjach dotyczących emisji metanu. Sprawa jest w toku. Mogą one przybrać różny kształt. Pakiet „Fit for 55" zawiera wiele dyrektyw, w tym te odnoszące się do emisji metanu, i miał być przedmiotem dyskusji aż do 2024 r. Atak Rosji na Ukrainę i kryzys energetyczny mogą sprawić, że te rozmowy potrwają jeszcze dłużej, a najbardziej radykalne rozwiązania, czyli te sekujące węgiel i metan, mogą w ogóle nie zostać przyjęte. Natomiast energetyka węglowa w latach 20. będzie niezbędna do utrzymania bezpieczeństwa energetycznego Polski i kilku innych krajów. Dlatego też wydobycie węgla będzie się odbywać. Być może nawet tymczasowo wzrośnie wydobycie węgla w Polsce.

Kryzys energetyczny już teraz podkopuje rentowność polskiej gospodarki. Sytuacja może ulec pogorszeniu

Jaki jest aktualnie wpływ konieczności kupowania uprawnień do emisji CO_2 na koszt wytworzenia energii elektrycznej i ciepła?

Cena uprawnień do emisji CO_2 ma wkład w wysokość rachunku za energię, ale jest on przeceniany. Główne źródło drożyzny to ograniczona podaż gazu, kryzys energetyczny podsycany przez Gazprom, bo cena energii na giełdzie w Europie jest sprzężona z wartością gazu ze względu na jego znaczenie w energetyce zachodnioeuropejskiej.

Czy uratuje nas zmiana unijnej taksonomii, zgodnie z którą dopuszcza się energię z gazu i jądrową?

Gaz i atom w taksonomii pozwolą budować elektrownie jądrowe i dywersyfikować źródła dostaw gazu tak, by uniezależnić się dzięki tym dwóm źródłom od Rosji oraz paliw kopalnych w ogóle. Zostały one uznane za służące transformacji energetycznej, bo zabezpieczają rozwój OZE. Efekt tych inwestycji będzie widoczny dopiero po latach, krótkoterminowo nie.

W jakim stopniu za kryzys energetyczny odpowiadają UE i jej polityka energetyczno-klimatyczna, w jakim polskie władze, które likwidują kopalnie, a w jakim sankcje nałożone na Rosję?

Kryzys energetyczny wynika z wielu czynników, wśród których można wymienić źle zaplanowaną transformację energetyczną, która uzależniła Europę od gazu rosyjskiego, nieudane reformy energetyki węglowej w Polsce – z jednej strony zamykaliśmy kopalnie, a z drugiej strony nie inwestowaliśmy w te, które rokują. Do tego należy dodać atak Rosji na Ukrainę, który wywindował surowce do rekordowych poziomów, a przez zależność Europy od Rosji dał Gazpromowi narzędzia wpływania na eskalację tego kryzysu, odczuwalną w portfelach każdego Europejczyka. To wszystko razem skłania do refleksji na temat szlaku transformacji energetycznej w Europie. Musi być bezpieczna, a zatem krótkoterminowo niezbędna będzie taryfa ulgowa dla paliw kopalnych po to, żeby jak najszybciej uniezależnić się od gazu rosyjskiego. Długoterminowo nie zmienia się cel, natomiast trochę zmieni się szlak. Nadal nie możemy postawić w 100 proc. na OZE bez zabezpieczenia w postaci energetyki jądrowej lub magazynów energii.

Kiedy w Polsce w końcu ruszy budowa pierwszych reaktorów atomowych?

Zaniedbanie energetyki jądrowej to plama na honorze polityki energetycznej Polski. Wszyscy o niej rozmawiają, a nikt nie zaczął budować. Oby sytuacja uległa zmianie w 2022 r., na kiedy zapowiadany jest wybór technologii oraz modelu finansowania polskiego atomu tak, aby budowa ruszyła w 2026 r. Energetyka jądrowa daje stabilne dostawy energii bez emisji CO_2. Jedynym wyzwaniem jest tempo budowy reaktorów, które wynosi ok. dekady. Odpowiedzią mogą być małe reaktory jądrowe, które punktowo będą uniezależniać przemysł od dostaw energii z innych źródeł. OZE zabezpieczone atomem lub magazynami energii może dawać szybką obniżkę rachunków za energię. Może decydować o konkurencyjności przemysłu.

Na razie magazyny energii nie istnieją...

Obecnie nie ma wielkoskalowych magazynów energii, dlatego należy wykorzystywać energetykę jądrową. Rozwój technologii sugeruje, że na pewnym etapie będzie można zabezpieczać OZE także z użyciem magazynów energii, ale na razie planowanie strategiczne nie może uwzględnić jeszcze tej technologii.

Co rządzący powinni zrobić, aby Polacy przetrwali najbliższą zimę bez nadmiernych strat finansowych?

Nie obędzie się bez różnych form pomocy publicznej. Nie da się jednak w całości zniwelować skutków kryzysu energetycznego ani nadchodzącej recesji. Mieliśmy wiele lat relatywnie tłustych, choć oczywiście nie każdy je poczuł, a teraz czekają nas lata chude, które odczują wszyscy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

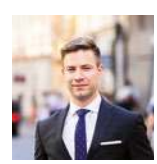

Wojciech Jakóbik – analityk sektora energetycznego, redaktor naczelny BiznesAlert.pl.

eprasa.pl a9497fac0a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

PIT „zero" dla wszystkich!

Czy można sobie wyobrazić gorszy system podatkowy niż obowiązujący dziś w Polsce? Dziś, czyli po zainfekowaniu go wirusem chaosu, już nawet przez jego twórców nienazywanym Polskim Ładem? Tym bardziej że – idę o zakład – w 2022 r. nasz system podatkowy, po niekończących się „poprawkach", zostanie sklasyfikowany jako najgorszy wśród wszystkich 37 państw OECD, skoro już w 2021 r. – w wersji sprzed tzw. Polskiego Ładu – sklasyfikowany został na miejscu przedostatnim.

A zatem, wracając do pytania: Czy można sobie wyobrazić gorszy system podatkowy niż obowiązujący dziś w Polsce? Otóż doświadczenie uczy, że niestety można. Dlatego z nadzieją wyglądam każdej propozycji naprawy naszego beznadziejnego, dobitego przez tzw. Polski Ład systemu podatkowego, którego zwykły podatnik nawet z pomocą księgowego nie jest już w stanie zrozumieć.

Jak wiadomo, główne partie obecnej opozycji – przedstawiając to jako lek na całe zło tzw. Polskiego Ładu, który zaordynują Polakom po przejęciu władzy – zaczęły w swoim czasie lansować koncepcję w istocie nie nową, bo już kilka lat temu opracowaną przez ekonomistów prof. Pawła Wojciechowskiego (w 2006 r. ministra finansów w rządzie PiS) i dr. Sławomira Dudka; koncepcję, której w 2016 r. przyglądał się, a nawet rozważał jej wprowadzenie rząd premier Szydło i wicepremiera Morawieckiego, kiedy ten jeszcze deklarował się jako zwolennik prostych podatków.

Koncepcja ta – zwana jednolitą daniną – sprowadza się do uproszczenia systemu podatkowego przez ujednolicenie stawek wszystkich form zatrudnienia. Składki do ZUS i NFZ zostałyby połączone z podatkiem PIT właśnie w jedną jednolitą daninę, zlikwidowano by większość ulg, stopa wolna od podatku byłaby degresywna, obowiązywałoby aż siedem progów podatkowych. A sam system, na którym stracić miałoby podobno „tylko" 2–3 proc. najbogatszych – jak zapewniają jego twórcy, jak to twórcy mają w zwyczaju – byłby prosty, dużo tańszy od obecnego i neutralny dla budżetu państwa.

A jednak – uważam – po chaosie tzw. Polskiego Ładu zamiast silić się na kolejne pomysły jednolitych danin, należy tę antyrozwojową daninę, jaką jest podatek od dochodów osobistych (PIT), po prostu zlikwidować. Czyli pójść drogą, którą wskazuje Konfederacja – drogą zrównania – nareszcie, po 30 latach! – mieszkańców miast z mieszkańcami wsi, którzy podatku dochodowego PIT w III RP nigdy nie płacili. I teraz, szykując tę zmianę, skoncentrować się na znalezieniu sposobu załatania dziury, która powstałaby w budżecie państwa po obniżeniu obciążeń podatkowych. A po niedawnym podniesieniu kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł i obniżeniu pierwszej stawki PIT do 12 proc. będzie to „o kilkanaście miliardów złotych rocznie" łatwiejsze. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Gazu też nie będzie

To już nie są ostrzegawcze dzwonki. To potężne dzwony i trąby, ostrzegające, że butne zapowiedzi rządu sprzed paru tygodni, że czego, jak czego, ale gazu w Polsce nie zabraknie, nie były niczym więcej jak tylko propagandą. Baltic Pipe, owszem, zapewne ruszy na czas, ale tak jak od dopłat nie przybędzie węgla, tak też od istnienia samej rury nie pojawi się w niej gaz. Dzisiaj wiadomo już, że gazu w Baltic Pipe – przynajmniej w stanie na teraz – będzie bardzo niewiele. Cały gazociąg ma mieć docelowo przepustowość ok. 10 mld m sześc., a popłyną przez niego może 2 mld. Jeśli będziemy chcieli mieć coś więcej, to będziemy to musieli po prostu kupić od firm wydobywających gaz na norweskim szelfie – za koszmarne pieniądze. A nawet to może nam się nie udać, bo gaz kupować chcą teraz wszyscy. Tymczasem to właśnie Baltic Pipe miał nam zastąpić import z Rosji.

Przedsiębiorcy już zaczynają drżeć. W strachu są branże mleczarska, nawozowa, produkująca glazurę – wszystkie one potrzebują dużo gazu

Przedsiębiorcy już zaczynają drżeć. W strachu są branże mleczarska, nawozowa, produkująca glazurę – wszystkie one potrzebują dużo gazu. Ten strach jest uzasadniony. Zarówno w mechanizmie przymusowego ograniczania zużycia gazu – który Polskę oczywiście objął wbrew zapowiedziom rządu – jak i w zaleceniach KE jest mowa o tym, żeby gaz odcinać najpierw firmom. A polski rząd ma w zanadrzu jeszcze jeden bardzo groźny, dyktatorski instrument: w marcu w ustawie o pomocy obywatelom Ukrainy po cichu przemycono nowelizację ustawy o zarządzaniu kryzysowym, która w sytuacjach kryzysowych daje premierowi prawo do wydawania poleceń przedsiębiorcom.

Inaczej mówiąc – jeśli zostaną spełnione przesłanki okoliczności kryzysowych, a do takich na pewno należy brak gazu, to premier zyskuje uprawnienia jak w stanie nadzwyczajnym. Może jednym pisemkiem nakazać dowolnej firmie przerwanie produkcji. Gdy ten przepis uchwalano, tylko posłowie Konfederacji zwracali na niego uwagę i mieli co do niego wątpliwości.

Najbliższej zimy może nie przetrwać wiele polskich firm. Ludzie stracą pracę, zaczną się problemy z kupnem niektórych towarów. Ponownie warto sobie postawić pytanie, czy koszty sankcji nie uderzają w nas co najmniej w takim samym stopniu jak w Rosję. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

WILDA CORNER

ceny od
8 499 zł/m²

WYKOŃCZONE MIESZKANIA GOTOWE DO ODBIORU

w Poznaniu

Grupa Inwest®

www.**wilda-corner.pl** +48 **882 818 848**

eprasa.pl a9497fac0a

Kosmiczny wytrych

Adam Zubek

Minęło pół wieku od umieszczenia na orbicie okołoziemskiej pierwszego satelity z serii Landsat – swoistego wytrychu otwierającego sezam najbardziej intymnej wiedzy o Ziemi

Gdy dnia trzeciego, tworząc lądy i morza, Stwórca kończył pracę, rozsypały Mu się gdzieś w Kosmosie klucze do surowcowego sezamu ukrytego we wnętrzu Ziemi. Przez stulecia człowiek po omacku jakoś odnajdywał drogę do tych bogactw. Tymczasem w XX w. pojawił się w przestrzeni okołoziemskiej dziwny stworek przypominający wyglądem małego aniołka z wielkimi skrzydłami. Nie był to jednak wysłannik Stwórcy. Minęło właśnie 50 lat od momentu, gdy 23 lipca 1972 r. specjaliści z NASA umieścili na orbicie okołoziemskiej pierwszego satelitę z serii Landsat – swoisty wytrych otwierający sezam najbardziej intymnej wiedzy o Ziemi. Dziś obserwuje Ziemię kolejny „aniołek" z tej rodziny, Landsat 9.

Przeznaczenie satelitów określała pierwotna nazwa serii: Earth Resources Technology Satellite (ERTS), a więc programu ukierunkowanego na zbieranie danych o naturalnych zasobach Ziemi. Metodę pozyskiwania tych danych od lat 60. nazywa się teledetekcją (tele – daleko, detectio – wykrywać). Wbrew pozorom nie jest to metoda z arsenału ery kosmicznej. Teledetekcję uprawia każdy z nas (tak właśnie), za pomocą wzroku lub słuchu. Najogólniej bowiem mówiąc, teledetekcja to pozyskiwanie informacji o obiektach za pomocą instrumentów niebędących z nimi w bezpośrednim kontakcie, zdalnie. Takim „instrumentem" jest np. oko, które rejestruje promieniowanie elektromagnetyczne (światło) odbite od konkretnych obiektów. Satelity teledetekcyjne mają wiele takich „oczu" o zupełnie nieprawdopodobnych możliwościach. Błogosławią je za to kartografowie i geodeci, geografowie i geolodzy, rolnicy i leśnicy, ekolodzy i klimatolodzy, hydrolodzy i oceanografowie, a także specjaliści od gospodarki przestrzennej i zarządzania kryzysowego.

Ale największą wartością programu Landsat jest to, że działa nieprzerwanie od półwiecza. Jest to interwał czasowy, który pozwala dokonywać bezcennych porównań i przewidywać zagrożenia, także te „pełzające", niemal niezauważalne z naszej przyziemnej perspektywy. Drugą wielką wartością, trudną do przecenienia, jest fakt nieograniczonej dostępności (po pewnych zawirowaniach na przełomie lat 80. i 90.) danych pozyskiwanych przez rodzinę Landsata.

Z LOTU PTAKA

Człowieka cechuje naturalna skłonność do obserwowania swojego otoczenia z wysokości. Po to nasz przodek wspinał się na sawannowe baobaby, po to zdobywamy górskie szczyty, dziś konstruujemy drony. Dość późno jednak, bo dopiero w wieku XIX, mógł człowiek podjąć próbę zarejestrowania oglądanych obrazów. Nikogo bowiem

eprasa.pl a9497fac0a

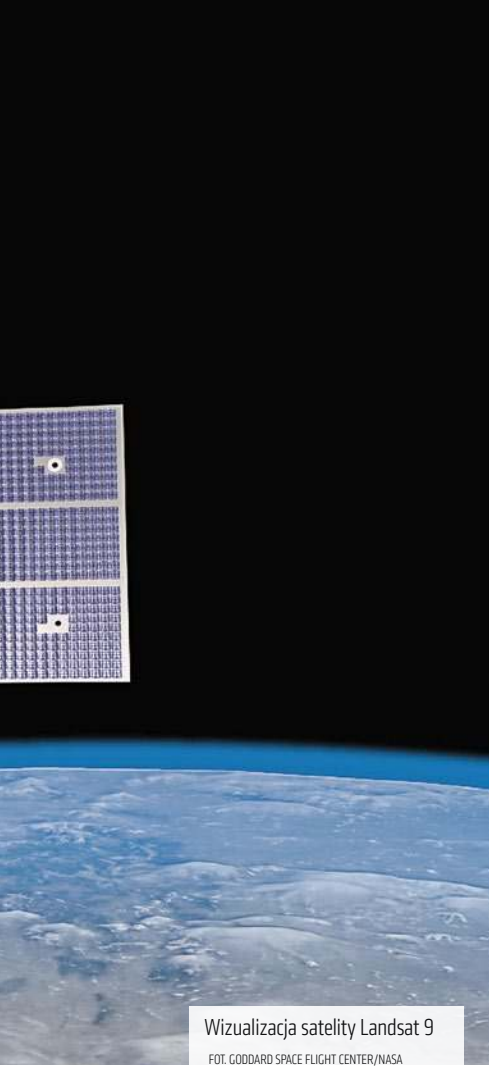

Wizualizacja satelity Landsat 9
FOT. GODDARD SPACE FLIGHT CENTER/NASA

nie trzeba przekonywać, że fotografując Ziemię z wysokości, można uzyskać wiele nowych informacji. Wiedzieli o tym XIX-wieczni baloniarze i XX-wieczni pionierzy lotnictwa, a także amatorzy latawców. Wiedział o tym także Julius Neubronner, niemiecki aptekarz, entuzjasta fotografii i... gołębiarz. W roku 1908 zastosował w praktyce hasło „obraz z lotu ptaka", wyposażając gołębie pocztowe w miniaturowe aparaty fotograficzne. Uzyskane obrazy przyniosły mu patent i sławę międzynarodową. Jednak w roku 1909 pałeczkę w tej dziedzinie przejęło lotnictwo. Nowe możliwości doceniono zwłaszcza w okresie obu wojen światowych, ale najbardziej zainteresowały one kartografów. Tworzenie i aktualizacja map stawały się proste jak nigdy dotąd.

Wśród „historyków" tej młodej dyscypliny, jaką jest teledetekcja satelitarna, nie ma zgody co do daty jej narodzin. Niektórzy twierdzą, że za pierwsze zdjęcia Ziemi z Kosmosu należy uznać amerykańskie fotografie wykonane w roku 1946 z rakiety balistycznej (to niezbyt dobrze się nam kojarząca rakieta V-2 Wernhera von Brauna). Ale tak naprawdę teledetekcyjna przygoda sztucznych satelitów rozpoczęła się w roku 1960, gdy zapoczątkowane zostały dwa programy – wojskowy CORONA i cywilny TIROS. O tym pierwszym da się powiedzieć niewiele więcej ponad to, że w różnych formach jest kontynuowany do dzisiaj. Program TIROS był strzałem w dziesiątkę, jeżeli chodzi o meteorologię. Niezbyt duża rozdzielczość zdjęć, niewystarczająca do badań środowiska, okazała się korzystna w analizie synoptycznej rozległych obszarów Ziemi i znacząco ułatwiała sporządzanie prognoz meteorologicznych.

Śledził te wydarzenia, a także analizował zdjęcia dostarczone przez astronautów programu Mercury i Gemini geolog William Pecora, szef amerykańskiej służby geologicznej (USGS). Był poruszony, jak zresztą i inni specjaliści, bogactwem informacji. Pecora, współpracując z NASA, stał się inicjatorem i głównym orędownikiem programu satelitarnych obserwacji Ziemi. Pierwszy satelita z serii Landsat to w dużym stopniu jego dziecko. Byłby szczęśliwy, widząc przesłane przez satelitę obrazy. Niestety, zmarł cztery dni przed jego wystrzeleniem.

Landsat miał nie tylko ojca, lecz także matkę. Jej historia zaczyna się w latach 40. ubiegłego wieku w filadelfijskim liceum. „Ty, dziecko – usłyszała od doradcy szkolnego Virginia Norwood, kończąc szkołę – możesz zostać nawet bibliotekarką". W tych czasach w Ameryce drogi kariery, zwłaszcza naukowej, dla kobiet były drogą przez mękę. Virginia, która już w wieku dziewięciu lat posługiwała się suwakiem logarytmicznym, podarowanym jej przez ojca, postanowiła jednak wykorzystać swoje zamiłowania techniczno-matematyczne i zgłosiła się na egzamin w MIT (Massachusetts Institute of Technology). Ten krok sprawił, że 30 lat później amerykański satelita przeznaczony do obserwacji Ziemi mógł zostać wyposażony w urządzenie o nieznanych dotąd możliwościach. Opracowany przez nią skaner wielospektralny, nieustannie modyfikowany, stanowi do dziś podstawowe wyposażenie satelitów środowiskowych.

Konstrukcyjnie pierwszy satelita z tej serii nie był niczym nowym, stanowił zmodyfikowaną wersję funkcjonujących już od lat satelitów meteorologicznych Nimbus. Obiekt miał 3 m wysokości i 1,5 m średnicy. Postać skrzydlatą nadawały mu dwa czterometrowe panele słoneczne. Ważył blisko tonę, a umieszczony został na orbicie heliosynchronicznej na wysokości ok. 900 km. Orbita heliosynchroniczna oznaczała, że nad danym obszarem satelita przelatuje zawsze w tym samym czasie, co zapewnia stałość oświetlenia obszarów położonych na tych samych szerokościach geograficznych. Okres obiegu wynosił 103 minuty, a satelita pojawiał się nad tym samym miejscem co 18 dni. W zasięgu jego „wzroku" znajdował się pas szerokości 185 km.

OCZY LANDSATA

Satelita miał dwoje „oczu", ale każde było z innej parafii. Jeden z zainstalowanych systemów to wypróbowany już wcześniej zestaw kamer telewizyjnych (RBV). Drugim był opracowany przez Virginię Norwood skaner wielospektralny (MSS). Do oceny przydatności danych z Landsata NASA zaprosiła 300 badaczy z różnych dziedzin z całego świata. Opinie były jednoznaczne – jakość i znaczenie uzyskanych informacji, zwłaszcza tych ze skanera, przekraczały wszelkie oczekiwania. Potwierdzono przydatność danych zarówno w nauce, jak i w gospodarce. Do dziś pamiętane jest zaskakujące odkrycie Betty Fleming, badaczki z Topographic Survey of Canada, która analizując obrazy przesłane z Landsat 1, natrafiła na nieznaną dotąd wyspę (wysepkę) u wybrzeży Labradoru. Nazwano ją wyspą Landsat.

Kamery telewizyjne (RBV) towarzyszyły tylko trzem pierwszym satelitom z rodziny landsatowskiej. Kolejne misje wykorzystywały głównie skanery spektralne, których arsenał ciągle był powiększany i doskonalony. Landsaty okazały się także aparatami długowiecznymi. Landsat 1 funkcjonował do stycznia 1978 r., o pięć lat dłużej niż zakładano. Podobnie było z kolejnymi satelitami z tej serii, z wyjątkiem Landsat 6, który nie osiągnął orbity. Były również problemy z Landsatem 7 (awaria ważnego urządzenia), ale ciągłość obserwacji zapewnił Landsat 5, który zamiast planowanych trzech lat służył przez lat 30. Dzięki temu jego misja pozwoliła płynnie przejść do misji Landsata 8, wyniesionego na orbitę w lutym 2013 r., który poprzedził najnowszego, dziewiątego satelitę z tej serii (start we wrześniu 2021 r.). Aparaty te krążą po nieco niższych orbitach (705 km). Przesyłają dane o wyższej rozdzielczości, co pozwala wykrywać subtelniejsze

eprasa.pl a9497fac0a

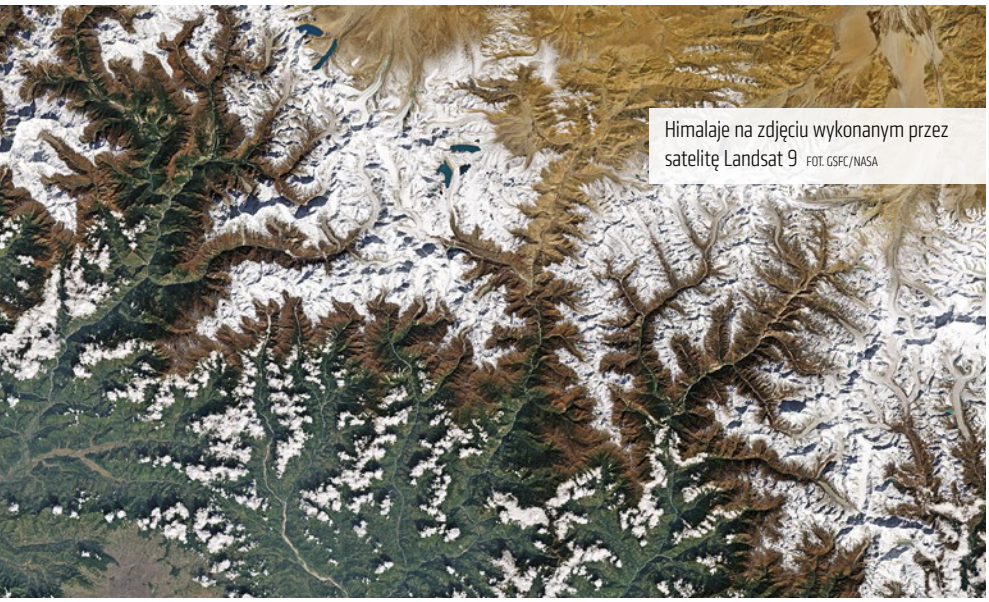

Himalaje na zdjęciu wykonanym przez satelitę Landsat 9 FOT. GSFC/NASA

różnice. Landsat 9 dzięki sensorowi Operational Land Imager 2 może rozróżnić ponad 16 tys. odcieni danego koloru fali elektromagnetycznej, w porównaniu z Landsatem 7, który wykrywał tylko 256 odcieni, i Landsatem 8 rozpoznającym 4 tys. odcieni.

ŚCIĄGA DLA GOSPODARKI

O ile trzy pierwsze misje służyły raczej rozpoznaniu możliwości i uczeniu się wykorzystania dostarczanych danych, o tyle kolejne wprzęgnięte zostały już do bardzo konkretnych i praktycznych zadań. Amerykanie od razu wykorzystali pierwsze obrazy do zadań gospodarczych, konkretnie w dziedzinie rolnictwa. Podjęto z powodzeniem próbę oceny wielkości zbiorów pszenicy w głównych obszarach jej produkcji na świecie. Wkrótce okazało się, że obrazy z Kosmosu są niezastąpionym narzędziem w planowaniu zagospodarowania przestrzennego.

W ciągu trzech, czterech lat pierwsze zdjęcia znalazły się także w dyspozycji naszego Instytutu Geodezji i Kartografii. Pod kierunkiem prof. Andrzeja Ciołkosza analizowano np. obrazy Polski Południowej, na których doskonale widoczne były zasięgi dymów i zanieczyszczeń powietrza pyłami na Górnym Śląsku i w dolinie górnej Odry. Trzeba przyznać, że władze doceniły znaczenie materiałów pozyskiwanych z satelitów i pod koniec 1975 r. powołano do życia OPOLiS – Ośrodek Przetwarzania Obrazów Lotniczych i Satelitarnych. Jednym z pierwszych opracowań tego ośrodka były mapy użytkowania ziemi całego kraju. Posłużyły one m.in. do oceny zniszczeń spowodowanych powodziami. Udoskonalona aparatura kolejnych satelitów (skanery mapowania tematycznego) oraz zwiększenie zdolności rozdzielczej do 30 m pozwalają dzisiaj na kompleksowe badanie środowiska.

Sukces programu Landsat zaowocował narodzinami całego „przemysłu" ukierunkowanego na satelitarne badania Ziemi

ZAGADKOWE LINIE I KRĘGI

Spełniły się oczekiwania geologów co do możliwości odnajdywania złóż surowców mineralnych i ropy naftowej, poszukiwań wód geotermalnych itp. Ale na zdjęciach satelitarnych ujawniło się coś więcej – jakieś tajemnicze linie, ciemne i proste pasemka, a także koliste struktury. Okazało się, że mają związek z fundamentalnymi rysami ukształtowania powierzchni Ziemi uwarunkowanymi obecnością pierwotnej sieci głębokich rozłamów skorupy ziemskiej (tzw. lineamentów). Na zdjęciach satelitarnych nikt nie spodziewał się ich zobaczyć, gdyż zwykle są zamaskowane grubą pokrywą młodszych skał, głównie osadowych. Okazało się jednak, że im większa odległość od Ziemi, tym bardziej stają się widoczne. Dziś wiadomo, że znajomość rozłamów wgłębnych skorupy ziemskiej to klucz do zrozumienia rozmieszczenia złóż wielu surowców, głównie rud metali, ropy naftowej, a także wody. Sejsmologowie zaś na podstawie tych obrazów są w stanie stworzyć mapę zagrożenia sejsmicznego dla danego obszaru.

Jeszcze większą zagadką niż lineamenty były dla pierwszych interpretatorów obrazów satelitarnych anomalie koliste, zwane też strukturami pierścieniowymi. W wielu przypadkach pierścienie jakby przeświecają przez osadową pokrywę, a ich średnica waha się od setek metrów do ok. 700 km. Dopiero w latach 80. XX w., po odkryciu przyczyny zagłady dinozaurów, zainteresowano się nimi poważnie. Okazało się, że kontynenty ziemskie wręcz usiane są takimi strukturami. W olbrzymiej większości są to kratery uderzeniowe, ślady po impaktach, czyli zderzeniach ciał niebieskich z Ziemią. Przypomniało to ludzkości, że zagrożenie z Kosmosu jest całkiem realne i że niezbędne jest nie tylko śledzenie trajektorii różnych ciał niebieskich (asteroid, planetoid, meteorów), lecz także znalezienie sposobów obrony. Ale to niejedyny pożytek z tych odkryć. Oczywisty okazał się związek tych struktur z występowaniem cennych surowców. Na przykład krater uderzeniowy Sudbury w prowincji Ontario to ok. 20 proc. wszystkich zasobów mineralnych Kanady. Z tamtejszych kopalni pochodziło ok. 75 proc. niklu świata zachodniego. Podobne złoża, również związane z impaktem, tyle że znacznie młodszym (sprzed 250 mln lat), powstały w rejonie Norylska w Rosji. Związek z kraterami uderzeniowymi mają też złoża diamentów w Afryce i na Syberii.

Sukces programu Landsat zaowocował narodzinami całego „przemysłu" ukierunkowanego na satelitarne badania Ziemi. Różne kraje zainicjowały wąskospecjalistyczne misje do badania np. oceanów, lodowców i pokrywy śniegowej, zmian klimatycznych, presji antropogenicznej i wielu innych aspektów życia naszej planety. Satelity środowiskowe są dziś wysyłane przez USA, a także przez agencje międzynarodowe oraz pojedyncze kraje, jak Francja, Rosja, Chiny, Japonia, Korea Południowa.

Nie dziwią słowa wypowiedziane przez szefa NASA, Jamesa Fletchera, kilka lat po wystrzeleniu pierwszego Landsata: „Podobnie jak Kolumb, który wypłynął w poszukiwaniu drogi do Indii i odkrył Nowy Świat, tak my wysyłaliśmy naszych astronautów na Księżyc, a odkryliśmy na nowo Ziemię. To zdumiewająca, nowa perspektywa dla samotnej, cudownej, delikatnej planety".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a9497fac0a

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie

18:30

zaprasza **Piotr Kieraga**

REPUBLIKA

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl a9497fac0a

TEST „DO RZECZY": WIDEOREJESTRATOR MIO MIVUE C588T DUAL

Jednoczesna rejestracja tego, co dzieje się z przodu i z tyłu samochodu, przeciętna jakość obrazu, dobra jakość wykonania, prosta obsługa, ostrzeżenia przed fotoradarami oraz odcinkowymi pomiarami prędkości wraz z darmowymi aktualizacjami – to największe zalety niewielkiej kamerki popularnej w Polsce firmy Mio.

Główny element testowanego rejestrator jazdy ma niewielkie rozmiary (mierzy 55 mm x 61 mm x 34 mm) i waży zaledwie 69 g, dzięki czemu można go w miarę dyskretnie umieścić na czołowej szybie samochodu. Przekątna kolorowego wyświetlacza TFT LCD wynosi 2 cale. Druga część zestawu – kamerka tylna – jest jeszcze mniejsza i równie łatwa w montażu, bo po prostu przykleja się ją na tylnej szybie (długość kabla łączącego tylną kamerkę z głównym elementem rejestratora wynosi 8 m). Jakość wykonania – większość elementów jest z tworzywa sztucznego – nie budzi zastrzeżeń.

Urządzenie nagrywa z rozdzielczością Full HD (1080p) z prędkością do 30 kl./s. Producent urządzenia zastosował sensor Sony premium Starvis CMOS oraz wysokiej jakości jasny obiektyw (z przysłoną f/1.8). Kąt widzenia wynosi 140 stopni.

Jakość obrazu jest przeciętna jak na półkę cenową tego wideorejestratora. Urządzenie dobrze radzi sobie z zapisem przy słonecznej pogodzie. Maksymalna prędkość 30 kl./s w dzisiejszych czasach nie jest wynikiem, którym warto się chwalić na opakowaniu, bo przy autostradowych

prędkościach na zbyt wiele szczegółów liczyć nie można. Jakość nagrań rejestrowanych w dzień można mimo to uznać za poprawną. W nocy czy w ulewnym deszczu kamerka radzi sobie istotnie gorzej, a na nagraniach najczęściej próżno jest szukać takich detali jak numery rejestracyjne mijanych samochodów (choć nadal w razie kolizji czy wypadku nie powinno być problemu z udowodnieniem, kto był sprawcą).

W czasach piekielnie drogich mandatów bardzo przydatna jest również funkcja informowania o zbliżaniu się do fotoradarów oraz kamer odcinkowego pomiaru prędkości, która jest standardowym elementem kamerek Mio. Producent deklaruje, że aktualizacje danych o radarach są dożywotnio darmowe (trzeba je jednak przeprowadzać ręcznie).

Wady? Szkoda, że producent w testowanej kamerce nie zastosował żadnego akumulatora, który umożliwiłby dłuższą pracę urządzenia bez podłączenia do zasilania. Drugi minus: nie wiadomo, z jakiego powodu Mio upiera się przy stosowaniu w swoich rejestratorach gniazd USB rodem z ubiegłego wieku, czyli miniUSB. W dawnych czasach utknęli również programiści Mio, bo oprogramowanie do kamerki, jak nie wyglądało supernowocześnie, tak w kolejnych modelach robi wrażenie coraz bardziej wiekowego. Na szczęście w samej kamerce system pracuje płynnie, bez żadnych zacięć. Niektórym w tym modelu brakować może jednak modułu wi-fi.

Mimo tych minusów dzięki dwóm kamerom rejestrującym obraz przyzwoitej jakości zarówno z przodu, jak i z tyłu samochodu testowany model jest wart rozważenia przy zakupie tego typu urządzenia. Cena nie jest może okazyjna, ale wydaje się dość rozsądnie skalkulowana. Zwłaszcza że do testowanego zestawu można dokupić SmartBox, który umożliwia nagrywanie zdarzeń dookoła auta również w czasie parkowania. Za Mio MiVue C588T Dual trzeba zapłacić 799 zł. ©℗

Jacek Przybylski

KOMPUTER I AKWARIUM W JEDNYM

To, że obudowy tradycyjnych komputerów nie muszą wyglądać jak nudna czarna puszka, wiadomo od dawna. Od lat można więc kupić obudowy, które liczbą światełek RGB LED przebijają najpiękniej udekorowane ciężarówki w Indiach. Od niedawna na rynku dostępna jest też obudowa Metal-Fish Y2, która łączy styl tradycyjnej obudowy do komputera gamingowego z eleganckim akwarium. Obudowa o wymiarach 370 x 250 x 290 mm waży 4 kg i została wykonana z aluminium oraz szkła o grubości 5 mm. Pojemność wynosi ok. 27 l. Wbrew pozorom woda nie służy do chłodzenia nagrzanego procesora... Zamiast tego zastosowano miejsce na dwa wentylatory. W zestawie są też napowietrzacz i filtr do akwarium. Gadżet pełen światełek LED jest do kupienia w Chinach. Cena wynosi ok. 340 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

OPASKA CZYTAJĄCA MYŚLI

MiGu Headband – tak nazywa się opaska, która pozwala ponoć na sterowanie urządzeniami w inteligentnym domu jedynie za pomocą myśli. Urządzenie jest wyposażone w trzy punkty, które odbierają sygnały elektryczne i umożliwiają opasce odczytanie EEG użytkownika i przesłanie ich na smartfona, gdzie sztuczna inteligencja próbuje je właściwie odczytać. Zdaniem autorów projektu po pewnym okresie „uczenia się" opaska potrafi powiązać rodzaj odbieranych fal mózgowych z żądaniem określonego działania. Nowy gadżet nie tylko ma sprawić, że nie trzeba będzie niczym jaskiniowiec podchodzić do sprzętów, aby je włączyć, lecz także eliminuje konieczność sterowania smartfonem czy komend głosowych. Projekt zdobył pierwszą nagrodę w trzecim internetowym hackathonie Xiaomi Group. Na razie jednak jego cena ani data debiutu nie są jeszcze znane. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl a9497fac0a

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Karawaningi I Rzeczypospolitej

JACEK KOMUDA

Jak podróżowali i w czym przewozili towary dawni Polacy? Wszak wozy, karoce i kolasy widoczne były wszędzie, na każdym trakcie, w każdym mieście, zaścianku i wiosce. Dziś nie zobaczymy żadnego z czasów I Rzeczypospolitej. Choć mamy w kraju ogromne zbiory powozów, jak te udostępnione w powozowni w Łańcucie, to wszystkie prezentowane obiekty pochodzą z XIX w. Te o 200 lat wcześniejsze możemy tylko zrekonstruować, posługując się źródłami historycznymi i ikonograficznymi.

W XVII w. najbardziej rozpowszechnionym typem pojazdu, którego używali zarówno chłop, jak i szlachcic, była kolasa, jednak pod tym terminem należy rozumieć kilka różnych typów wozów. Był to duży, mocny wóz o kształcie skrzyni z desek lub plecionej łozy. Transportowano nią towary, a ponieważ na skrzynię można było wstawić ławki, szlachcic jeździł kolasą do sąsiadów i do kościoła, zabierał na wojnę i pospolite ruszenie. Nazwa pojazdu wywodzi się od ruskiego słowa „kaleso" – koło. Im dalej na wschód, tym były bardziej prymitywne. Aleksander Gwagnin pisał tak: „Kolasy mają proste bez żelaza – wiciami i rozmaitymi powrozy pokręcone, koło jedno z jednego drzewa, oś nigdy mazi nie zna. A kiedy się ich wiele na one kolasy nasiędzie, to dziwnie wrzeszczą, że pod nimi osi skrzypieniem jakiemsi foremne narzekania z siebie wydają; takież i na Rusi, skąd by przypowieść niosła: skrzypi by ruska kolasa".

FOT. PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA MNK

O wiele cięższe były wielokonne wozy, które podobnie jak kolasy występowały w różnych odmianach, otwarte albo nakryte pałubami – czyli płóciennymi dachami. Sytuację komplikuje też fakt, że XVII-wieczny wóz był o wiele bardziej funkcjonalny niż dzisiejszy samochód. W każdej chwili można było go rozebrać na części, składając – ciężki pojazd do przewozu towarów, lekki do zboża, z ławkami do podróży, drabiniasty – do przewożenia słomy lub siana. Płaski, do wożenia desek i skrzyń, a dodatkowo – można go było przedłużyć lub skrócić. Przegląd źródeł pozwala wyróżnić przynajmniej kilkadziesiąt ich typów – często nawet nie nazwanych, a wyróżniających się jedynie niezwykłym kształtem.

Najcięższe były okute wozy zwane skarbnymi, do przewożenia kosztowności, pieniędzy, ale też niebezpiecznych materiałów, np. prochu. Każdy wyglądał jak wielka skrzynia na kołach, zamykana na solidny zamek lub kłódkę. Kolejna kategoria, którą wymienia np. „Ars Bella Gerendi" Edwarda Wagnera, to podróżne lub pasażerskie. Był to odpowiednik dzisiejszych przyczep kempingowych albo kamperów. Wysokie pojazdy, nakryte pałubami, zaopatrzone w okna i drzwi, przesłaniane opuszczanymi płachtami płótna lub skóry. Istnieją liczne świadectwa, że służyły do spania – pisze o tym np. Jan Władysław Poczobut-Odlanicki. Poza tym ich formy dostosowywano do potrzeb – zdarzały się tylko częściowo pokryte pałubami, ze skrzynią i kozłem do powożenia na przedzie, inne zupełnie otwarte albo pokryte płótnem na równo z burtami. Uzupełnieniem były lekkie kolaski, telegi na Rusi, a na Litwie kałamaszki, i wreszcie ciężkie, okryte płótnem bryki. A także dwukołowe wózki i będące bogatszą ich wersją rydwany.

Co z pojazdami paradnymi? W ogromnym skrócie pierwsze były brożki. Ogromne pojazdy, którymi podróżowało nawet osiem osób – np. pan z rękodajnymi albo pani z fraucymerem – taki właśnie brożek królowej Konstancji pokazany jest na „Rolce sztokholmskiej". Był to pojazd bez ścian, ale często z zasłonami, z dachem na słupkach i wejściami po obu stronach; zaprzężony w sześć koni. Brożek, który pojawił się w XVI w., przetrwał aż do połowy kolejnego – gdyż z racji nieposiadania ścian nadawał się do wszelakich triumfalnych parad – publiczność mogła dokładnie widzieć, kto i w jakim otoczeniu jedzie w kawalkadzie. Jednak od lat 20. XVII stulecia zaczęła się u nas pojawiać kareta, a także jej zdobiona odmiana zwana karocą. Pojazd z pełnymi ścianami, z wejściami po bokach i siedzeniami na wprost siebie. Jego największą nowinką było to, że pudło nie spoczywało na drewnianej konstrukcji podwozia, ale było zawieszone na pasach dla wytłumienia wstrząsów. Karetami jeździli oczywiście wielcy panowie.

Jednak najbardziej niezwykłym powozem z polskich dróg było lando – przypominające dzisiejsze dorożki, bo z rozkładanymi i składanymi w harmonię dwoma budami – z przodu i tyłu. Wyglądało jak z innej epoki, a przecież pierwsze jego pojawienie się w Polsce datowane jest na rok 1592.

Tyle w iście telegraficznym skrócie. Warto poznawać dawne powozy, gdyż dzięki Związkowi Socjalistycznych Republik Europejskich już za chwilę samochody dziedziczyć będziemy z ojca na syna, jak na Kubie, pojedziemy brożkiem po Krakowskim Przedmieściu, a w Polskę wyruszymy kolaską na dwa konie. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Matki Boskiej Zielnej

15 sierpnia to święto Wniebowzięcia Matki Bożej. Według apokryfów apostołowie, gdy na trzeci dzień po śmierci matki Jezusa zajrzeli do jej grobu, zobaczyli tam tylko zioła i kwiaty. Dlatego też na pamiątkę święci się tego dnia bukiety ziół leczniczych, kwiatów, płodów rolnych – zbóż, owoców i warzyw. Piękny, barwny i przepełniony zapachami dzień, który przywiódł nam na myśl wieś Strojców koło Dąbrowy Tarnowskiej, gdzie spędzałyśmy w dzieciństwie wakacje.

Jeden z gospodarzy, tuż obok swojego kwietnego ogrodu, pomiędzy dwiema wielkimi lipami, miał sporą pasiekę. Gdy tylko robił miodobranie, zawsze zapraszał nas – mieszczuchy – żebyśmy poznały życie pszczół. Opowiadał o królowej matce, która wylatuje na świat tylko raz lub dwa razy w życiu na swój lot godowy, a potem panuje już tylko w ciemnościach ula i składa jajeczka. Opowiadał o trutniach, które się lenią i wyjadają miód. Ale mają one inne zadanie – muszą dać życie tysiącom młodych pszczół, więc są tolerowane. Do czasu. Gdy rój uzna, że już nie są potrzebne, pozbywa się ich brutalnie.

Zawsze ciekawiło nas, skąd się bierze królowa i co decyduje o tym, że jedna z pszczół właśnie nią zostaje. Otóż – jak doczytałyśmy w książce pt. „Życie pszczół" Maurice'a Maeterlincka – królowa wyrasta z jajeczka takiego jak pozostałe, ale komora, w której jest ono złożone, jest dużo większa. Poza tym wybrane książęce larwy karmione są cały czas mleczkiem pszczelim, które jakby koduje, przygotowuje pszczołę do jej życiowej roli. Gdyby dotychczas panująca królowa zginęła, to rój jest w stanie zmienić przeznaczenie innych robotnic, karmiąc je w taki sam sposób i produkując tym samym nową królową. Ale mogą to zrobić tylko przez kilka pierwszych dni, potem jest za późno. Robotnica nigdy nie odwróci się tyłem do swojej królowej. Zawsze patrzy na nią i w jej stronę kieruje czółki. Gdy musi odejść, wycofuje się tyłem. Czy nie przypomina to etykiety dworskiej?

Świat pszczół jest fascynujący, a duch roju posiada przedziwną mądrość – jego celem jest utrzymanie gatunku, i tylko to się liczy.

Dlatego też dzisiaj proponujemy coś delikatnego, pełnego aromatu lata, co może być śniadaniem, przekąską lub podwieczorkiem, a czemu smak nadaje miód.

FOT. ADOBE STOCK

Granola z miodem i jogurtem naturalnym

• 2 szklanki płatków owsianych górskich • po 50 g orzechów włoskich, laskowych, pekan, pestek słonecznika • 1/4 szklanki sezamu • owoce suszone: morele, rodzynki, żurawiny • 1 łyżeczka cynamonu • szczypta soli • 2 łyżki oleju kokosowego • 3 duże łyżki miodu

Piekarnik nagrzewamy do 175 st. C. Do misy wsypujemy płatki owsiane, orzechy, pestki, sezam, cynamon i sól, dodajemy miód i olej kokosowy. Wszystko mieszamy i wykładamy na blaszkę. Wkładamy do piekarnika i pieczemy ok. 20 min na złoty kolor. W międzyczasie mieszamy kilka razy. Na koniec dodajemy suszone owoce. Po ostudzeniu granolę przechowujemy w szklanym słoiku. Podajemy z naturalnym jogurtem i dodatkowo z miodem. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wypoczynek

FOT. ADOBE STOCK

Siedzieliśmy na niewielkiej dzikiej plaży nad jeziorem na Pojezierzu Brodnickim, kiedy nagle z lasu wynurzyli się pan i pani, oboje bardzo słusznych rozmiarów. Taszczyli ze sobą coś dużego, plastikowego i bardzo turkusowego. Rozłożyli się, wyjęli sprzęt – czyli nożną pompkę – i słusznych rozmiarów pan rozpoczął pompowanie tego czegoś. Rosło i pęczniało, aż stało się potężnym podwójnym łożem z przymocowaną budą. Trochę tak jak dziecięcy wózek z budą, tylko w innej skali. Do pływania. Po napompowaniu urządzenia państwo wdrapali się na nie z pewnym trudem, po czym odpłynęli turkusowym okrętem w siną dal, wzbudzając duże zainteresowanie dzieci na plaży.

Ktokolwiek był nad morzem czy innym akwenem, musiał zwrócić uwagę, jak dużo jest tam dmuchanych sprzętów. Głównie fauna: łabędzie, kaczki, węże, krokodyle, pingwiny, żółwie – to dla dzieci. Dla dorosłych – materace. Wszystko po to, żeby się położyć i leżeć. To forma odpoczynku, która najbardziej odpowiada zmęczonym rodakom. Nie żeby pływać, chodzić. Raczej leżeć. Wypoczywać.

Nie tylko na urlopie i nie tylko na plażach. Ogródki i ogrody prywatne pełne są urządzeń do wypoczywania. Bujające kanapy, hamaki, wiklinowe półkule, leżaki, łóżka, szezlongi, fotele, kanapy z plastikowej wikliny przystosowane do pobytu na deszczu. Sądząc po ofercie sklepów ze sprzętem domowym i ogrodowym, większość życia człowieka upływa na leżeniu, bujaniu się, piciu drinków z parasolką w dmuchanym domowym basenie koloru – oczywiście – turkusowego.

Poza domem to samo. Teraz latem prawie każda kawiarenka, restauracja, bar wystawiają leżaki. Zwykłe krzesło, nawet z poręczami, to za mało. Pragniemy się wygodnie rozłożyć. Zlec. Nawet jeśli odbywa się to na chodniku, metr od ruchliwej ulicy.

Jednak najwygodniejsze meble ma się w domu. Zestaw kanapa plus dwa fotele, zwany w skrócie „wypoczynkiem", był najwyższym przedmiotem pożądania w latach 70. i 80., co utrwaliły dokumenty z tamtych lat. I jest obowiązkowy do dziś. Dzisiaj kanapy są lepsze – tak miękkie i wygodne, że można w nich utonąć i w ogóle nie wstawać.

Po dziadkach odziedziczyłam dwa fotele Ludwik XVI – nie z epoki, wyprodukowane sto lat później. Mają medalionowe oparcie pod kątem prostym i są tak niewygodne, że można na nich wysiedzieć nie więcej niż 15 minut. Takie były wtedy meble. Nikt się nie rozwalał. Siedziało się prosto, wizyta trwała krótko.

A wypoczynek? Chyba nie było takiego słowa. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Covidowa logika

Coś się jednak pokręciło. Głównie w przekazie. Oto wiceminister zdrowia pan Kraska oświadczył w ciągu niespełna 24 godzin dwie sprzeczne rzeczy. Ale COVID ma swoją „logikę" i nie takie sprzeczności dało się do tej pory pogodzić. Jak widać – bezkarnie, bo w mediach, tak chętnie tropiących wszelkie nieścisłości, cisza.

Otóż wcześniej usłyszeliśmy, że COVID powinien być traktowany jak każda choroba infekcyjna, co już samo w sobie jest dziwne. Przecież charakter choroby nie zależy od jej aktualnego rozprzestrzeniania się, tylko od specyfiki. No bo to przecież ten sam COVID, który zamykał zakłady, ludzi po domach, wyrzucał z izb przyjęć i sadzał dzieci przed komputerową szkołą. A teraz, że jak grypa? To co mu się stało, oprócz tego, że zanika (głównie w krajach słabo szczepionych)? Przecież to ten sam szczep, ba – z bardziej wrednymi wariantami. Ale ja jestem za tym, by tak twierdzić i się tego trzymać, bo od dawna (z licznym koleżeństwem) tak mówię. Chodzi o to, by zdrowotni decydenci się tego trzymali.

A nie trzymają się, bo pan wiceminister nazajutrz po tym optymistycznym otrzeźwieniu stwierdził, że jest mocno pewny powrotu na jesieni obowiązku noszenia masek. Mam pewien dysonans poznawczy. Czyli jak? Raz – że grypa, ale na jesieni obostrzenia? Gdzie tu sens? Albo, albo. Ktoś widział wcześniej obowiązki maseczkowania w trakcie (corocznej trzy-, czteromilionowej, ze spektakularną przerwą na pandemię covidową) epidemii grypy? A tu bum. I po co? Skoro sam minister Niedzielski stwierdził: „Mamy badania, z których wynika, że 90 proc. Polaków ma przeciwciała. Nawet jak nie ma przeciwciał, to może być odporność w pamięci komórkowej". W tej sytuacji nie trzeba żadnych obostrzeń, tylko należy dbać o odporność, nie zaś stosować dotychczasowe strategie, które wirusa nie zatrzymały, za to otworzyły mu drogę, bo totalnie osłabiły odporność populacji.

Czyli jak? Raz – że grypa, ale na jesieni obostrzenia? Gdzie tu sens? Albo, albo

Ja jednak pośledziłem ten dysonans. Ministerstwo Zdrowia oficjalnie oświadczyło, że większość osób podawanych w statystykach hospitalizacji w związku z COVID-19 to osoby, które już były w szpitalu z innych powodów. To znaczy, że testuje się już w szpitalach ludzi na COVID po tym, jak zostali przyjęci. Szuka się więc samemu guza, wywołuje testami kolejną falę. Tylko czy będzie to fala „normalnej infekcji" czy śmiertelnej choroby, która zdziesiątkowała populację, głównie dzięki sposobom walki z pandemią? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Obrona chrześcijan?

Wobec nasilającej się przemocy symbolicznej i przypadków agresji motywowanej nienawiścią do Kościoła grupa posłów Solidarnej Polski zgłosiła wniosek o zmianę prawa, ponieważ obowiązujące przepisy są nieskuteczne. Większość zgłoszeń w postępowaniu sądowym jest oddalana, gdyż regulacje (z 1949 r.!) penalizują tylko przypadki zgłoszone przez konkretną osobę, której uczucia religijne zostały obrażone, i gdy uda się udowodnić, że zostały dokonane „złośliwie".

Udowodnienie czegoś tak subiektywnego jak „złośliwość czynu" jest niezwykle trudne, stąd prawie wszyscy sprawcy zakłóceń Mszy św. podczas tzw. strajku (niektórych) kobiet zostali uniewinnieni. Obrońca oskarżonych zwykle przekonuje sąd, że wtargnięcie do kościoła i wulgaryzmy nie były złośliwe, gdyż były „manifestacją światopoglądu" lub „protestem wobec zapisów konkordatu". Projekt Solidarnej Polski uszczelnia przepisy Kodeksu karnego, uniemożliwia takie wybiegi, a także gwarantuje wierzącym, że nie będą szykanowani za odmowę zachowań i działań sprzecznych z wyznawanymi wartościami wywiedzionymi z ich norm religijnych (patrz: głośne sprawy pana Tomasza z IKEA i drukarza z Łodzi). Zatem projekt jest nie tylko prewencyjny czy restrykcyjny, lecz także wolnościowy. Podczas nabożeństw – czynności dla nas najświętszych – chcemy być bezpieczni i wolni od lęku o kolejną napaść. Sprawa jest tym pilniejsza, że kilka tygodni temu Komisja Europejska przyjęła projekt skrajnie ideologicznej dyrektywy, afirmującej roszczenia aktywistów LGBT+. Dyrektywa tylnymi drzwiami wprowadza sprzeczne z chrześcijańską antropologią rozwiązania konwencji stambulskiej. Zobowiązuje np. kraje do karania obywateli za krytykę genderowej doktryny. Przewiduje też możliwość dyscyplinowania państw Europy Środkowej chroniących ład naturalny, rodzinę i życie. Mimo to obecna większość sejmowa nie poparła projektu Solidarnej Polski „W obronie chrześcijan", dlatego wnioskodawcy zawiązali społeczny komitet i chcą zebrać 100 tys. podpisów. I tu znamienna jest reakcja niektórych biskupów.

Kuria lubelska wysłała do proboszczów pismo zakazujące zbierania podpisów w parafiach. Kanclerz kurii ks. Adam Jaszcz pisze: „Misją kapłanów powinno być apelowanie do ludzkich sumień, a nie domaganie się zaostrzenia kar". Oto, gdy pojawia się inicjatywa świeckich, mająca na uwadze dobro Kościoła: duchowieństwa i wiernych, zostaje brutalnie zastopowana i administracyjnie ograniczana. Nie wdając się w polemikę z kurią, składam publiczny donos na księdza kanclerza. Obawiam się, że autor pisma nie tylko nie przeczytał projektu ustawy, lecz także (co najstraszniejsze) ignoruje watykańską ideę synodalności. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Może „Tydzień Tuska”?

Oni chyba nie wiedzą, o co chodzi, i trzeba im powiedzieć. Tak myślę. No ci z PiS. Wypełniają i wypełniają te kamienie milowe, wypełniają i wypełniają, a jak wypełnią, to trzeba wypełnić nowe (wiem, że kamieni się nie wypełnia, ale tych się akurat naprawdę nie da wypełnić wcale, więc tym bardziej się zgadzam z tą uwagą, która zawisa w powietrzu).

I już nawet posłowie Platformy Obywatelskiej, np. Izabela Leszczyna obecna na Twitterze, a jakże, mówi, że pieniądze z KPO pojawią się w Polsce wtedy, kiedy zmieni się władza. W domyśle, że chyba jak Tusk zostanie premierem. To wtedy Bruksela czy Berlin (już nie wiem, bo mi się mylą te miasta, bo są na „b”) nam te pieniądze dadzą.

To tu jest pole do kreacji, wydaje mi się. Trzeba coś takiego wymyślić, jeszcze nie wiem co, może kogoś przekupić albo zmanipulować, albo coś, żeby np. zmienić rząd tam na tydzień czy coś. Pieniądze by przypłynęły i wszyscy byliby zadowoleni czy tam prawie wszyscy. Może jakąś ustawę temporalną albo zrobić „Tydzień Tuska”. Rząd ma mądrzejszych doradców niż ja, to dograją szczegóły. Pozwalam sobie tylko wskazać kierunek. Że głupi pomysł? Może, problem w tym, że nikt nie ma lepszego.

Zmieniamy wątek. Otóż wydaje mi się, że mają miejsce wydarzenia dziwne. Że chyba Twitter zaczyna służyć do przekazywania tajnych, zaszyfrowanych informacji. Pewnie służby już się tym zajmują. Skąd mi to przyszło do głowy? Śledzę profil byłej prezydent Warszawy Hanny Gronkiewicz-Waltz, która zamieściła taki komunikat (podaję dosłownie): „Chodzi o przeproszenie Andrzeja Dudy przez dziennikarza. mnie ' niezłomny ' po podpisaniu różnych ustaw na ,zyczenie PiS nie interesuje teraz jasne!”. Pomyślałem, że kompletnie nie wiem, o co chodzi, ale okazało się, że HGW w ten sposób skomentowała swój wcześniejszy wpis, który zacytuję dosłownie: „Bez mojej zgody na mo jego włączono przeprosiny prezydenta mam nadzieję że już ich nie będzie”.

I przyznają państwo, że o ile pierwszy wpis jest niezrozumiały bez kontekstu, to jeśli weźmiemy jednak pod uwagę ten drugi, czyli chronologicznie pierwszy, to można przeżyć zachwyt z przewagą zdziwienia, bo nic nie wiadomo. Liczyłem sylaby i głoski, ale nie złamałem szyfru, wrzucałem pokawałkowane frazy w wyszukiwarkę, czy może mamy do czynienia z cytowaniem najdziwniejszej książki świata „Finnneganów tren” Jamesa Joyce'a w tłumaczeniu Krzysztofa Bartnickiego (nie mam pojęcia, jak można to przetłumaczyć na polski, skoro to nie jest w żadnym języku), ale i tu nie znalazłem tropów. Gdyby ktoś z państwa rozszyfrował, niech państwo zadzwonią, napiszą, bo mnie to strasznie męczy. Do widzenia. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Śladami Sancho Pansy

Małgośka, mówią mi, ale dlaczego zawsze tylko Hiszpania? Bo mam w sobie Sancho Pansę, który uwielbia towarzystwo Don Kichotów. Myślę też, że ich „wędrowny rycerz” (a nie błędny, jak to mylnie przetłumaczono) byłby najlepszym kompanem Pana Cogito. Obaj próbowali zmienić świat na lepsze, tyle że szukając jego serca i sumienia, odbijali się od jego pancernej skorupy.

Trudno jednak o ciekawszą skorupę ziemi niż ta, która pokrywa Hiszpanię, choć oczywiście skrywa też pułapki, w które wpadam systematycznie co roku. Zaczyna się zawsze tak samo: w Internetach donoszą, że wystarczy odbić 80 km od trasy i już czeka nas jeden z tych dziewiczych cudów świata, gdzie nie zapuszcza się homo turisticus. Niestety, dranie nie wspominają, że jazda serpentynami nad przepaścią to właśnie powód, dla którego nikt tam nie dociera lub – co gorsza – dotarłszy tam, wraca w trumnie na koszt rodziny.

A przecież jedyne, czego w Hiszpanii nienawidzę, to właśnie drogi w górach, na których jest najwięcej śmiertelnych wypadków. Owszem, znaki drogowe lojalnie ostrzegają nas znajomo brzmiącym „curva peligrosa” (czytaj: „kurwa peligrosa”, a myśl: „ostry zakręt”), ale jest już za późno, bo nie ma jak zawrócić. To, co miało być atrakcyjną eskapadą, zamienia się dla mnie znów w gehennę i składanie solennej obietnicy nr 358, że już nigdy nie dam się nabrać i nie zjadę z autostrady, nawet jeśli sam król Filip VI mnie o to poprosi.

Wszystko przez to, że w Internecie napisali, że będę mogła odmłodzić się w wodach termalnych stworzonych przez króla Abu Zayda dla kobiet z jego haremu, bo – jak się okazuje – w epoce konkwisty Arabowie walczyli też z wolnymi rodnikami. Tymczasem zastałam grotę ze szmaragdową, zimną rzeką, do której ochoczo wskoczyli mąż i syn, ale nie ja i moje rodniki. Wolałam już z grupką lokalsów podziwiać górską faunę, odpowiednią do okoliczności, w które dałam się wpuścić: orły, sępy, a nawet ważki wielkości małego helikoptera.

Gdy ruszaliśmy w drogę powrotną i jedyne, co było widać, to skały w blasku księżyca – przypomniały mi się słowa Sancho Pansy: „Modlitwy się nauczy, kto się po morzach włóczy”. Powinno być: „po górach”, ale widocznie nie zapuścił się z osiołkiem tam, gdzie konie mechaniczne pokonują curvy peligrosy.

Gdy kozice górskie nagle przecięły nam drogę, zastanowiłam się, kto przejmie mój felieton, jeśli następnym razem mąż w porę nie wyhamuje. Opatrzność jednak czuwała i dlatego można mnie dalej czytać. Przynajmniej do czasu, gdy znów Internety nie skuszą mnie, aby zjechać z trasy. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nie ludność, ale naród

Co łączy przypadające w tym roku dwie okrągłe rocznice: 40-lecie masowych protestów przeciw władzy komunistycznej w Gorzowie Wielkopolskim 31 sierpnia 1982 r. oraz 50-lecie ustanowienia przez papieża Pawła VI trwałej (diecezjalnej) organizacji kościelnej na Ziemiach Odzyskanych w 1972 r.? Słowem – kluczem w obu przypadkach jest „integracja". Papieska decyzja – owoc długoletnich starań dwóch wielkich prymasów Polski, kard. Augusta Hlonda oraz bł. Kard. Stefana Wyszyńskiego – była milowym krokiem na drodze do integracji tych ziem, stanowiących niemal jedną trzecią obszaru powojennej Polski, z resztą kraju.

Zasługi Kościoła w całym okresie po 1945 r. dla tego dzieła są trudne do przecenienia. Wiele relacji naocznych świadków potwierdza, że dopiero po upewnieniu się, że w danej miejscowości jest polski ksiądz i jest odprawiana katolicka Msza Święta, „repatrianci" osadzani na Ziemiach Odzyskanych decydowali się opuścić wagony, które z Małopolski Wschodniej czy Wileńszczyzny przywiozły ich na Dolny Śląsk, Pomorze Zachodnie czy Mazury. Obecność Kościoła katolickiego na tych ziemiach była dla nich koniecznym (choć z pewnością nie wystarczającym) poświadczeniem, że teraz jest to także ich dom.

Patrząc przez ten pryzmat na wojnę wytoczoną Kościołowi na Ziemiach Zachodnich przez władze komunistyczne (usuwanie administratorów apostolskich, kasowanie zakonów, bezwzględnie wprowadzana polityka „rozdziału Kościoła od państwa"), trzeba stwierdzić, że była ona zamachem nie tylko na instytucje kościelne, lecz także na polską rację stanu. Gdzie jak gdzie, ale właśnie na Ziemiach Odzyskanych najwyraźniej widać było trafność strategicznego założenia Prymasa Tysiąclecia, który cały swój plan przejścia przez „morze czerwone" oparł na przekonaniu o nierozerwalności losu oraz interesów Kościoła i narodu polskiego.

Komuniści natomiast od początku traktowali Ziemie Odzyskane jako swój własny teren zastrzeżony, na którym miał być realizowany z pełnym rozmachem i w odpowiednich warunkach społecznych (wykorzenienie napływającej nad Odrę i Bałtyk ludności polskiej) program budowy „nowej, socjalistycznej Polski". Nieprzypadkowo Władysław Gomułka – przywódca komunistycznej partii w Polsce (PPR) – w powstałym w 1945 r. w Moskwie Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej objął kierownictwo ministerstwa Ziem Odzyskanych.

Komuniści od początku traktowali Ziemie Odzyskane jako swój własny teren zastrzeżony, na którym miał być realizowany z pełnym rozmachem i w odpowiednich warunkach społecznych program budowy „nowej, socjalistycznej Polski"

Warunkiem powodzenia komunistycznego planu było niedopuszczenie, by ludność polska nad Odrą i Bałtykiem poczuła się częścią narodu polskiego. Nie jakiegoś „narodu socjalistycznego" (na podobieństwo „narodu sowieckiego"), ale narodu, który, po pierwsze, jest cywilizacyjnie związany z Zachodem, a po drugie, jest nad Odrą i Bałtykiem u siebie, na podobieństwo spadkobiercy powracającego do dawno utraconego dziedzictwa. Narodem ludność polską na Ziemiach Odzyskanych uczynił Kościół, a konkretnie prymas Wyszyński. Wielka Nowenna i obchody milenijne 1966 r. obejmowały również te obszary. Także w Szczecinie, Gorzowie, Olsztynie i we Wrocławiu prymas przypominał, że „naród ochrzczony" powraca do piastowskiego dziedzictwa. Powracał również Kościół – na ziemie „od wieków wyjaławiane przez protestantyzm" (ciężko grzeszył przeciw ekumenizmowi ten książę Kościoła).

Nieprzypadkowo to właśnie w okresie Wielkiej Nowenny doszło na Ziemiach Odzyskanych do pierwszego wielkiego wystąpienia przeciw władzom komunistycznym, jakim była bitwa o Dom Katolicki w 1960 r. w Zielonej Górze. To było pierwsze świadectwo tego, że na tych ziemiach żyje naród polski. Naród, który „liczył się" na ścieżkach milenijnych. Pokolenie milenijne stało się w 1980 r. pokoleniem założycieli wielkiej Solidarności. Wielu zaś z tysięcy gorzowian, którzy w drugą rocznicę porozumień sierpniowych domagali się jej ponownej legalizacji, w 1966 r. tłumnie witało bł. kard. Wyszyńskiego i cały episkopat przybywających na obchody tysiąclecia chrztu Polski do Gorzowa Wielkopolskiego. 31 sierpnia 1982 r. w tym mieście protestowała przeciw komunistycznej dyktaturze nie ludność polska, ale Polacy, czujący się częścią wielkiego ruchu narodowego skupiającego się wokół słowa „solidarność". ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

TAK I NIE

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Słowo NIE jest tak samo ważne jak słowo TAK, ale trudniejsze w użyciu. Ludzie unikają mówienia NIE, bo to źle wygląda, może zepsuć relację lub miły nastrój. Prawda powinna być ważniejsza od komfortu. Dlatego mowa nasza ma być prosta: TAK albo NIE – bez stosowania uników. Uniki to kłamstwo podane na miękko. Mów wprost. NIE i już.

Politycy unikają słowa NIE i dlatego wszystko się tak ślimaczy – trwa nieustanna wymiana słów, pism, oświadczeń, a naród ma to gdzieś, naród chciałby załatwienia sprawy szybko i definitywnie. Naród jest jak panna – woli szybko usłyszeć NIE niż bujać się z facetem przez kilka lat, gdy on się ani nie oświadcza, ani nie zrywa związku, lecz wciąż omija niewygodny temat obrączki lub rozłączki.

***

Komisja Europejska nalicza Polsce kary w wysokości 1 mln euro dziennie. Rząd prowadzi w tej sprawie korespondencję. Zachowanie bezsensowne. Premier RP nie powinien tracić czasu na wymianę listów, które przedłużają agonię. Dostał wezwanie do płacenia kar, bierze mazak, pisze na tym wezwaniu wielkie czarne NIE i odsyła w tej samej kopercie, w której przyszło. Tak byłoby najlepiej, moim zdaniem. Sprawna administracja bez zbędnych ruchów, coś jak judo.

Nadawcom listu nie tłumaczyłbym nic, bo NIE to NIE i tyle powinno wystarczyć. Cała reszta to słowa, które nie wnoszą nic do meritum. Natomiast narodowi (na którego zlecenie pracuje premier, więc ma obowiązek spowiadać się obywatelom z tego, co robi) powiedziałbym po polsku, że suwerenny kraj polega na tym, że nie ma nad sobą suwerena, czyli nie podlega żadnej władzy wyższej poza władzą Boga Najwyższego. Suwerenne państwo nie przyjmuje ani nie płaci mandatów.

Przynależność do organizacji międzynarodowej typu ONZ czy Unia Europejska nie oznacza, że organizacje te mają nad nami władzę. Tak samo jak abonament na basen nie oznacza, że dyrekcja basenu ma nad nami władzę. Gdyby Komisja Europejska upierała się, że koniecznie potrzebuje pisemnego uzasadnienia, wówczas kazałbym im najpierw wnieść stosowną opłatę, którą w Polsce pobierają urzędy w zamian za wystawienie opinii. Jesteśmy państwem prawa, więc nie będziemy KE zwalniać z opłaty skarbowej i obsługiwać za darmo. Opinia byłaby taka: Płacenie przez Polskę kar w wysokości 1 mln euro dziennie na rzecz organizacji międzynarodowych to pomysł niegodziwy. Pieniądze zbierane od polskich obywateli służą do kupowania różnych rzeczy i usług dla narodu, a nie do płacenia mandatów, haraczy i kar. Dyrektor basenu może mnie wyrzucić, ale nie ma prawa mnie karać, bo nie jest moim tatusiem.

***

Zrobię teraz wywód logiczny: Donald Tusk jest przeciwnikiem istnienia Polski jako odrębnego bytu państwowego. Jest zwolennikiem utworzenia jednego wielkiego państwa europejskiego i mówi o tym jasno, a to oznacza, że jest za docelową likwidacją Polski.

Być może nie myśli o tym dokładnie takimi słowami, ale kilka lat temu mówił, że patriotyzm jest formą przestarzałą, gdyż przeszkadza idei zjednoczenia. Z kolei w tym roku nie świętował rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego. Powstanie było antyniemieckie i bardzo patriotyczne, bohaterowie bili się o przetrwanie polskiej państwowości. Jeżeli więc polski patriotyzm przeszkadza Tuskowi w realizacji idei utworzenia państwa o nazwie Europa, to Tusk musi być przeciwnikiem istnienia Polski. Myli się, błądzi, jego postawa jest brzydka, lecz konsekwentna. Państwo ogólnoeuropejskie, które Tusk proponuje, to w istocie to samo co zabory, tylko na dużo większą skalę.

***

Partia Tuska chce zablokować polexit, więc proponuje, by ewentualne wyjście z UE wymagało referendum wpisanego do konstytucji i w dodatku nie wystarczy normalna większość – za polexitem mają zagłosować dwie trzecie obywateli albo nic z tego. Przeciwnicy Tuska dali się zapędzić w kozi róg, bo dyskutują z pomysłem Tuska zamiast proponować własny – całkiem inny. Targują się o duperele na polu przeciwnika, argumentują, że przy wchodzeniu do UE wystarczała zwyczajna większość. To czemu teraz dwie trzecie? Bez sensu.

Oto cytat z pewnego amerykańskiego konstruktora: „Aby coś zmienić, zbuduj nowy model, który sprawi, że istniejący model stanie się przestarzały". Tak zrobili założyciele USA – wymyślili całkiem nowy model państwa, lepszy od tego, co było wcześniej. Przed wymyśleniem amerykańskiej konstytucji istniały monarchie, które mogły być despotyczne lub oświecone, ale wszystkie były do siebie podobne „konstrukcyjnie".

Z opuszczaniem Unii jest tak, że wszyscy kombinują, jak wyjść lub nie dopuścić do wyjścia – słowo EXIT stosują zwolennicy i przeciwnicy pomysłu. „Wstaję i wychodzę" to akt ostentacyjny – jasno wypowiedziane NIE, a tego politycy unikają. Dlatego proponuję rozwiązanie oparte na słowie TAK. Rozwiązanie wymyślone dawno temu przez Republikę Teksasu.

Teksas był najpierw prowincją Meksyku, potem obywatele tej prowincji wybili się na niepodległość i ustanowili odrębne państwo – nie byli jeszcze wtedy częścią Stanów Zjednoczonych. Gdy ostatecznie zdecydowali się wejść do Unii (USA to unia suwerennych krajów), wymyślili rozwiązanie, które miało ich zabezpieczyć, na wypadek gdyby pozostawanie w Unii przestało być dobre i pożyteczne. Wpisali do swojej konstytucji taką procedurę, że Unia Teksasu ze Stanami Zjednoczonymi wygasa automatycznie z końcem każdego roku, CHYBA ŻE… zostanie przedłużona na kolejny rok przez aktualnie urzędujący Kongres państwa Teksas.

Proponuję skopiować – wpisać do polskiej konstytucji, że Senat RP musi się zebrać każdego 31 grudnia i przegłosować przynależność do Unii Europejskiej na kolejny rok. Nie wolno na dłużej, a gdyby Senat nie zagłosował w tej sprawie, nasze członkostwo w UE wygasa z automatu i nie trzeba nic robić. Proponuję też przyjąć propozycję Tuska, by głosowanie tej kwestii wymagało dwóch trzecich głosów na TAK, co zabezpieczy nas przed upartyjnieniem tej kluczowej decyzji – jest bowiem mało prawdopodobne, by kiedykolwiek dwie trzecie senatorów RP pochodziły z jednej partii. ©℗

eprasa.pl a9497fac0a

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

CARRIE GRESS
„OPCJA MARYI. BOŻA ODPOWIEDŹ NA KRYZYS CYWILIZACJI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~475 ZŁ~~

211,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 264 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a9497fac0a

ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR WARRANTY